



Susan Donovan



*Dziewczyna
sponsora*

Tytuł oryginału: *The Kept Woman*

RS

Dla Conora i Kathleen, jedynych ludzi na świecie,
którzy mogą mówić do mnie: mamó

Rozdział pierwszy

Samantha Monroe usłyszała buczenie muzyki i śmiech i poczuła, że kręci jej się w głowie. Może to przez te dwie margarity lub ten koszmary tydzień w salonie. A może sprawił to ostatni list z pogrózkami z akademii siusiumajtków rozpoczynający się słowami: *Z przykrością informujemy, że ponieważ Pani dziecko nie może się pozbyć swoich przyzwyczajęń toaletowych, musimy prosić, by w ciągu dwóch tygodni znalazła Pani gdzie indziej opiekunów.*

– ...a później, nie uwierzysz! – Najlepsza przyjaciółka Sam, Monté, zabawiała kobiety przy stoliku, opisując ze szczegółami swoją ostatnią sobotnią randkę. Ponieważ Sam już to wcześniej słyszała, wędrowała wzrokiem po tłumie, który zebrał się w Lizard Lounge. Spozrzegła grupę młodych, cieszących się życiem, beztroskich kobiet przy barze i zaczęła się zastanawiać... czy ona kiedykolwiek wyglądała na tak szczęśliwą. Czy czuła się tak szalona i seksowna jak te dziewczyny? Czy nosiła tak wysokie buty w szpic? Czy kiedykolwiek była tak młoda? Może znów powinna zadzwonić do Lily i upewnić się, że Dakota zjadł paluszki rybne, a Greg nie grał ponad godzinę na PlayStation.

– ...i facet podnosi swój tyłek z kanapy, rozpina rozporek i mówi: Monté, kochanie, mam dla ciebie pytona!

Wybuch śmiechu sprawił, że Sam też się uśmiechnęła i skupiła uwagę na przyjaciółkach. Ubóstwiała każdą z tych kobiet, nawet jeśli ich zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. Żarty były nieodłącznym elementem wieczorów Picia i Depresji. W każdy ostatni piątek miesiąca wypijały kilka drinków, psioczyły na pracę, życie, miłość (albo jej brak) i dużo się śmiały. A później planowały następne spotkanie.

Sam spojrzała na pasiaste obicia krzeseł w pubie. Potem zerknęła za okno. Był początek listopada, a za oknem mokro i zimno. Pierwszy śnieg w tym sezonie padał na ulice Indianapolis. O szóstej wieczorem było już ciemno, choć oko wykol. Święta zbliżały się wielkimi krokami. Bez wątpienia dzisiejszy wieczór przypominał najbardziej odlotowe spotkania P&D.

Sam obróciła się w prawo, żeby popatrzeć, jak Monté McQueen opowiada swoją historię. Jej czarne warkocze kołysały się w rytm słów. Monté pracowała z Sam w Le Cirque od trzynastu długich lat. Była cholernie dobrą stylistką i najbardziej oddaną przyjaciółką Sam. Kiedy trzy lata temu Mitchell odszedł, Monté dodawała jej otuchy, mówiła, że samotna matka nigdy nie może się poddać. Monté doskonale wiedziała, o czym mówi.

Po lewej stronie Sam siedziała Kara DeMarinis, jedna z jej najwierniejszych klientek, oglądała bajecznie i władczo w kostiumie, była jedną z najtrzeźwiej myślących osób w tym towarzystwie. Obok niej siedziała świetna bizneswoman, właścicielka Le Cirque – Marcia Fishbacher. A dalej stałe klientki salonu, Denny i Wanda Winston, bliźniaczki diametralnie różniące się stylem życia.

Słuchając historii Monté, wszystkie te kobiety ryczały ze śmiechu i tłukły dłońmi w stół. Wszystkie oprócz Sam. Wiedziała, że powinna wykrzesać choć trochę radości tego wieczoru, ponieważ te spotkania były jak terapia. Niestety była zbyt zmęczona, by się cieszyć. Była zbyt zmęczona na terapię. W gruncie rzeczy wiedziała, że nawet gdyby najwspanialszy mężczyzna świata przeszedł w tej chwili przez frontowe drzwi Lizard Lounge, był tylko częściowo ubrany i aż się palii do działania, to jej by to nie poruszyło.

Sam westchnęła i zamówiła trzecią margaritę. Kiedy ją przyniesiono, zaczęła jeździć czubkiem zdrętwiałego języka po brzegu oszronionej szklanki,

zlizując trochę soli. Kiedy połknęła swój jedyny posiłek tego wieczoru, naszło ją mnóstwo niepokojących myśli. Za trzy dni upływał termin zapłaty czynszu, ale skoro pan Westerkamp nie wywiózł śmieci, czy eksmituje ją, jeśli i ona nie wywiąże się z umowy? Lily wciąż opowiadała o wycieczce z klasą do Francji w przyszłym roku. Ale skąd, do cholery, Sam miała wziąć dodatkowe trzy tysiące dolarów na ten wyjazd? Greg odmówił powrotu na zajęcia u logopedy. Powiedział, że jąkanie się jest mniej bolesne niż docinki kolegów na temat chodzenia na „specjalne” zajęcia.

Sam upiła kolejny łyk i poczuła, jak alkohol ją rozgrzewa. Rozmyślała dalej.

– Zastanawiam się, co jest takiego złego w byciu utrzymanką – wymamrotała. – Gdyby mnie coś takiego się trafiło, oczywiście bez krzywdzenia dzieci, chętnie zamieszkałabym w penthousie z szoferem, pokojówką i szefem kuchni w zamian za bzykanie z jakimś staruchem, kiedy ma na to ochotę. Nie widzę w tym nic złego.

Przy stoliku zapadła martwa cisza i Sam zdała sobie sprawę, że wypowiedziała te myśli na głos. Kara chwyciła ją za ramię i popatrzyła na nią dużymi brązowymi oczami.

– Oczywiście jeśli nie jest za stary lub zdiadziały – dodała dla rozładowania napięcia.

– Tak, jasne. – Marcia przewróciła oczami. – Dziewczyna musi znać swoją wartość.

– Dajcie mi znać, jeśli stary głupiec będzie miał brata – wtrąciła Denny. – Mogłabym mieć tatuśka i oczywiście nie przeszkadzałoby mi to, że wykazywałby słabość do lesbijek.

– Nie sędzę, żeby lesbijki miały tatuśków – powiedziała Wanda do siostry.

– Dosyc, Sam. – Monté wyjęła szklanę z resztą margarity ze zdrętwiałych palców Sam. – Odwożę cię do domu i kładę do łóżka. Jutro o dziewiątej rano musimy zrobić fryzury na wesele. Powinnaś odpocząć.

– Boże, jak ja nienawidzę ślubów – jęknęła Sam. – Nienawidzę młodych. Nienawidzę przygotowań. Nienawidzę szpilek do włosów i całej tej nienormalnej radości. Szczególnie o dziewiątej rano! To jest po prostu nienormalne. Mam ochotę złapać te panny młode za ramiona, potrząsnąć nimi i wykrzyzczyć: *Nie rób tego! Uciekaj! Uciekaj, nim będzie za późno!*

Marcia zamrugła ze zdziwieniem, a Sam odnotowała w pamięci, żeby przy szefowej nigdy nie pić więcej niż dwie margarity. Monté ściaęnęła Sam z krzesła i postawiła na nogi.

– Chodź, Kopciuszku. Czas na przejażdżkę karetą, zanim zamieni się w dynię.

Kara DeMarinis odwróciła się na skórzanym fotelu i przypatrywała się Jackowi Tolliverowi, świadoma tego, że żadna kobieta na świecie nie nazwałaby go staruchem. Och, przez lata słyszała różne określenia typu: dupek–mizogin; arogancki kretyn; drań, który liczy na szybki numerek, ale nigdy staruch.

Jack przestał się śmiać i przeciągnął się, siedząc za antycznym biurkiem z wiśniowego drewna, które kiedyś należało do jego ojca, gubernatora Indiany, Gordona Tollivera. Jack potrząsnął głową i przetarł oczy. Sugestia Kary tak go rozbawiła, że aż łzy mu popłynęły.

– Zawsze podziwiałem twój niekonwencjonalny sposób myślenia, ale Kara, złotko, tym razem przesadziłaś.

– To jest wykonalne, Jack. Pamiętasz, jak Errol Binder pożyczył od sąsiada golden retrievera na sesję zdjęciową? A Binder nienawidził zwierząt. A Charlton Manheimer poszedł z dziećmi swojej sekretarki na trzydziesty drugi publiczny piknik edukacyjny i przedstawiał je jako swoje wnuki. Jego wnuki tymczasem chodziły do szkoły z internatem w Vermoncie.

– Nie ma mowy – mruknął Jack.

– Tak. Znam Samanthę Monroe od dwunastu lat. Jest świetna. Ciężko pracuje, jest odpowiedzialna, pochodzi z klasy średniej. Jest tym wszystkim, czym ty nie jesteś. I zasługuje na uśmiech losu. Jest idealna.

Jack uniósł brew i wykrzywił usta.

– Nie sugerujesz chyba, że jestem nieodpowiedzialnym, niegodnym zaufania obibokiem?

Kara uśmiechnęła się do niego.

– No cóż, jesteś – powiedziała.

– Dobrze, ale jeśli rozmawiamy szczerze, to pozwól, że przypomnę, że żadna kobieta nie jest idealna, a szczególnie taka, którą możesz kupić.

– Ona nie jest na sprzedaż, raczej do wynajęcia.

Jack parsknął śmiechem.

– Na miłość boską, Kara! Chyba nie sądzisz, że wynajmę nieprawdziwą narzeczoną. To niemoralne, naganne i godne pożałowania!

Jack przecesał dłońmi ciemne włosy, odepchnął się od biurka i odwrócił plecami do Kary. Zaczął przechadzać się po biurze i rozważać na głos:

– Poza tym jeśli miałbym korzystać z jej siły charakteru, musiałbym także żywić się jej słabością, czyż nie? Czy ona ma jakieś wyroki sądowe? Mandaty za przekroczenie prędkości? A co z obciążeniem kredytowym? Czy może głosować?

Kara uśmiechnęła się do siebie. Patrzyła na jego potężną sylwetkę poruszającą się po pomieszczeniu. Wiedziała, że Soczysty Jack Tolliver nigdy nie potrzebowałby pomocy swatki. Ale wiedziała także, że w kluczowym momencie swojej kariery politycznej powinien stawiać na jakość kobiet, a nie na ilość. Jack miał tendencje do koncentrowania się na tym ostatnim, a to teraz mogło przysporzyć kłopotów.

– Już zaczęłam sprawdzać Samanthę, wiem, co mogliby znaleźć twoi rywale. Niewielki kredyt zaciągnięty po rozwodzie to wszystko, na dodatek jest to zrozumiałe i w zasadzie działa na jej korzyść.

Jack potrząsnął głową. Przemówił tak cicho, że Kara ledwie go usłyszała:

– A co z Tiną? Cholera. Jest ruda. Wiesz, jak uwielbiam rude.

– Umawiasz się z nią dopiero od miesiąca.

– Ale to był naprawdę dobry miesiąc.

– Jest dwudziestopięcioletnią tancerką brzucha, Jack. Może cię to zachwycać, ale nie wpłynie korzystnie na opinie wyborców. Poza tym nie sądzę, żeby jej rudy był naturalny.

– Nieważne, czy jest farbowana, ale dobrze jej w tym kolorze. A tak między nami, Tina jest pielęgniarzką dziecięcą i tylko nocami dorabia jako tancerka brzucha. Poza tym jest niesamowicie wygimnastykowana.

– Świetnie, w takim razie szybko się pozbiera po tym, jak z nią zerwiesz.

– Nikt nie uwierzy, że jestem zaręczony.

Jack wydał z siebie stłumiony chichot i zapatrzył się w bogato zdobiony sufit.

– Chcesz, żebym po prostu wstał któregoś dnia rano i bach! nagle doznał olśnienia i odkrył, że pragnę się z kimś zaręczyć? Proszę cię, kto w to uwierzy?

– Ludzie się zmieniają, Jack. Wyborcom się spodoba to, że dorosłeś, znalazłeś odpowiednią kobietę i postanowiłeś się ustatkować. Tak się często zdarza.

Zerknął na nią przez ramię.

– Jest jeszcze dużo czasu do wyborów. Ukażą się informacje o obiedzie tu, meczu koszykówki tam, ploteczki w kolumnie towarzyskiej oraz wiadomości z miasta i wkrótce mamy romans w rozkwicie. A wszystko przed nieprzekraczalnym terminem w lutym. To nie wygląda na załatwione naprędce. Poza tym jesteś złotym facetem.

– Albo raczej martwym. – Jack odwrócił się gwałtownie. – Oczywiście masz świadomość, że to może być gwóźdź do trumny, jeśli ktoś odkryje tę małą transakcję? Na przykład Christy Schoen?

Kara przewidziała, że Jack zgłosi obiekcje, i pokiwała głową.

– Zminimalizuję udział mediów. Osobiście dopilnuję, żeby Christy była trzymana na krótkiej smyczy.

– Uważaj, ta mała suka wyrwie ci rękę, żeby tylko zdobyć artykuł dla programu *Capitol Updates*.

Kara uśmiechnęła się. Była częstym gościem w niedzielnym show telewizyjnym Christy i wiedziała o godnej pożałowania pogardzie, jaką dziennikarka odczuwała do Jacka. Kara właściwie nie mogła jej winić – żadna kobieta nie lubi być poniżana publicznie.

– Oczywiście wiesz, że potraktowałeś Christy jak prawdziwy dupek.

– To prawda. Ale wybaczone, wydaje mi się, że czas na przeprosiny już dawno minął.

– No cóż, jakoś sobie poradzimy z Christy – powiedziała Kara. – Co do reszty mediów, nie sądzę, by były problemy. Zrobimy małą publiczną

prezentację. Poza tym zawsze możesz powiedzieć, że Sam i jej dzieci cenią sobie prywatność.

– Dzieci? – Jack zrobił duże oczy. – Kobieta do wynajęcia występuje w komplecie z dziećmi?

Kara wzruszyła ramionami. Wiedziała, że dzieci będzie mu najtrudniej zaakceptować. Ale wiedziała też, że one najbardziej mogą zjednać wyborców.

– Trójka dzieci. Znam je, są świetne. Jej mały Dakota jest najśłodszym...

– Przestań. – Jack znów zaczął się śmiać i tym razem był to śmiech niemal histeryczny. – Oczywiście, że chciałbym być senatorem Indiany, bardzo bym tego chciał. Ale Kara, żadne dzieci nie pomogą mi zdobyć tego stołka. Żadnych dzieci. To chore.

Kara machnęła wypielegnowanym palcem w powietrzu.

– Pomyśl tylko, Jack. Co bardziej świadczy o zmianie, jeśli nie ciężko pracująca, rozwiedziona fryzjerka z trójką dzieci przy twoim boku? Spróbuj się w to pobawić. Daj wyborcom szansę na wyciągnięcie własnych wniosków. Mówię ci, to zadziała fenomenalnie.

– Absolutnie nie. – Jack włożył ręce do kieszeni spodni i zaczął się wpatrywać w Karę. – Sądziłem, że po czterech kampaniach i dwudziestu latach znasz mnie lepiej.

Kara przekrzywiła głowę, zamilkła, po czym westchnęła.

– Jako szefowa twojego sztabu wyborczego i wieloletnia przyjaciółka mogę ci powiedzieć prawdę. A prawda wygląda tak, że właśnie dostałeś swoją ostatnią szansę. Decyzja Allena Ditto, żeby nie startować ponownie do senatu, jest darem niebios i jeśli nie wykorzystasz teraz tej szansy, drugi raz się nie pojawi.

– To jeden z możliwych scenariuszy.

– Jedyny. – Kara wstała z krzesła i podeszła do szafki z książkami, przy której stał Jack. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Popatrz, Jack, od momentu kiedy zakończyłeś pracę jako asystent gubernatora, minęły cztery lata, a dwa lata, od kiedy Christy pomogła wyborcom dojść do wniosku, że jesteś dupkiem, seksistowską świnia i nie nadajesz się, by reprezentować w Kongresie siódmy okręg.

Jack gwałtownie się skrzywił.

– Każda grupa fokusowa, którą pytaliśmy, zgłosiła zastrzeżenie: głosujący chcą cię wspierać, ale nie mogą zaakceptować twojej reputacji playboya, szczególnie żeńska część wyborców. A to może oznaczać przegraną, Jack. Pieniądze ciągle są – nazwisko Tolliver wciąż otwiera książeczki czekowe. Jesteśmy na dobrej drodze do zebrania trzech milionów dolarów potrzebnych na tę kampanię. Ale szczerze mówiąc, uważam, że nawet fortuna z Fort Knox nie zagwarantuje ci zwycięstwa. Chyba że wykonasz jakiś wspaniały gest.

Jack zamknął oczy i wydał pomruk niezadowolenia. Kara była pewna, że to nie było zamierzone.

– Musisz udowodnić, że nie jesteś tym samym mężczyzną, który został przyłapany na pożądlwym spoglądaniu na tyłek spikerki w czasie zjazdu nauczycieli dwa lata temu. Oni muszą widzieć, że się zmieniłeś, inaczej podchodzisz do spraw życia i rodziny i możesz lepiej reprezentować ciężko pracujących zwykłych ludzi. – Kara zamilkła, żeby upewnić się, że Jack za nią nadaża. Wyglądał na mniej wkurzonego, więc kontynuowała: – To przemyślana strategia. Spotkanie biznesowe, droga do tego, by w niesamowicie krótkim czasie przekonać ludzi, że zmieniłeś swoje życie.

– O mój Boże – wymamrotał.

Kara uśmiechnęła się szeroko.

– Wyobraź sobie, że spotykasz się z Sam Monroe i jej dziećmi przez jakieś sześć miesięcy, a po wyborach rozstajecie się po cichu; wtedy prosisz opinię publiczną o uszanowanie prywatności Sam i jej rodziny. Nikt na tym nie ucierpi.

– A skąd masz pewność, że ona zachowa dyskrecję?

– To proste. Jeśli złamie ustalone zasady, będzie musiała oddać pieniądze, a uwierz mi, ona ich potrzebuje.

– Mhm.

– Czy pamiętasz, jak w czasie rozmów o bezdomnych Manheimer głądził o tym, że Tolliverowie są zbyt bogaci, żeby identyfikować się z biednymi ludźmi, i że mają posiadłość, w której nikt nigdy nie mieszkał? Hej! Wiesz, mam pomysł. Sam i dzieciaki mogliby się tam wprowadzić. Wyglądałoby to na przejaw dobrego serca i hojności z twojej strony. Czyż nie jestem genialna?

Kara obserwowała, jak Jack przygryza wargę. Patrzyła, jak jego inteligentne zielone oczy błędzą po otoczeniu, jak kalkuluje, czy Kara ma rację, *rozważa* ryzyko tego planu i następny ruch. Kara знаła Jacka od pierwszego roku ich studiów w Bloomington. Jack był ostrym facetem, który twardo stąpił po ziemi. Wiedział, które sprawy mogą mieć decydujące znaczenie w życiu, i we właściwym momencie postępował słusznie. Dzięki tym zaletom został doskonałym rozgrywającym NFL. Był też politykiem z powołania, tak samo jak jego ojciec i dziadek.

Czekała, aż Jack podejmie decyzję. Po czasie, który wydawał jej się wiecznością, stanowczo kiwnął głową. Kara poczuła, że jest dumna z Jacka jako polityka i Jacka jako mężczyzny. Czekala na jego oświadczenie.

– Czy mogę mieć nadzieję, że ona jest ruda?

Sam delikatnie usadowiła swoją klientkę z godziny drugiej pod suszarką, podała jej herbatkę rumiankową i egzemplarz „People”, nastawiła timer na dwadzieścia minut. Klientkę z godziny drugiej trzydzieści obdarzyła uśmiechem i odesłała do praktykantki, żeby ta umyła jej głowę, a sama pobiegła do kuchni na zapleczu. Miała góra dziesięć minut, żeby coś zjeść i zadzwonić do pani Brashears, która zarządzała akademią siusiumajtków.

Sam usiadła na blacie, wzięła słuchawkę i ugryzła zimne burrito z Taco Bell.

– Pani Brashears?

– O, dzień dobry, pani Monroe, zastanawiałam się, kiedy się pani odezwie.

Sam wytarła usta serwetką, myśląc gorączkowo, że minął tydzień od czasu, kiedy dostała list, i wciąż nie zdecydowała, co zrobić z tą ostatnią groźbą z mafii Montessori*. Błaganie było skuteczne w przeszłości, miała wrażenie, że wyczerpała już wszystkie pokłady sympatii. Ewentualne skargi nie wchodziły w grę, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie może użyć argumentu o dyskryminacji z powodu nieumiejętności siusiania do nocnika.

** Montessori (Maria) (1870–1952) – włoska lekarka i pedagog, reformatorka wychowania przedszkolnego.*

– Dakota nie robi żadnych postępów – oznajmiła pani Brashears z troską.

– Czy znalazła już pani dla niego inne miejsce?

Sam przełknęła kolejny kęs i poczuła, że razem z nim przełknęła też serce.

– Próbowałam wszystkiego – powiedziała, znów przybierając przyjazny ton. – Narysowałam nawet mapę gwiazdną. Zaproponowałam, żeby nosił bieliznę dla dużych chłopców, kusiłam ćwierćdolarówką za nasiusianie do

nocnika, chwaliłam za każdym razem, gdy mu się udało. Pani Brashears, pani pamięta, że pozostała dwójka moich dzieci nie miała problemów z nocnikiem. Ja po prostu tego nie rozumiem!

– Pani Monroe...

– Nawet obiecałam, że kupimy drugiego psa, jeśli tylko...

– Przekupywanie nie wpływa korzystnie na niezależność dziecka i nie likwiduje problemów, a kupno nowego psa na pewno nie rozwiąże problemów w rodzinie.

– Racja. – Sam upiła łyk dietetycznej pepsi i spojrzała na zegarek. Jeśli klientkę z drugiej godziny zostawi za długo pod suszarką, folia na jej głowie się usmaży.

– I jeśli mogę coś dodać, pani Monroe, wydaje mi się, że poświęca pani za mało czasu dzieciom. Może powinna się pani zastanowić nad bardziej elastycznymi godzinami pracy, być może praca na niepełnym etacie, dopóki...

– Dopóki co? Dopóki mój były mąż nie wypłynie z niebytu i nie zacznie płacić alimentów? – Sam zeskoczyła z blatu i stanęła na środku małej kuchni, wpatrując się w małe, przybrudzone okienko i modląc się, żeby Bóg lub ktokolwiek inny dał jej tyle cierpliwości, by mogła dokończyć tę rozmowę i nie ponieść totalnej klęski.

– Jedyne, co sugeruję, to...

– I dla pani informacji, pani Brashears: przez ostatnie trzy lata byłam obiektem kpin; żartowano z mojej niezależności i kłopotów z rozwiązywaniem problemów. Jak pani śmie sugerować, że nie troszczę się o dzieci!

Sam usłyszała urażone westchnienie po drugiej stronie słuchawki. No cóż, nawet jeśli miało to oznaczać koniec kariery Dakoty w prywatnym

przedszkolu, nie mogła się powstrzymać. Nadszedł czas, by zrewanżować się Montessori.

– Moja determinacja, żeby otaczać dzieci dobrą opieką, jest jedynym powodem, dla którego pozwoliłam waszej śmiesznej placówce się terroryzować przez ostatnie pół roku. Świadomość, że Dakota ma zapewnione bezpieczeństwo, pozwalała mi pracować w spokoju. Ale w akademii siusiumajtków obowiązuje więcej zasad i przepisów niż w urzędzie skarbowym!

– Pani Monroe, naprawdę...

– Pracuję naprawdę niesamowicie ciężko, żeby Dakota i jego rodzeństwo mieli dach nad głową. A jest jeszcze pies i ja. Mam już pięć głów na utrzymaniu! Pięć głów na utrzymaniu stylistki włosów. No i co teraz pani powie o cholernych problemach rodzinnych?

Po chwili ciężkiego milczenia pani Brashears odchrząknęła i powiedziała:

– Jest wiele matek maluchów w takiej samej sytuacji jak pani. I mogę panią zapewnić, że ich trzylatkowie panują nad zwieraczami.

– Panują nad zwieraczami? – Sam wybuchnęła śmiechem. – O rety, już to widzę.

W tej chwili praktykantka wsunęła głowę do kuchni i powiedziała:

– Twoja klientka z drugiej godziny wkrótce wybuchnie. Sam zakryła dłonią słuchawkę

– Wyjmij ją spod suszarki, już tam idę.

– Ma pani tydzień, pani Monroe.

Sam westchnęła.

– Tak, przepraszam za moje słowa, ale jeśli mogłaby mi pani dać jeszcze trochę...

– Jeden tydzień. – Pani Brashears się rozłączyła. Sam stała na środku kuchni, w jednej ręce ściskając burrito z kurczakiem, w drugiej słuchawkę, a łzy płynęły jej po policzkach.

Przez dwie minuty pozwoliła, by drżały jej ramiona. Później odwiesiła słuchawkę, wyrzuciła lunch do kosza, wytarła nos i wróciła do salonu. Przeszła przez pomalowane na zielono pomieszczenie, które według wyobraźni Marcii Fishbacher było egzotyczną oazą w centrum Indianapolis, w której szefowa słyszała dźwięki fletu i wycie wilków. Sam wysunęła brodę, wyprostowała plecy. Wiedziała, że nawet jeśli świat walił jej się na głowę, oczekiwano od niej, że z uśmiechem będzie obsługiwać zestresowane klientki. Jej praca była połączeniem techniki, sztuki i rozpieszczania. Właśnie dzięki temu Le Cirque cieszył się wielką popularnością i klientki decydowały się tak dużo płacić za usługi.

Monté bez pukania otworzyła tylne drzwi domu Sam. Jej syn Simon przebiegł pod jej ręką, wołając swojego najlepszego przyjaciela Grega. Monté zamknęła nogą drzwi i skierowała się do jadalni mieszczącej się między małą kuchnią i salonem w domu przy Arsenal Street.

– Obiad podano! – zawołała, kładąc trzy duże pudła pizzy na stole. – Lepiej chodźcie szybko, zanim sama wszystko zjem!

Lily dotarła do jadalni pierwsza z lekkim wyrazem zdziwienia na buzi, za nią podążał Dale, obszarpany kundel należący do rodziny.

– Jak leci, Monté?

– Cześć, brzoskwinko. Jak było w szkole? Gdzie mama?

Lily wzruszyła ramionami i szybko otworzyła pierwsze pudełko. Rudawoblond włosy spadały jej na twarz, kiedy zaglądała pod nakrywkę.

– Przyniosłaś wegetariańską?

– Pierwsza na górze.

Monté powiesiła torebkę na krzesło, a skórzany płaszcz rzuciła na oparcie i usiadła w fotelu, ze zdziwieniem przyglądając się Lily. Wydawało się, że zaledwie tydzień temu to dziecko nosiło różową opaskę z uszami królika, jego policzki były błyszczące i rumiane, i nie rozstawało się z plecaczkiem, którego używały wszystkie dzieci Sam.

Może Monté lepiej widziała zachodzące zmiany w dzieciach Sam niż w swoim wysokim i silnym trzynastolatku. Miała wrażenie, że czas płynie tak szybko.

– A gdzie jest twoja mama?

– Próbuje przekonać Dakotę, żeby włożył majtki z Batmanem.

Lily podeszła do szafki i wyjęła talerze. W tym czasie Monté obejrzała ją uważnie i potrząsnęła głową. Dziewczyna miała długie nogi, długie włosy i oczy źle pomalowane brązowym eyelinerem. Wyglądała jak niebieskooki szop pracz.

– Mam otworzyć sałatkę?

– Pewnie! – Monté miała nadzieję, że jej aplauz nie wyglądał na wymuszony. – Zróbmy z tego eksperyment kulinarny!

Lily uśmiechnęła się słabo i Monté odetchnęła z ulgą. Jeśli czternastolatka nie umie wykrzesać z siebie uśmiechu, kiedy na obiad jest pizza, nie wróży to nic dobrego.

– No więc? Nie powiedziałaś, jak było w szkole.

Lily wróciła z talerzami i wzięła sobie dwa kawałki pizzy. Już miała coś powiedzieć, kiedy Greg i Simon wpadli do pokoju. Nagle jadalnia wypełniła się wysokimi głosami dzieci i przenikliwym szczekaniem Dale'a, a wtedy właśnie weszła Sam z Dakotą na rękach. Złocistowłosy aniołek opierał policzek na ramieniu mamy, a jego buzia rozjaśniła się na widok Monté.

Monté wyciągnęła ręce po chłopca; wpadł jej w ramiona, owinał rączki wokół szyi i dał jej mokrego całusa.

– Ciocia Monté! – zawołał.

Spojrzenia Monté i Sam się spotkały. Monté była przekonana, że to spojrzenie mówi: kto potrzebuje mężczyzny, żeby się dobrze bawić?

O dziewiątej wieczorem Dakota mocno spał, Sam zagoniła starsze dzieci do łóżek, a Monté pozmywała naczynia. Rozsiadły się na kanapie i otworzyły butelkę chardonnay.

– Jeśli wypiję więcej niż kieliszek, Simon nie będzie jedynym gościem, który zostanie na noc – powiedziała Monté, podwijając nogi pod siebie.

– Im więcej, tym lepiej. – Sam westchnęła. – Och, zapomniałam ci powiedzieć, że jedzie do mnie Kara. Podobno musi ze mną omówić jakąś sprawę.

– Kara? W poniedziałek wieczorem? Sam wzruszyła ramionami.

– Twierdzi, że to ważne i że musi się ze mną natychmiast widzieć. Poprosiłam, żeby przyjechała, jak położę dzieci do łóżek.

Monté zmarszczyła brwi. Nie lubiła Kary DeMarinis – Sam strzygła ją od dziesięciu lat, a do klubu P&D przyprowadziła ją sześć lat temu. Chodziło o to, że czasami Kara wydawała się taka niedostępna. Nawet trochę przemądrzała. Była kimś w rodzaju wysokiej klasy konsultantki politycznej z własnym biurem w centrum miasta, uczestniczką niedzielnych show telewizyjnych,

gdzie wypowiadała się na temat prawa i polityków, którzy je ustanawiają. Monté uważała, że Kara za bardzo „skręca na prawo”, ale musiała przyznać, że jest mądrą kobietą. No i obydwie z Denny Winston udzieliły Sam bezpłatnej pomocy prawnej kilka lat temu, w czasie sprawy rozwodowej z Mitchem. To był miły gest.

Nie da się zaprzeczyć, że to trochę dziwne, że Kara wybiera się do Sam wieczorem w ciągu tygodnia.

– Schrzaniłaś jej kolor czy co?

– Obie dobrze wiemy, że to jest niemożliwe. – Sam się zaśmiała. – Powiedziała, że to ma coś wspólnego z jej pracą.

Wszystko to brzmiało coraz dziwniej.

– Z jej pracą?

– Masz jutro wolne? – Sam nawet nie zauważyła, że zmienia temat.

– Tak.

Monté przyglądała się przyjaciółce. Sam wyglądała na bardziej zmęczoną niż zwykle. Chciała spytać, czy wszystko w porządku, ale postawa Sam wskazywała na to, że lepiej nie drażnić tego tematu.

Monté czasami była zdziwiona, jak Sam udaje się utrzymać całą rodzinę przez ostatnie trzy lata. Wydawało się, że jest silna i sobie poradzi, kiedy Mitch oznajmił, że jest gejem i odchodzi. Wychowywała trójkę dzieci, pracując w salonie po sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Monté wiedziała jednak, że kiedyś nastąpi kres wytrzymałości Sam. Wszystko na to wskazywało.

– Jak ci się podoba nowy wystrój salonu? – Monté czekała na odpowiedź, ale jej przyjaciółka myślami błądziła gdzieś daleko.

– Moje stanowisko jest dobrze oświetlone i mam nadzieję, że pod tym względem nic się nie zmieni. Ale może pytasz, czy Marcia nie posuwa się za

daleko z upodobaniem salonu do pustyni – wielki, stary kaktus w centrum Indianapolis? Litości. A może przyniesie wielką podobiznę Godzilli lub jakiegoś innego paskudztwa. I każe nam nosić ciuchy w kolorze turkusowym, a dobrze wiesz, że nie jest mi dobrze w zielonym.

Sam w końcu zachichotała i spojrzała na przyjaciółkę.

– Zawsze lubiłam stare pociągi. – Powiedziała zachęcająco gestykulując.

– No i jak to wygląda?

Monté jednym spojrzeniem ogarnęła salon i uśmiechnęła się. Małą przestrzeń wypełniały kanapa z mikrofibry, beżowe fotele, tani zestaw kina domowego, owalny stolik do kawy i kilka lamp stojących. Pośród tego wszystkiego znajdowały się rzeczy należące do poszczególnych członków rodziny – torby na książki, dwie różne skarpetki, psie kłaki, komiksy Grega, płyty CD Lily i resztki silniczka od czołgu.

– Mmm–hmm. – Monté pokiwała głową ze zrozumieniem. –Skróciłaś sobie grzywkę, dziewczyno.

Sam westchnęła. Monté obserwowała, jak jej przyjaciółka wpada w trans: wpatruje się w osiem obrazków wiszących na białych ścianach salonu. Poświęci trzy sekundy na każdy obrazek: zastanowi się nad powiązaniem sztuki i życia, przesuwając się od pierwszego do następnego, aż obejrzy je wszystkie.

Monté nie musiała podążać za wzrokiem Sam. Doskonale znała wszystkie malowidła. Nawet te, które leżały w piwnicy pod stertą ubrań i kurzu. Obrazy olejne Sam można było opisać jako kombinację malutkich kropek i szerokich szybkich łuków w tak jasnych i żywych kolorach, że trudno było uwierzyć, iż wyszły spod ręki malutkiej, ładnej mamuśki o ciemnorudych

włosach, która właśnie siedziała na kanapie. Monté doskonale wiedziała, że były one dziełem Sam, tak samo jak dzieci.

– Któregoś dnia będziesz znów mogła malować. Jestem tego pewna.

Sam łyknęła wina i obdarzyła Monté słabym uśmiechem.

– Zacznę znów malować, jak ty staniesz na scenie i zaśpiewasz jak za dawnych dobrych czasów.

Monté się zaśmiała.

– O Boże! To niemożliwe, wiesz, że nie zmieściłabym się w żadną moją sukienkę na scenę, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie.

– W takim razie kup kilka nowych.

– Myślę, że raczej pójdę do szkoły wieczorowej, a po dyplomie może jakoś stanę na nogi.

Zadzwoił dzwonek i Sam zmusiła się, by wstać z kanapy i pójść otworzyć drzwi. Wraz z Karą do domu wpadł zimny podmuch wiatru. Monté patrzyła, jak kobiety obejmują się pospiesznie. Sam przerzuciła elegancki płaszcz Kary przez oparcie jednego z krzeseł.

– Cześć, Monté!

Mimo przyjacielskiego powitania Monté wiedziała, że Kara wcale nie jest zadowolona z jej obecności. Teraz była pewna, że coś jest na rzeczy. Coś wisiało w powietrzu. No, nie ma mowy, żeby teraz wyszła.

– Kara! Pijemy wino, przyłączysz się? – spytała Monté.

Kara nerwowo rozglądała się po pokoju, zastanawiała się, czy przyjąć zaproszenie, czy się ulotnić.

– Chętnie – powiedziała w czasie, gdy Sam przysła z dodatkowym kieliszkiem.

Kara usiadła w fotelu i natychmiast pisnęła. Sięgnęła pod siebie.

– Przepraszam – powiedziała Sam, wyciągając rękę po małą plastikową figurkę. – Usiadłaś na Bobie Budowniczym.

– Mam nadzieję, że było to dla niego równie ciekawe doświadczenie jak dla mnie – rzekła oschle Kara i wszystkie się zaśmiały.

– Coś się stało, Kara? Coś nie w porządku? – Sam oparła łokcie na kolanach i wpatrywała się w koleżankę tak samo skonsternowana jak Monté.

Spojrzenie Kary przesunęło się na Monté, więc Sam powiedziała:

– O czymkolwiek będziemy rozmawiać, sądzę, że Monté może być tego świadkiem.

Kara zachichotała i odstawiła nietknięte wino na stolik do kawy, wsadziła rękawiczkę do kieszeni żakietu.

– To kwestia prawna. Dotyczy ciebie. Sam i Monté spojrzwały ze zdziwieniem.

– Przejmujesz Le Cirque? – spytała z przerażeniem w głosie Monté.

– Co? – wykrztusiła Sam akurat w momencie, kiedy do pokoju wbiegł Dale i wskoczył na kolana Kary.

– Co? O Boże, nie! Żartujecie? – zaśmiała się Kara i postawiła psa z powrotem na podłodze. – Dzięki wam nikt w mieście nie dowiedział się, że zaczęłam siwieć w wieku dwudziestu sześciu lat. To nie ma nic wspólnego z salonem, uwielbiam was.

Monté usiadła wyprostowana. Nikt jej teraz stąd nie wypędzi. Na pewno nie.

– A więc... – Sam zawiesiła głos.

Nagle w pokoju gościnnym pojawił się Dakota. Stał obok kanapy tylko w podkoszulku. W rączce trzymał pieluszkę.

– Zmień mi pieluszkę, mamo, i nie zapomnij użyć chusteczek pielęgnacyjnych.

Sam westchnęła:

– Cukiereczku, jeśli nie będziesz używał nocniczka dla dużych chłopców, będzie ci niewygodnie za każdym razem, kiedy zrobisz siusiu.

– Nie. Ja nie lubię dużego nocniczka. Zmień mi pieluszkę. –Trzymał w ręce pieluchę na zmianę.

Monté patrzyła na tę znajomą, ale daremną próbę sił między matką a dzieckiem. Dakota wyglądał jak złotowłosego cherubinek, ale okazywał się diabłem wcielonym, jeśli chodziło o potrzeby fizjologiczne.

– A co byś powiedział, gdybyśmy poszli i usiedli na nocniczku dla dużych chłopców i...

– Nie, mamusiu! Nie. Nie. Nie! Zmień mi pieluszkę teraz! Użyj wilgotnych chusteczek!

Monté i Kara popatrzyły na siebie, unosząc brwi. Siedziały bez słowa do czasu, kiedy kilka minut później Sam wróciła i opadła na kanapę. Westchnęła ciężko.

– Jak tak dalej pójdzie, to po odbiór dyplomu też pójdzie w pielusze. Mam na myśli dyplom college'u.

Kara odchrząknęła.

– Jeśli już jesteśmy przy college'u...

– O mój Boże! – Sam siadła wyprostowana i oparła ręce na kolanach. – Czy to ma coś wspólnego z Mitchem? Przyjechałaś, żeby mi powiedzieć, że go znaleźli?

– Och nie, skarbie. – Kara przekrzywiła głowę i powiedziała: –Sam, mam dla ciebie propozycję, ofertę, która może zmienić życie twoje i twoich dzieci.

To trochę zwariowany pomysł, ale sądzę, że mogę ci go przedstawić do rozważenia.

Sam siedziała chwilę, milcząc, w końcu powiedziała:

– Okej.

Kara odchrząknęła.

– Pamiętasz, co powiedziałaś w zeszły piątek w Lizard Lounge? Że nie widzisz nic złego w byciu utrzymanką?

– Co powiedziałam?

– Pewnie, że pamięta – wtrąciła Monté, która właśnie zadowolona spuściła nogi na podłogę. – Kontynuuj.

Sam spojrzała na nią.

– Naprawdę to powiedziałam?

– Pewnie, że tak. Powiedziałaś, że jeśli byłaby szansa na to, bez krzywdzenia dzieci, nie zawahałabyś się.

Sam zmarszczyła brwi, po czym znów spojrzała na Karę.

– Oczywiście w piątek mówiła to margarita, a nie ja – rzekła, po czym się zaśmiała. – A co, przez weekend znalazłaś jakiegoś frajera, który chce zostać moim tatuśkiem?

Kara trzymała ręce na kolanach.

– W zasadzie – powiedziała, odnotowując na twarzy Sam przerażenie – miałam nadzieję, że pomożesz mu zostać zwycięzcą.

Rozdział drugi

Jack nigdy nie był tak przerażony – chyba że podczas pierwszego i jedyne występu w Super Bowl, pod koniec swojego pierwszego i jedyne sezonu w NFL, kiedy to był rozgrywającym – i zdał sobie sprawę, że telewizja tak samo nie wybacza potknięć jak fani. Wtedy miał tak spocone ręce, że wypuścił pierwszą piłkę. Po prostu poczuł, jak prześlizguje mu się między palcami i spada na murawę. Teraz miał tak samo mokre palce i nie mógł pozbyć się wrażenia, że się dusi. Po prostu nie mógł. Kara miała rację. To była jego ostatnia szansa, by wziąć udział w wyborach krajowych. W głębi serca zdawał sobie z tego sprawę.

– Najgorsze za nami, Jack. Wyluzuj. Teraz pozostały już tylko formalności.

Jack obracał pióro w prawej dłoni i nie zwracał uwagi na Stuarta.

– Ta mała kobieta była nawet zręcznym negocjatorem. Pozwól, że coś ci powiem.

Stuart zasunął zasłony, tłumiąc światło w sali konferencyjnej na piętnastym piętrze.

– Bonus za podpisanie, nauka w prywatnej szkole, fundusz powierniczy na college, miesięczne stypendium... Od 1999 roku, gdy toczył się spór o porcjowanie koszerne mięsa, nie napracowałem się tak ciężko przy negocjowaniu kontraktu.

Jack spojrział z wyrzutem na swojego prawnika.

– Mam nadzieję, że nie chcesz mnie sprowadzić do poziomu rzeźnika.

– Oczywiście, że nie. Czytałeś informacje, jakie zdobyliśmy na jej temat?

– Tak, niezła robota. – Jack pokiwał głową z uznaniem.

Stuart i Kara ściągnęli tyle informacji o pani Monroe, że niemalże czuł się winny – ona za chwilę pojawi się w tych drzwiach, a on wie już wszystko na jej temat. Począwszy od rozmiaru buta, kończąc na wysokości kredytu.

Sam Monroe cieszyła się doskonałym zdrowiem – nie realizowała żadnych recept, nie była uczulona na kodeinę, hospitalizowano ją tylko na czas porodu. Żadnych komplikacji. Niegroźny zespół cieśni nadgarstka spowodowany pracą. Cztery ceramiczne korony na zębach trzonowych. Kontakt z prawnikiem w czasie rozwodu i po nim. Zdiagnozowana lekka depresja trwająca sześć miesięcy.

Czterdzieści pięć tysięcy dolarów prowizji, nie wliczając w to napiwków. Wciąż nie oddała kilku tysięcy z pożyczki studenckiej, ale toyota minivan z 1997 roku została spłacona. Wynajmuje dom za dziewięćset dolarów miesięcznie i często spóźnia się z opłatą czynszu. Brak pieniędzy na kartach Visa i Discover.

Chodziła do publicznej szkoły w Valparaiso i dostała mocne B w Hanowerze, college'u dla utalentowanych artystycznie.

Sprawa rozwodowa zakończyła się trochę ponad trzy lata temu. Zapis z biura prokuratora donosił, że jej były mąż, Mitchell James Bergen, adres nieznany, ma niezapłacone alimenty w wysokości pięćdziesięciu czterech tysięcy dolarów. Nie popełniła żadnych ciężkich wykroczeń ani nie była o nic oskarżona. Jednak w ciągu ostatnich piętnastu lat dostała trzy mandaty za przekroczenie prędkości i ostrzeżenie za zbite tylne światło. Rejestracja i przeglądy ważne. Jej dzieci nie wagarują i nie popełniły wykroczeń.

Ma doskonałe kwalifikacje zawodowe. Pracuje w salonie od trzynastu lat, kochają ją klienci i szefowa. Kiedyś trochę malowała. Kara powiedziała, że

Sam jest utalentowana i swego czasu sprzedawała nawet kilka obrazów, ale większość ludzi jej sztukę uważa za zbyt abstrakcyjną.

Rodzice i młodszy brat (żonaty) dalej mieszkają w Valpo. Nie utrzymują zażyłych kontaktów. Sam jest przywiązana do koleżanki z pracy, Monté McQueen, samotnej, nigdy niezameężnej matki, która zarobiła na studia kosmetologiczne, śpiewając w teraz już nieistniejącym zespole R&B z Indianapolis. Wygląda na to, że zapłodnienie jej przez perkusistę zespołu było jedynym wkładem poczynionym na rzecz ich syna Simona. W zasadzie wygląda na to, że Sam i Monté z dziećmi żyją w społeczności pozbawionej mężczyzn.

Jack doszedł do wniosku, że wiedza Samantha Monroe o nim dotyczy jedynie podstawowych rzeczy – słyszała o kontuzji kolana i epizodzie na zjeździe nauczycieli. Oczywiście wie też, że jest na tyle godny pożałowania, że zdecydował się zapłacić komuś za to, by go adorował.

– Spóźniają się? Założę się, że zmieniła zdanie. Stuart spojrzął na zegarek.

– Nie są spóźnieni i wątpię. Myślę, że Samantha Monroe denerwuje się, że ma złożyć podpis.

– A czy ja się denerwuję? – Jack odsunął się od stołu konferencyjnego, wstał, przejechał krzesłem przez pół sali, po czym podszedł do barku. Jego umysł pracował na pełnych obrotach.

Allen Ditto zaskoczył wszystkich, gdy złożył oświadczenie, że rezygnuje z ubiegania się o reelekcję. Miał siedemdziesiąt dziewięć lat, od blisko trzydziestu zasiadał w senacie, ale wciąż był sprawny. Prawie każdy, wliczając w to Jacka, zakładał, że Ditto pozostanie tam do śmierci. Ale starszy pan

zaskoczył wszystkich zarówno w domu, jak i w Waszyngtonie swoim oświadczeniem o przejściu na polityczną emeryturę.

„Nigdy nie chciałem do końca życia sprawować funkcji senatora. Wolę odejść, kiedy mam wysokie notowania, dając głosującym w Indianie szansę na dogłębne przemyślenie kandydatury tego, kto ma zająć moje miejsce” – powiedział na konferencji prasowej.

No cóż, mógł chociaż udzielić błogosławieństwa Jackowi, przecież był jednym z najlepszych przyjaciół jego ojca.

– Możesz mi podać butelkę wody, skoro już tam stoisz? – spytał Stuart.

– Jasne.

Jack westchnął. Gdyby tylko przewidział ruch Ditta, byłby lepiej przygotowany do kampanii. To była wina Ditta, że Jack musi sobie teraz wynająć narzeczoną.

Jack przyniósł butelkowaną wodę i postawił na stole konferencyjnym. Zaczął przesuwać dłońmi po blacie. Odchylił głowę i zaśmiał się do siebie. Cholera! On wcale nie pragnął mieć narzeczonej. Gdyby chciał jakąś mieć, toby poszedł i znalazł sobie. Nigdy siebie nie widział w roli narzeczonego.

I tak oto był tutaj, by podpisać umowę z kobietą, której nigdy nie widział na oczy, i zapłaci jej za to, żeby go usidliła.

Matka gotowa zatłuc go za to, w co zamierza się wpakować. Zaśmiał się głośno.

– Co cię tak śmieszy?

– Właśnie dotarło do mnie, że Samantha Monroe i ja podpiszemy wzajemny akt wykorzystania siebie. Jakie to czarujące.

Uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Stuart, to może się przerodzić w najbardziej uczciwą relację, jaką kiedykolwiek miałem z kobietą.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła sekretarka Stuarta, anonsując gości. Miała nastroszone blond włosy zamiast kasztanowej burzy loków, jakie lubił. Jej twarz niczym się nie wyróżniała. Za nią do pokoju weszła reszta kobiet. Za Karą podążała ta, na którą czekał.

Jacka zamurowało. Samatha Monroe była śliczna. Naprawdę śliczna. Wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciach, które pokazywała mu Kara. Wydawała się zdenerwowana, ale trudno się było temu dziwić. Miała duże niebieskie oczy, rozglądała się po pokoju, szukając jego. I kiedy ich spojrzenia się spotkały, mógłby przysiąc, że zaiskrzyło i wszyscy to usłyszeli.

Poczuł się, jakby zamknięto dopływ powietrza, i zabrakło mu tchu.

Samantha Monroe kiwnęła głową i obdarzyła go uśmiechem, który mógłby uznać za najbardziej rozbajający, jaki kiedykolwiek widział. Było to połączenie zawstydzenia, rozbawienia i sprytu. Kiedy Stuart przedstawił wszystkich, Jack sięgnął ponad stołem, żeby uścisnąć śliczną, małą dłoń Samanthy Monroe. Poczuł mrowienie, które nie ustawało, nawet kiedy zaczął siadać. Ułamki sekund za późno zorientował się, że jego krzesło wciąż stoi gdzieś na środku pokoju.

Jack podniósł się z podłogi i siadł na krześle, które Stuart wspaniałomyślnie mu przysunął. Kolano bolało go jak cholera. Widział, jak Kara przewraca oczami. Usłyszał rżący śmiech adwokata. Podniósł wzrok i zobaczył, że Samantha Monroe wpatruje się w niego ze współczuciem. Wyglądało to tak, jakby za chwilę miała złapać torebkę, wyjąć plastry i nalepić je tam, gdzie trzeba.

Dobry Boże. Niezupełnie był pewien, czy wybory do senatu są tego warte.

– Możemy zacząć? – spytał Jack jak gdyby nigdy nic.

Sam starała się zachować spokój. A co będzie, jeśli okaże się, że Jack Tolliver jest bęcwałem? Nie mógłby być jej prawdziwym narzeczonym. Nie zamierzała się śmiać, ponieważ nie było nic śmiesznego w siedzeniu w sali konferencyjnej z prawnikami, którzy zamierzali uzupełnić jej konto dużą sumą pieniędzy. Wszystko traktowała z należytą powagą.

Musiała przyznać, że Tolliver wyglądał dokładnie jak na zdjęciach. Nosił drogi, idealnie skrojony szary garnitur. Był wysoki, umięśniony, szeroki w ramionach. Wyglądał jak gwiazdor filmowy. Obrazu dopełniały gęste, dobrze ostrzyżone włosy, które za dwa tygodnie będą potrzebowały podcięcia, wyrazisty nos, zielone oczy i szelmowski uśmiech. Sam z dzieciakami spędziła kilka godzin na sprawdzaniu tego faceta w internecie. Według Grega, gdyby nie kontuzja kolana, która zakończyła karierę Tollivera w trzech czwartych sezonu Super Bowl, mógłby być jednym z najlepszych graczy. Natomiast według Lily ktoś, kto jest wysoki, ma ciemną karnację, jest bogaty i gorący, musi być skończonym palantem, co poparła artykułem opisującym skandal podczas zjazdu nauczycielskiego.

Sam przygryzła wargi, przypominając sobie nagranie wideo, które obejrzeli. Wydarzenie miało miejsce na pół godziny przed rozpoczęciem zjazdu. Jack myślał, że nikt nie zwraca na niego uwagi, kiedy niósł notatki na mównicę. Jego wzrok powędrował ku tyłczkowi jednej z prezenterek, która podnosiła upuszczony długopis. Wyglądało to tak, jakby nie mógł się powstrzymać. Uśmiechnął się i powiedział: „Chętnie bym został po szkole, żeby dostać kawałek tego”.

Tydzień później przegrał w wyborach do Kongresu. Sondaże powyborcze pokazały, że głosy uzyskane od kobiet wynosiły mniej niż dwadzieścia procent. Prasa zmieszała go z błotem, nazwała łajdakiem i seksoholikiem.

Jednak teraz, widząc, jak Jack próbował zachować twarz po upadku na podłogę, Sam nie wiedziała, co o nim myśleć. Zaczął mówić i Sam złapała się na tym, że bardziej przysłuchuje się tonowi jego głosu niż samym słowom. Miał dar wysławiania się, który powinien cechować mówcę, polityka lub aktora. Głos miał miękki, żywą gestykulację, duże, męskie, ale zadbane dłonie. Widziała wiele zdjęć, kiedy trzymał piłkę i był gotów posłać ją w przestrzeń. Doskonale pamiętała uścisk tej dłoni.

Denny odchrząknęła.

– Sam?

Wszyscy spojrzeli na nią.

– Tak. Wiem. Ustalenia mieszkaniowe.

Sam podświadomie uśmiechnęła się, zadowolona, że teraz wszyscy zwracają na nią uwagę.

– Już powiedziałam panu Fosterowi, że wolelibyśmy mieszkać sami.

– Proszę, mów mi Stuart – zaproponował, przyjaźnie się uśmiechając. – Jak wyjaśniłem ci wcześniej, nie możemy się na to zgodzić. Albo prywatna szkoła dla dzieci i fundusz powierniczy na studia, albo samodzielne mieszkanie. Nie możesz mieć obu tych rzeczy jednocześnie. Fundusze pana Tollivera, tak jak nas wszystkich, są ograniczone.

Sam pomyślała, że ograniczenie funduszy Jacka Tollivera jest zgoła inne niż u niej. Ona w zeszłym tygodniu musiała wybierać między kupnem nowych opon a obiadem urodzinowym dla Grega. Oczywiście wybrała to drugie. Zawsze tak robiła.

– Oczywiście – odpowiedziała.

– Będiesz z rodziną mieszkała w posiadłości Sunset Lane w czasie waszego narzeczeństwa, które skończy się czternaście dni po wyborach, czyli dwudziestego trzeciego maja. – Stuart przerzucił jakieś dokumenty i kontynuował: – To oczywiste: do trzydziestego pierwszego maja nie wynajmiesz agenta nieruchomości, który poszuka ci domu. Zgadzasz się?

Sam kiwnęła głową.

– Jeśli to konieczne.

– Konieczne – potwierdził poważnie, ale uprzejmie Stuart. – Prasa z łatwością by odkryła, że szukasz domu, a przedział cenowy nie pasuje do historii o planowaniu przyszłości z Jackiem.

– Ale mogę chyba dyskretnie szukać domu na własną rękę?

– Tylko pod warunkiem, że naprawdę będziesz ostrożna. – Stuart znów zajrzał w swoje papiery. – I, jak ustaliliśmy, Jack wciąż będzie przebywał w swoim apartamencie, ale będzie korzystał z biura w Sunset Lane. Czy zgadzasz się na to, Samantha?

– Oczywiście! W końcu to jego dom!

Spojrzała na Jacka. Siedział cicho, obserwując ją, a wyraz jego twarzy złagodniał. Zrzucił maskę i Sam przez chwilę zobaczyła innego człowieka. Przez krótki moment Jack wyglądał niemalże miło.

– Pies musi przebywać na zewnątrz.

– Może na werandzie? Masz taką?

Jack pokiwał głową.

– Dobrze. Ale wszelkie szkody wyrządzone w rezydencji Sunset Lane ty pokryjesz. Koszty naprawy zostaną odliczone od twojego miesięcznego wynagrodzenia.

Okej. Wcale nie był miły.

– Oczywiście pomijając naturalne zużywanie się materiałów –wtrąciła się Denny. – Przykładowo: moja klientka nie może być odpowiedzialna za niszczenie się zewnętrznych żaluzji.

– Jeśli dzieci nie będą się na nich huścić.

– Moje dzieci nie huścą się na żaluzjach, panie Tolliver.

– A na żyrandolach?

Sam uśmiechnęła się słodko.

– A może by pan tak wziął te swoje żyrandole i wepchnął... W tym momencie Denny kopnęła ją pod stołem.

– ...do magazynu na następne sześć miesięcy.

Stuart głęboko zaczerpnął powietrza. Kara odchrząknęła. Denny położyła rękę na dłoni Sam. A Jack wpatrywał się w nią swoimi zielonymi oczami. Był zdziwiony nawet zaskoczony. Potem jego usta się rozciągnęły i uśmiechnął się do niej.

– Państwo nam wybaczą. – Jack wstał. – Pani Monroe i ja pójdziemy zjeść szybki lunch.

– Tak?

– Tak – potwierdził Jack, pojawiając się u boku Sam i dotykając jej łokcia.

– Myślę, że musimy jeszcze porozmawiać, zanim którekolwiek z nas podpisze umowę.

– Zgadzam się w zupełności. – Sam wzięła torebkę i podażyła za Jackiem Tolliverem do drzwi. Spojrzała na Denny.

– Jeśli nie wrócę za godzinę, dzwoń na policję – powiedziała.

– Dziewczyna naprawdę mogłaby się przyzwyczać do pięciogwiazdkowego jedzenia – rzekła, popijając wodę przez słomkę. – Wszystkie swoje narzeczone tu przyprowadzasz?

Jack ugryzł smakowitego cheeseburgera – wysmażonego na zewnątrz i soczystego wewnątrz – i poczuł, że ma wielką plamę musztardy na podbródku. Zanim zdążył sięgnąć po serwetki, Sam wzięła jedną i starła musztardę.

– Czemu to robisz, Samantho?

Sam rozejrzała się po tłumie w Workingman's Friend i wzruszyła ramionami.

– Doszłam do wniosku, że skoro kandydujesz do Kongresu, to ludzie nie powinni cię widzieć z musztardą na twarzy.

– Formalnie jeszcze się nie zadeklarowałem. A przyprowadziłem cię tutaj, bo nie wiem, czy zauważyłaś, że mają tu najlepsze burgery w mieście. Poza tym to nie jest odpowiedź na pytanie, które ci zadałem, i doskonale o tym wiesz.

Jack odłożył wielką bułkę i przysunął się do Sam. Była zaradną kobietą, bez dwóch zdań. Jej mąż, jakiś postrzelony artysta, dał nogę zaraz po urodzinach ich trzeciego dziecka. Dzieciak nosił imię któregoś ze stanów, Montana lub Nevada, ale nie pamiętał którego. Mimo że miała dyplom z Hanoweru, ze sztuki średniowiecznej lub czegoś równie bezużytecznego, znajdowała jakiś sposób na wiązanie końca z końcem.

– Dlaczego się na to zgadzasz? – Jack obniżył głos do szeptu. – Na ten tak zwany związek?

– Dla moich dzieci.

– Piękne, ale...

– Posłuchaj, Jack. Przez ostatnie dwa tygodnie myślałam wyłącznie o propozycji Kary. Siedziałam i myślałam, aż mózg mi się gotował. Jeśli moje dzieci i ja będziemy dobrze grać swoje role przez sześć miesięcy, to będziemy mieć z tego korzyści do końca życia. Kiedy znów nadarzy się taka okazja? Dwójka moich starszych dzieci rozumie, czego się od nich oczekuje i z jakiego powodu się na to decydujemy.

Jack przysunął się i wyszeptał:

– Nie mogą powiedzieć o tym nikomu, nawet swoim najlepszym przyjaciółom, bo umowa zostanie zerwana.

– Wiedzą o tym.

– To samo dotyczy ciebie, Samantha.

Kiwnęła głową, obserwował, jak odgarnia z twarzy niesforny lok. Miała trzydzieści sześć lat, ale wyglądała na dwadzieścia dziewięć. Cerę miała brzoskwińową i gładką. Używała wyłącznie błyszczyka i tuszu do rzęs. Ubrana była w niebieski sweter z mnóstwem guzików z przodu. Pomyślał, że rozpięcie tego cholerstwa zabrałoby mu mnóstwo czasu.

– Za późno na to, Jack. Moja najlepsza przyjaciółka już wie. Nazywa się Monté McQueen, pracuje ze mną w salonie i była u mnie, kiedy Kara przyszła z propozycją. Jej syn Simon też wie. Wie też moja prawniczka, którą poznałeś, Denny Winston.

– Rzeczywiście.

– A co z tobą? Kto z twoich wie?

– Stuart i Kara, i ewentualnie matka się dowie.

Samantha mrugnęła;

– A racja. Twoja matka. Czytałam o niej. Jest szychą w towarzystwie, tak? Kiedy jej powiesz?

Znów poczuł, że się dusi. Szarpnął za krawat. Bez wątpienia Marguerite Dickinson Tolliver dostanie szału, kiedy się dowie. Za swoją życiową porażkę uważała to, że jej trzydziestoósmioletni syn do tej pory nie ożenił się z jakąś piękną i odpowiednio urodzoną kobietą, z którą by miał gromadkę dzieci.

Przez ostatnie dwadzieścia lat Jackowi szczęśliwie udawało się ograniczać kontakty z matką do minimum. Ale niemożliwe, żeby się nie dowiedziała, że spotyka się z fryzjerką. Nie było też wątpliwości, że Jack usłyszy zdanie matki na ten temat. Miała swoje sposoby na to, by dowiedzieć się, co się dzieje w Indianapolis, choć przebywała tysiące kilometrów stąd.

– Poczekam, aż załatwimy wszystkie formalności. Matka spędza zimę na Florydzie, więc ta informacja może poczekać.

Samantha pokiwała głową.

– Tolliver? Cześć, stary!

Cięzka ręka opadła na ramię Jacka w momencie, gdy zamierzał ugryźć cheeseburgera. Spojrzał na czerwoną twarz Brandona Miliewskiego, lobbysty uwielbiającego hazard. Spędził z nim wiele wieczorów, w czasie kiedy był jeszcze asystentem gubernatora.

– Słyszałem, że kusi cię stołek po Dicie. To prawda? A kim jest twoja urocza towarzyszka?

Jack zwrócił się w stronę Samantha, która wymieniała uścisk dłoni z Miliewskim.

– To moja przyjaciółka, Samantha Monroe.

– Miło mi cię poznać – zwrócił się Brandon do Sam. Znów spojrział na Jacka.

– Więc to prawda?

Miliewski pobrzękiwał drobniakami w kieszeni i wyglądał, jakby wcale mu się nie spieszyło. Jack wiedział, że niezależnie od tego, jakiej odpowiedzi udzieli, Miliewski za parę godzin rozpowie o tym wszystkim.

– Też słyszałem te plotki, Brandon. Muszę przyznać, że to interesująca możliwość.

Miliewski się zaśmiał.

– Interesująca możliwość? Jack, przestań się wygłupiać. Od kiedy Ditto odpalił swoją bombę, wszyscy się zastanawiają, czy będziesz kandydował. Jesteś najseksowniejszą rzeczą, jaką partia ma do zaoferowania.

– No cóż, dzięki Brandon.

Jack zerknął na Samanthę, która wpatrywała się w nich wielkimi oczami.

– Miał na myśli „seksownego” w znaczeniu politycznym. Chodzi o to, że jestem młody, mam charyzmę i rozpoznawalne nazwisko.

– Tylko jeśli wyborcy będą w stanie wybaczyć ci... – Tu skierował wzrok na Sam, która właśnie chrupała frytkę. Miliewski chrząknął. – Cóż, Jack, fajnie było cię spotkać. Daj nam znać, kiedy możemy zorganizować przyjęcie na twoją cześć. – Lobbyista odszedł, puszczając do niego oko.

– Mam wrażenie, że przegapiłam kilka kluczowych momentów tej rozmowy. Nigdy nie przebywałam tak blisko polityków.

Uśmiechnął się.

– Prawdopodobnie będziesz żyła dłużej i szczęśliwiej.

– Nie lubisz tego? Mam na myśli politykę. Czemu startujesz do senatu, skoro nie kochasz tego, co robisz?

To było pytanie, którego sam sobie nie chciał zadawać. Zdecydował, że przedstawi jej skróconą wersję problemu.

– Noszę nazwisko Tolliver. Jeśli spojrzeć na to z perspektywy historycznej, Tolliverowie robili dobrze dwie rzeczy – grali w futbol i zajmowali się polityką. Rozwaliłem sobie kolano, więc zająłem się polityką.

Sam spojrzała na niego gniewnie, przechyliła się do tyłu na krześle, krzyżując ręce na ślicznych piersiach. Bardzo chciałaby przestać myśleć, że wszystko w tej kobiecie jest urocze, ale nie mógł. Miała zachwycające piersi, piękne, krągłe, wyglądały na solidne 34C, jeśli się nie mylił.

– Jack, powiedzmy sobie jasno, że gdyby nie plan Kary, ty i ja nigdy byśmy się nie spotkali i, bądźmy szczerzy, nie jestem nawet pewna, czy cię lubię.

– Mówisz serio?

Próbował się nie uśmiechać, ale było coś, co go intrygowało w tej zadziornej i uroczej kobiecie. To było coś, co sprawiało, że chciał się uśmiechać.

– Tak, mówię serio. Sądzę, że jesteś pozerem, rozpuszczonym bogatym chłopcem, który nigdy nie musiał pracować. I gdybym nie tonęła w długach po uszy, nigdy nie zgodziłabym się na tę farsę. Ale jestem zdesperowana. Chcę po prostu, żebyś to wiedział.

Jack pozwolił zawisnąć słowom w powietrzu, a później się uśmiechnął.

– Samantha Monroe – zdesperowana stylistka. Brzmi cholernie fajnie.

Sam nie podzielała jego poczucia humoru. Wstała, sięgnęła po torebkę i była gotowa zakończyć ten lunch. Jack też wstał, pomógł jej włożyć płaszcz i przez szklane drzwi wyszli na Belmont Avenue. Cały czas czuł na plecach spojrzenie Brandona Miliewskiego. Złapał Sam za rękę. Odwrócił się, by zerknąć na Brandona, który gapił się na nich z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Już zaczęliśmy? – spytała Sam, zerkając na swoją dłoń w dłoni Jacka, a później na niego. Jej śliczne niebieskie oczy zmrużyły się, policzki lekko zaróżowiły. Nie wiedział, czy od chłodu, czy od dotyku ich rąk.

– Pewnie, że tak.

Zbliżył usta do jej twarzy. Specjalnie dla Miliewskiego zamierzał złożyć niewinny pocałunek. Jednak kierowany jakimś impulsem pochylił trochę głowę. Może to ciepło, może zapach jej włosów, a może sposób, w jaki jej usta się rozchyliły ze zdziwienia, sprawił, że zapragnął czegoś więcej niż suche cmoknięcie. Pogłaskał palcem jej uroczy podbródek, ich usta się zetknęły. Pocałunek trwał trzy sekundy, a on znów poczuł mrowienie jak w biurze Stuarta. Ale teraz nie dotyczyło tylko żołądka.

Samantha Monroe była ciepła, wilgotna i delikatna. Ten pocałunek to były trzy sekundy rozkoszy.

Cofnęła się jak rażona piorunem. „Najpierw pieniądze, potem obściskiwanie” – to wszystko, co powiedziała. Jack zaśmiał się i przyciągnął jej rękę. Wracali do biura uśmiechnięci.

Później, kiedy patrzył, jak Sam składa swój podpis pod umową, wspomnienie pocałunku sprawiło mu przyjemność, i to taką, że aż dostał wzvodu. Przez krótką, zwariowaną chwilę pomyślał, że może pocałunek spodobał się też Sam. Chociaż troszkę, mimo że kryła się za nim tylko polityka.

Rozdział trzeci

– To miejsce jest niezemskie!

Lily pierwsza wyskoczyła z vana i stanęła jak wryta z rękami opartymi na biodrach i otwartymi ustami. Zaraz za nią z samochodu wyskoczył Greg.

– O kurde! Tam z tyłu to kryty basen? I szklarnia? No co wy? Simon był tuż za nim. Położył rękę na ramieniu przyjaciela i pokiwał głową z uznaniem.

– Synu, to mogła być jakaś speluna czy coś takiego.

– Jesteście pewni, że przyjechaliśmy pod dobry adres? Bo wiecie, to miejsce wygląda niemal jak pałac Buckingham. Hej, księżniczki, macie nawet wieżę – powiedziała Monté, stając dwa kroki za dziećmi.

– Oczywiście, że to dobry adres. Inaczej karta magnetyczna nie otworzyłaby bramy.

Sam słuchała tych ochów i achów, kiedy wyciągała Dakotę z fotelika w samochodzie. To nic, że w czasie dwudziestu minut jazdy zdążył cały zalać się sokiem i poprzyklejać psie kłaki do swojej bluzy. Westchnęła. Wiedziała, że nie zrobi dobrego wrażenia na Jacku Tolliverze. Co jest złego w chęci przedstawienia swojej rodziny w najlepszym świetle? W końcu kontrakt, który podpisali, miał na celu poprawienie wizerunku Jacka. I zamierzała solidnie pracować na swoje pieniądze.

Dale zaszczekał i przecisnął się między jej nogami. Kiedy tylko Sam postawiła Dakotę na podjeździe, ten puścił się za psem. Zamknęła drzwi samochodu i dopiero wtedy spojrzała na dom.

– O kurczę! – Zasłoniła ręką usta i gapiała się na wyniosłą budowlę, która ukazała się jej oczom. Denny coś wspominała, że posiadłość jest imponująca, ale Sam nie spodziewała się, że aż tak. Nie podejrzewała, że normalni ludzie

mogą mieszkać w takiej rezydencji. Ale może Tolliverowie wcale nie byli normalnymi ludźmi. Byli nienormalnie bogatymi ludźmi.

Być może przejeżdżała obok tej ukrytej drożki setki razy, ale nigdy nawet w tę stronę nie zerknęła. Posiadłość była otoczona jakimiś dwunastoma innymi majątkami, wysokimi murami i strategicznie rozmieszczonymi krzakami. Ci, którzy tu mieszkali, z pewnością nie chcieli, by motłoch wiedział, co się kryje wewnątrz.

– Halo? Idziemy? – Lily prawie podskakiwała z wrażenia, a Sam usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem widziała swoją córkę tak uradowaną. Tak, z pewnością przed okresem dojrzewania.

W kieszeni płaszcza zaczęła szukać kluczy do domu. Nagle wielkie mahoniowe drzwi się otworzyły i ukazał się Jack.

Na jego twarzy pojawił się ciepły uśmiech i Sam nie mogła przestać myśleć o tym, jak niesamowicie podniecający był pocałunek tego mężczyzny i jak sprawił, że poczuła go wszystkimi zmysłami. Siłą woli powstrzymała się, by na środku chodnika nie rzucić mu się w ramiona. Oczywiście ten element jej publicznego wystąpienia nie mógłby wpłynąć na przebieg kampanii. Pocałunek był tym bardziej okrutny, że od półtora roku nie umawiała się z nikim.

Samantha powróciła myślami do rzeczywistości. Powitalny uśmiech Jacka zamarł na twarzy, kiedy zobaczył tłum ludzi stojących na podjeździe. Sam chyba powinna wspomnieć, że Monté i Simon będą pomagać im w przeprowadzce, ale widać nie uznała tego szczegółu za istotny.

Patrzyła, jak Jack otrząsa się z szoku. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Niebiesko–burgundowy sweter zarzucił na ramiona. Ten facet wyglądał jak model Ralpa Laurena.

Przez chwilę jej się wydawało, że dostrzega nieznaczne zawahanie się Jacka, ale wrażenie minęło tak szybko, jak się pojawiło. Podszedł do Lily, Grega i Simona i wyciągnął rękę na powitanie. W tym momencie jakiś hałas przyciągnął jego uwagę.

– Panie, miej litość – westchnęła Monté.

Być może Stuart ukrył gdzieś w umowie jakiś kruczek prawny, jakąś klauzulę, która umożliwiłaby wycofanie się z całej sprawy. O tym właśnie myślał, kiedy przygotowywał siedem kubków gorącego kakao i próbował rozmawiać z siedmioma osobami. Ten plan nie mógł się udać.

Najmniejsze dziecko było gołe od pasa w dół. Tak jak stworzyła je natura. W grudniu. Na dodatek mały miał mnóstwo psich kłaków na przodzie ubranka.

Źródło psiej sierści zadowolone wypróżniało się na trawniku.

Teraz siedzieli w kuchni. Troje dorosłych, którzy starali się zrobić na sobie jak najlepsze wrażenie. Brązowowłosy chłopiec, Greg, trochę się jąkał. Dziewczynka, Lily, miała tak umalowane oczy, że wyglądały jak podbite. Afroamerykański dzieciak, Simon, trzymał ręce skrzyżowane na piersiach, a jego usta poruszały się delikatnie. Przyjaciółka Sam, Monté, oglądała dom z uwagą i co jakiś czas wydawała odgłosy zadowolenia, kiedy zauważyła coś, co jej się podobało. Były to na przykład toaleta damska w pobliżu holu, basen, zestaw do fitnessu i wielofunkcyjna lodówka. Jack czuł się, jakby ktoś go gwałcił, kiedy Monté przeniosła swoje taksujące spojrzenie na niego i zaczęła go oglądać od stóp do głów, wydając głębokie pomruki zadowolenia.

I wreszcie Sam. Oczywiście była zawstydzona tym, co się stało przed domem. Gonila za małym Arizoną i nawet udało jej się znów go ubrać. Cały czas przy tym przeproszała za jego zachowanie i mówiła coś o nauce

załatwiania się do nocnika. Wiedza Jacka na ten temat była minimalna, za cholere nie wiedział, o co chodzi, i nie zamierzał się dowiadywać.

Sam trzymała teraz na rękach wierzące się dziecko, jakby się bała, że znów zacznie biegać i wszystkiego dotykać lub zdejmie spodnie. Zanedbany biały pies przystawiał łeb do szyby w drzwiach pokoju Floryda i szczekał.

Jack przypomniał sobie, że Kara opisywała Sam i jej świtę, używając słowa „idealni”. Co ona miała na myśli? Jedyne głosy, jakie może dzięki niej zyskać, to głosy współczucia.

– Mam nadzieję, że teraz, kiedy posiedzę z małym w domu, szybko opanujemy ten problem.

Jack pokiwał głową, słysząc komentarz Sam, trochę zaniepokojony, że znów wspomina o problemach Utah z sikaniem. Zdał sobie sprawę, że kiedy użyła słowa „dom”, to mówiła o tym domu, tym samym, który wybudował jego dziadek, Winston Milford Tolliver, w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku. Teraz ten dom przez sześć miesięcy będzie domem Sam i jej gromadki.

Jack opowiedział Sam o posiadłości, o warunkach przeniesienia dzieci do innej szkoły i o godzinach, kiedy w domu są państwo Dyson, pan złota rączka i gospodyni. Cały czas usiłował nie gapić się na jej ponętne ciało. Miała na sobie dzinsy i jakiś kusy sweterek. Mimo że ubranie było zwyczajne, wyglądała niesamowicie. Dostrzegł też, że tyłek Sam był tak samo wspaniały jak reszta jej ciała. Wciąż nie mógł zapomnieć pocałunku przed restauracją.

Musi być gdzieś jakaś luka prawna.

Dzieciaki siorbały kakao w milczeniu, a Jack zastanawiał się, ile czasu zajmie wyniesienie z powrotem ich rzeczy. Faceci od przeprowadzek przyjechali wcześniej tego ranka. Przywieźli kartony z ubraniami, zabawkami,

plytami CD. Wspomnieli coś, że reszta mebli Sam pojechała do przechowalni na West Tenth Street niedaleko trasy szybkiego ruchu. Kiedy wnieśli pudła i kilka szaf, Jack był strasznie ciekawy, bez czego Sam nie może się obejść przez sześć miesięcy.

Sześć długich miesięcy.

– Chciałabym urządzić się w moim pokoju, jeśli to nie problem

– Lily wypowiedziała prośbę niepewnym głosem. Jack uzmysłowił sobie, że próbuje ujrzeć tę dziewczynę bez warstwy makijażu. Miała niebieskie oczy tak samo jak jej mama, ale usta cienkie i wąskie, natomiast usta jej mamy były śliczne i pełne. Jack obdarzył ją miłym uśmiechem, bo dotarło do niego, że właśnie wprowadziła się do domu obcego faceta, a od poniedziałku idzie do nowej szkoły, Park Tudor School. To wszystko musiało być dla niej trudne.

– Pewnie, nie ma problemu. Oprowadzę was po waszym skrzydle. Zapadła cisza, Sam odchrząknęła.

– Nigdy nie mieszkałam w tak dużym domu, żeby miał skrzydła.

– Próbowała wciągnąć dzieci w rozmowę. – Greg wie, że szczytem moich marzeń było posiadanie domu z garażem.

Monté pokiwała głową.

– Jedyne skrzydła, z jakimi miałam do czynienia do tej pory, to te od kurczaka.

Kobiety zarechotały, dzieci razem z Simonem zaczęły rzeć. A Jack pomyślał z rozkoszą, że jak tylko rozlokuje towarzystwo w ich pokojach, zadzwoni do Stuarta.

Głowa Sam opadła swobodnie na poduszki. Wszystkie smutki i obawy, które nagromadziły się w ostatnich latach, schodziły na plan dalszy, więc

pomyślała, że jej życie się ułoży. Wreszcie miała szansę odetchnąć. Pomyśleć. Poczuć.

Niestety nie wszystko, co przeżywała, było miłe.

Czuła się lepiej, gdy patrzyła na spokojną twarz Dakoty, który spał obok. Usta miał lekko rozchylone, policzki zaróżowione, a powieki poruszały się pod wpływem dziecięcych snów. Wytrzymał w swoim pokoju tylko pięć minut, bo bał się zostać sam. Wiedziała, że Greg musi być wniebowzięty, mając pokój tylko dla siebie, dlatego wzięła małego do swojego łóżka. Zgasiła wszystkie światła prócz tego nad umywalką w łazience, która przylegała do sypialni. Przykryła Dakotę kołdrą.

Patrzyła na jego anielską buzię i bawiła się loczkami. Bez wątpienia włosy odziedziczył po niej, ale całą resztę po Mitchellu. Czasami łapała się na rozpamiętywaniu przeszłości i wtedy zapominała o tym, że powinna się przed nią chronić, a ból zakradał się pomalutku. Wspomnienia bolały. Przecież tak nagle okazało się, że jej mąż jest gejem i wystąpił o rozwód. A w tym czasie ona była w ciąży. Najbardziej bolało to, że Mitchell odszedł, jak urodził się Dakota. Zostawił dzieci i nikt nie wiedział, gdzie jest i czy jeszcze żyje. Taki ból nigdy całkowicie nie znika. Po prostu trzeba się nauczyć z nim żyć.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy tego wielkiego domu. Usłyszała buczenie pieca, tykanie zegara dziadka Jacka w holu – i poczuła, jak uspokajają się jej serce i puls.

Najważniejsze, że byli razem i nikomu nic nie dolegało. A szczęście nadejdzie za sześć miesięcy, kiedy dopełnią warunków kontraktu. Znajdą wtedy przytulny domek. Jeśli Sam zdecyduje się na powrót do salonu, postara się o opiekunkę dla małego, dopóki ten nie pójdzie do szkoły. Lily będzie mogła pojechać do Francji lub gdziekolwiek będzie chciała. A Greg dostanie

najlepszego prywatnego terapeuty w Indianapolis. Jej dzieci będą mogły snuć wielkie marzenia, ubiegać się o miejsce w najbardziej ekskluzywnych college'ach w kraju. Tym wszystkim ktoś się zajmie.

Właśnie dlatego Sam zdecydowała się na ten krok. I dlatego ona i jej dzieci byli tutaj.

Sam znów otworzyła oczy. W ciemnościach pokój wyglądał jak kadr z filmu z Hepburn i Tracym. Jasne satynowe zasłony spływały na pluszowy dywan w kolorze złamanej bieli. Dwie kanapy umieszczone przed kominkiem były obite taką samą satyną. Ściany pokrywała droga tapeta w kolorze białokremowym. Wszystkie meble wyglądały na cenne antyki, być może francuskie. Na marmurowym stoliku do kawy w wielkim wazonie z rżniętego szkła stał bukiet świeżych różnokolorowych kwiatów. Sam zastanawiała się, czy to pani Dyson je tu przyniosła, i jak by to było mieć gospodynię.

Łazienka była większa niż pokój gościnny i jadalnia razem wzięte w ich dotychczasowym domu. Cała z białego marmuru, nieskazitelnie czystego szkła i stali nierdzewnej. Kabina prysznicowa miała sześć różnych natrysków i była wystarczająco duża, żeby... no cóż... o tym pomyśli innym razem. Do tego jeszcze jacuzzi, obok którego leżał stos puszystych białych ręczników w każdym możliwym rozmiarze.

Jednak największe wrażenie na Sam zrobiło łóżko, na którym spała teraz z Dakotą. Było to królewskich rozmiarów łożo z prześwitującym baldachimem. Narzuta była kremowa w różowe pasy, ręcznie haftowana na brzegach. Leżało na niej mnóstwo poduszek. Wciąż mimo woli porównywała cały ten przepych ze swoim starym dwuosobowym łóżkiem w domu na Arsenal Street.

Uśmiechnęła się na wspomnienie ostatniej rozmowy z zarządcą domu, Skeeterem Westerkampem. Tak, zrywa umowę i się wyprowadza. Tak, pokryje

koszty rozwiązania umowy. Tak, był strasznym dupkiem i krzyżyk mu na drogę. Tak, tę rozmowę odbyła, kiedy pakowali się do vana; zostawili zepsuty pojemnik na śmieci, nieszczelną wannę, rozbite okno w pokoju chłopców i nieszczelny piec, by wyruszyć do posiadłości Tollivera.

W głowie Sam pojawiła się melodia ze starego show telewizyjnego *Beverly Hillbitties*. Zachichotała. Nie zabrali krzeseł z kuchni i garnków do gotowania na parze.

Wędrując wzrokiem po pokoju, zatrzymała go na drzwiach wielkiej garderoby i na kartonowych pudłach, w których leżały jej obrazy. Może oprócz oddychania, myślenia i odczuwania, w ciągu tych sześciu miesięcy znajdzie trochę czasu na malowanie. Miała nadzieję, że nie zapomniała, jak to się robi, i że nadal wie, co jest warte uwiecznienia.

Myśli Sam powędrowały ku Jackowi i poczuła w sercu lekkie poruszenie, które przemieściło się do żołądka. To przez ten pocałunek, pocałunek na środku chodnika, o którym nie mogła zapomnieć. Nie trwał długo i był jakby częścią umowy, ale naruszył jej samotność, którą znosiła przez ostatnie trzy lata. Jack Tolliver wprowadził wielki bałagan w jej życiu, który trzeba posprzątać. Wiedziała, że pocałunki wchodzą w zakres ich kontraktu. Po wygaśnięciu umowy pomyśli o znalezieniu prawdziwego mężczyzny, który będzie naprawdę całował, naprawdę dotykał i być może naprawdę pokocha.

Poza tym Jack Tolliver nie był w jej typie. Był tak przystojny, że należał jakby do innego świata. No i oczywiście był egocentrykiem. Sam pamiętała jego minę, kiedy podnosił się z podłogi po upadku. A także jego śmiech po tym, jak ją pocałował. A także wrażenie, jakie na niej wywarł, kiedy usiedli razem do obiadu. Pomyślała, że w Jacku toczy się walka między tym, jaki jest, a tym, kogo świat oczekiwał...

– Mamusiu? – Sam usłyszała cichy głos i zobaczyła, jak otwierają się podwójne drzwi. Lily wsadziła przez nie głowę i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Cześć, brzoskwinko.

– Nie mogę spać. Strasznie tu dziwnie. Mogę wejść i zostać z tobą?

Sam sięgnęła po narzutę i odrzuciła ją, robiąc miejsce dla Lily. Dziewczyna z chichotem przebiegła przez pokój, by wskoczyć na łóżko.

– Uważaj – ostrzegła Sam, wskazując na Dakotę.

– Ojej, nie wiedziałam, że tu jest – powiedziała Lily, opierając się na łokciu. – Brakuje tylko Grega i Dale'a. Czy mam po nich iść?

Sam się roześmiała.

– Obawiam się, że Dale ma długotrwały zakaz wstępu do tego pokoju i na przestrzenie pokryte dywanami.

– To okropne. Mamy przecież pokojówkę, więc nie wiem, w czym problem. Zupełnie jakby Jego Ekscelencja uważał, że nie umiemy dopilnować własnego psa. To chore, na miłość boską!

Sam zamknęła oczy, zastanawiała się, jak zareagować. Czy wprawdzie powinna zwrócić uwagę na tytuł, jaki nadała Jackowi, czy też na słowa, których na pewno nie chciałaby słyszeć u czternastolatki.

– Słuchaj, Lily...

– Tak, okej, przepraszam. Nigdy tak przy nim nie powiem i wiem, że nie powinnam wzywać imienia Pana Boga nadaremno, chociaż nie chodzimy do kościoła. Tyle że Dale to po prostu Bogu ducha winny szczeniak.

Sam się uśmiechnęła.

– Jack po prostu nie jest przyzwyczajony do przebywania w otoczeniu psów i dzieci. Będziemy musieli sprzątać po sobie i przestrzegać zasad. – Sam

przeczesała ręką gładkie włosy córki. – Może powinniśmy zacząć chodzić do kościoła co tydzień. Co o tym sądzisz?

Lily zrobiła wielkie oczy.

– O rety, mammo! Chyba nie zamierzasz mnie nawrócić? Sam zaśmiała się cicho.

– Nie, ale przez najbliższe sześć miesięcy zamierzam być najlepszą matką i poświęcać wam najwięcej uwagi i najbardziej was kochać. Chcę się nacieszyć każdą minutą z wami.

– Okej. Naprawdę zaczynasz mnie przerażać.

Dakota poruszył się, a one zachichotały i zaczęły się uciszać.

– Pamiętaj, brzoskwinko, wcale nie jesteśmy bogaci, tylko takich udajemy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Mammo? W moim pokoju jest za cicho, żeby spać – wyszeptał Greg.

Podszedł do łóżka i zobaczył, że siostra i brat go ubiegli.

– Posuń się, Szkieletor – powiedział do Lily.

– Nie, i przestań tak do mnie mówić, Jąkało.

– Chodź tu, mój mężczyzno. – Sam odchyliła kóldrę tak, żeby zrobić miejsce dla Grega, a ten ułożył się przy Dakocie. Pogładziła policzek najstarszego syna i uśmiechnęła się do niego. Wysłanie go do prywatnej szkoły i odseparowanie od dawnych kolegów to prawdziwy dar niebios. Nareszcie nikt nie będzie mu dokuczał i naśmiewał się, że potrzebuje terapii.

– Jest tu wystarczająco dużo miejsca dla nas wszystkich i myślę, że to odpowiedni moment, żebyście się przestali przezywać. Przez następne sześć miesięcy musimy się zachowywać wzorowo, współpracować ze sobą. Rozmawialiśmy już o tym.

– Wiem – wymamrotała Lily.

– Okej – westchnął Greg.

– Jutro mamy spotkanie z panem Tolliverem, jego adwokatem i Karą. Omówimy podstawowe zasady i plan zajęć na przyszły tydzień. Liczę, że będziecie się zachowywać jak cywilizowani ludzie.

– Tak.

– Niech będzie.

– Co wy na to, żebym zaśpiewała wam kołysankę? – spytała Sam.

– Mamo, nie jesteśmy już mali.

Odmowa ta dotarła do niej z niesamowitą siłą. Doskonale wiedziała, że jej dzieci dorastają, że minęły czasy pieluszek, pizzy na wynos, rozpadających się małżeństw i nieprzespanych nocy. Przez najbliższe sześć miesięcy postara się o tym zapomnieć. Odchrząknęła i powoli zaczęła śpiewać: „This is the story 'bout a man named Jed...”.

Lepiej, żeby to było coś ważnego – powtórzyła sobie Christy Schoen po raz trzeci w myślach. Nie lubiła Brandona Miliewskiego, a już na pewno nie znosiła czekania na kogokolwiek, w szczególności na kogoś, kogo nie lubiła. Poczekaj jeszcze dwie minuty, i to tylko dlatego, że jest optymistką i że istnieje szansa, że choć jedna z tych jego historyjek może się okazać warta usłyszenia.

Pucołowaty gość wszedł przez drzwi Chatterbox Tavern, rozglądając się na prawo i lewo, jakby sprawdzał, czy ktoś go rozpoznaje. Dobry Boże, przecież byli tylko ona i barman. Była czwarta po południu w niedzielę. Normalni ludzie siedzieli w domach z rodzinami, odpoczywając i dyskutując o sprawach publicznych, pokazanych tego popołudnia w programie *Capital Update with Christy Schoen*.

Cały dzisiejszy program był poświęcony niespodziewanemu ogłoszeniu przez Ditta, że nie będzie startował w kolejnych wyborach; powodzi kandydatów i wpływowi, jaki pociągnie za sobą wymiana senatora. Oczywiście ten drań Jack Tolliver wzbudzał największe zainteresowanie, ponieważ zachowywał się tak, jakby ta sprawa nie miała dla niego wielkiego znaczenia. Budził zainteresowanie, nie starając się o to. Nie znosiła tej jego nonszalancji bardziej niż czegokolwiek innego. Okej – może bardziej nie znosiła tego, jak traktował kobiety, jak zmieniał je niczym rękawiczki. Jakby świat był pełen kobiet pięknych, mądrych i bajecznych, takich jak ona!

Christy wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Któregoś dnia Tolliver zobaczy, jaki błąd popełnił tej nocy, gdy ją zostawił. Któregoś dnia do niej wróci.

Brandon podszedł do jej stolika i na przywitanie zamierzał pocałować ją w policzek. Ograniczyła kontakt do podania mu ręki i wskazała miejsce.

– Siadaj.

– Wyglądasz wspaniale, zresztą jak zwykle. – Kaprawe oczka rozbłyły w czerwonej twarzy Brandona.

– Ty też – powiedziała, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to jak oczywiste kłamstwo, ponieważ Brandon nie wyglądał dobrze. Wyglądał jak spasiony palant ze wsi, i tym właśnie był. – Piję kawę. Chcesz?

– Nie, dzięki, z tobą chętniej bym wypił butelkę wina. Zmarszczyła nos, zupełnie jakby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach, i powiedziała:

– Może innym razem.

Kiedy Brandon powoli zdejmował kurtkę, poczuła, że taksuje ją wzrokiem. Oczywiście była do tego przyzwyczajona; westchnęła lekko. Czasami ciążyło jej bycie piękną, fotogeniczną blondynką.

– Ho, ho, naprawdę dobrze wyglądasz. Położyła ręce na stole i uśmiechnęła się.

– Masz dokładnie pięć minut.

– Okej, super, fantastycznie!

Brandon poprawił się na krześle i starał się wyglądać tak, jakby wcale nie został przed chwilą spławiony. Nie znosiła mężczyzn, którzy poddawali się bez walki. Nawet gdyby Brandon był najgorętszym facetem na ziemi, nie szanowałyby go.

– Przejdźmy do konkretów, Miliewski.

– Chodzi o Jacka Tollivera.

Uwaga!

Christy udawała tylko minimalne zainteresowanie.

– Pozwól, że zgadnę. Zastanawia się nad tym, czy walczyć o senacki stołek po Dicie. Wszyscy w promieniu pięciuset mil od siedziby władz stanowych słyszeli te plotki.

Brandon zachichotał i zamachał ręką.

– To ja podrzuciłem te plotki, słodziutka. Ale jest coś jeszcze. Zachowałem to specjalnie dla ciebie.

Błysk w oczkach Miliewskiego sprawił, że Christy postanowiła nie ruszać się z miejsca, słuchać i nie przejmować się tym, że dopiero co nazwał ją „słodziutką”. Słodziutka! Może powinna była odpowiedzieć na którąś z jedenastu wiadomości, jakie zostawił jej na sekretarce w zeszłym tygodniu. Zwłaszcza jeśli miała dotyczyć Jacka Tollivera.

– Umawia się z jakąś nową dziewczyną. Trochę nietypową. –Przerwał na chwilę i popatrzył na nią.

– Czy to wszystko? Każdy w mieście wie, że przez ostatni miesiąc umawiał się z tancerką brzucha.

– Nie może być! Tina jest pielęgniarzką dziecięcą. Moja siostra z nią pracuje.

– No cóż, pielęgniarka, która w nocy zarabia tańcem i w weekendy tańczy w Santorini.

– Bez jaj? – Brandon potrząsnął głową. – To dopiero numer!

Christy sięgnęła po torebkę i zaczęła się zbierać do wyjścia.

– No cóż, nieważne, chodzi o inną kobietę. Zupełnie inną.

Christy siadła z powrotem.

– Okej. Kim ona jest?

– Nazywa się Samantha Monroe.

– Samantha jak? – Christy zaczęła się zastanawiać, gdzie słyszała to nazwisko, ale nie mogła sobie przypomnieć. – Kim ona jest?

Miliewski wzruszył ramionami.

– Wziął ją na lunch do Workingman's Friend któregoś dnia. Jest śliczna, ruda i ma czym oddychać.

Christy potrząsnęła głową zdegustowana.

– Nie masz klasy, Miliewski. – Wzięła torebkę i znów zaczęła się zbierać do wyjścia. – Tylko tyle? Imię i nazwisko? Wyciągnąłeś mnie tutaj w niedzielę po to, żeby mi powiedzieć, że Jack poszedł na hamburgera z jakąś cycatą laską?

Brandon zmarszczył brwi.

– Nie była cycata, tylko miała ładne piersi. Poza tym to był jedyny termin, w jakim mogłaś się ze mną spotkać i...

– Okej, dzięki, Brandon. Powodzenia przy próbach przepchnięcia ustawy o wideopokerze w komisji.

W mgnieniu oka stała w płaszczu i z kluczykami do samochodu w ręce.

– Ale z tą dziewczyną jest inaczej – ciągnął Brandon, leniwie się uśmiechając i patrząc na Christy. – Jest słodka i starsza niż dwudziestki, z którymi się do tej pory umawiał. Wyglądała miło i naturalnie; zwracał się do niej łagodnie, jakby interesowało go to, co ona mówi. Zupełnie jakby mieli jakieś ważne rzeczy do omówienia.

Christy słuchała.

– A potem całował ją na chodniku. To był jeden z tych pocałunków, które nie trwają długo, ale o czymś świadczą. A później Tolliver się zaśmiał. A ona uśmiechnęła się jak kot, który właśnie połknął kanarka.

Kiedy znów zwrócił swoje rozmarzone spojrzenie na Christy, ta starała się ukryć zaskoczenie.

– Wszystko w porządku, Christy?

– Tak, w porządku. – Przygryzła usta i zamrugała. – Dzięki za nowiny, Brandon, no i za to, że przyszedłeś dzisiaj. Jednak życie uczuciowe Jacka mnie nie interesuje, no i nie zdradziłeś mi żadnych nowości.

Przeszła obok niego w stronę drzwi, ale zatrzymała się, kiedy usłyszała za plecami jego rechot.

– Jesteś taka nadęta – wyszeptał. Christy obróciła się na pięcie ze zdziwienia. Brandon wstał i podszedł do niej.

– Wszystko, co robi ten facet, jest nowiną w tym mieście. Interesuje to „Star”, „Business Journal”, Foksa, a także stacje regionalne. Doskonale o tym wiesz. Znacząco się do tego przyczyniłaś.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jego agresywne słowa przykuły jej uwagę. Było to dziwnie ekscytujące. Serce zaczęło jej bić odrobinę za szybko.

– Obydwoje doskonale wiemy, że jeśli Samantha Monroe okaże się kimś ważnym w czasie, kiedy Jack będzie kandydował – a to pewne, że będzie – życie tej kobiety stanie się piekłem. Też to wiesz i sama się pewnie do tego przyczynisz.

Może to z powodu przyćmionego światła w Chatterbox, ale nagle Brandon Miliewski wydał się Christy nieco bardziej atrakcyjny. Pewny siebie uśmiezek sprawił, że jego twarz już nie była pucołowata, tylko raczej interesująca.

Brandon powoli sięgnął po krzesło, na którym siedziała wcześniej Christy.

– A co teraz powiesz na butelkę wina?

Christy skinęła głową. Niski ton jego głosu, hołd złożony jej osobie zdawał się jej podobać.

– Myślę, że lampka nie zaszkodzi.

Rozdział czwarty

Stuart pochylił się i oparł dłonie na kolanach, ze świstem wciągając powietrze. Jack patrzył, jak kropla potu spływa po podbródku przyjaciela i spada na podłogę.

– Cholera, Jack. Nie zrzucaj tego na mnie. To nie ja ciebie w to wpakowałem. To Kara powinna za to oberwać, nie ja.

– Kara nie może unieważnić umowy.

Stuart spojrział na niego zza plastikowych gogli.

– A ja niby mogę? Wstał.

– Muszę się napić wody.

Jack obserwował, jak Stuart opuszcza boisko do gry w squasha i kieruje się na korytarz. Wypił wielki łyk wody z butelki. Jack podążył za nim, wiedział, że musi spytać o to jeszcze raz, żeby się upewnić.

– Jesteś całkowicie pewien, że nie możemy się z tego wycofać? Stuart polał sobie czoło wodą i wytarł twarz ręcznikiem.

– Oczywiście, że możesz się wycofać, Jack. Ale ona odejdzie ze wszystkim – każdą wynegocjowaną dziesięciocentówką. Ze swoim miesięcznym uposażeniem i funduszem powierniczym. A ty nic z tego nie będziesz miał. Tego właśnie chcesz? Minęły dokładnie trzy dni. Co też zrobiła ta kobieta, że aż tak bardzo cię wystraszyła?

Jack zaśmiał się, kiedy usłyszał to pytanie. Sam Monroe wcale go nie przerażała... i o to właśnie chodziło.

– Chodzi o swobodę, Stu. Tego jest za dużo, po prostu. Dzieci, przyjaciółka i jej dzieciak, pieluchy i pies. To nie moja bajka.

Stuart pokiwał głową i chytry uśmiezek zagościł na jego twarzy.

– Jack, zdajesz sobie sprawę z tego, że oni nie są prawdziwi? Jack zachichotał rozbawiony.

– Oczywiście, że są prawdziwi. Gapię się na nich całymi dniami i mówię ci, Samantha zachowuje się naturalnie. Wiem, na czym polega różnica.

Stuart gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Nie mówię o kobiecych „papatkach” i takich tam, Jack. Jezu! Miałem na myśli ich wszystkich.

Jack poprawił frotkę na kolanie.

– Oczywiście, wiem, o co ci chodzi.

– Nieważne. Mam na myśli to, że Samantha Monroe nie jest naprawdę twoją narzeczoną. Ona i jej dzieci są po prostu rekwizytami. Jeśli cię denerwują, wracaj do swojego apartamentu i zapomnij o nich. Nie pozwól, żeby sytuacja cię przerosła. Czy Kara zostawiła ci jakieś sprawozdania?

– Tak. Wygląda na to, że Preston–Norwich zbliża się do limitu, zarówno jeśli chodzi o korporacyjny, jak i prywatny wkład. Tak samo Gerring Pharmaceuticals. Ale za Charliem Manheimerem stoją ogromne pieniądze rodzinne. To mnie trochę martwi. Te organizacje religijne mają mnóstwo kasy, o którą warto zawalczyć.

– Manheimer może sobie gadać, ale ty musisz zaspokoić oczekiwania wyborców, zjednać ich sobie. Znajomość z Sam może mieć duży wpływ na ich opinie.

– To samo powiedziała Kara.

– Więc gotów jesteś podjąć to wyzwanie?

Jack westchnął. Następnego wieczoru po raz pierwszy miał pokazać się publicznie z Sam. Na ich pierwszą randkę Kara wybrała mecz między Indianą a Milwaukee. Zaplanowała wszystko, nawet to, jak oboje mieli się ubrać i że

Jack będzie szeptać Sam do ucha, przynajmniej dwa razy w czasie kwarty, tak żeby na pewno uchwycili to reporterzy. Jack został też poinstruowany, że ma pocałować Sam w policzek i kupić jej popcorn. A kiedy będą wychodzili z Conesco Fieldhouse, miał ją opiekuńczo obejmować. Jakby potrzebował wskazówek, jak postępować z kobietą! Mógłby napisać poradnik na ten temat!

– Tak, jestem gotowy.

Stuart wrzucił butelkę do torby i spojrzał na Jacka przez gogle.

– Czy jest coś, o czym mi nie mówisz? Co się dzieje?

Jack potrząsnął głową. Na pewno nie zamierzał wyjawiać Stuartowi, że nie przespał kilku nocy, bo zastanawiał się nad tym, jakie wspaniałe są usta Sam. Na pewno nie powie Stuartowi, że już zdecydował, że pierwszym prezentem, który jej kupi, będzie czerwony komplet – stanik i stringi wspaniałe podkreślą jej kuszące krągłości.

– Nic – odpowiedział Jack.

– Nie ma mowy, Jack. Wszystko tylko nie to. – Potrząsnął lekceważąco głową. – Popatrz, to tylko sześć miesięcy, wytrzymasz bez umawiania się z jakimś kociakiem przez sześć miesięcy. Musisz. Wiesz to, prawda?

Jack przewrócił oczami.

– Nie, naprawdę, Tolliver, przecież chcesz być senatorem Stanów Zjednoczonych. Trzymaj interes w gaciach przez następne sześć miesięcy. Pomyśl o tym. Powiedzmy, że Christy lub jakiś inny dziennikarz dowie się, że umawiasz się z nową „narzeczoną”. Myślisz, że zachowają ten mały sekret dla siebie? Może kiedyś, w czasach twojego ojca, tak by się stało, ale nie teraz. Myślisz, że zdradzanie narzeczonej pomoże ci zdobyć głosy wyborców? Jestem pewien, że nie.

Jack rozejrzał się po sali Columbia Club, żeby upewnić się, że nikt nie słyszy tej pogawędki. To miejsce wprost roiło się od polityków, dziennikarzy, prawników i przedsiębiorców.

– Mów ciszej, Stu.

– Jest jeszcze gorszy scenariusz. Jeśli zechcesz zakręcić z Samantha Monroe, to wszystko się piekielnie skomplikuje. Biznes to biznes. Ona jest rekwizytem, powtarzaj to sobie: rekwizyt, rekwizyt, rekwizyt. Jest gorąca i nieprzewidywalna, ale to tylko rekwizyt.

Jack przytaknął bez słowa.

– Powtarzaj za mną.

Jack nie wytrzymał i zaczął się śmiać, bo Stuart wyglądał niesamowicie gapowato w tych śmiesznych goglach. Wyglądał jak wkurzona żaba.

– Samantha Monroe nie jest prawdziwa, jest tylko rekwizytem – wyszeptał Jack i poczuł się niesamowicie głupio.

– Dobrze. – Stuart poklepał Jacka po ramieniu i z powrotem skierował go na boisko do squasha. – A teraz skop mi tyłek, żebym mógł wrócić do biura.

– Musicie mnie zabrać z tego piekła! – Lily rzuciła plecak na blat kuchenny i wpatrywała się w matkę z przerażeniem w oczach. –Mówię serio. To miejsce jest totalnie popieprzone.

Zanim Sam mogła wyrazić swoje niezadowolenie z powodu języka, jakiego używa jej córka, Lily zaczęła przeproszać:

– Przepraszam, ale mówię prawdę. Nie będę chodzić do szkoły z bandą bogatych dzieciaków, frajerów i wazeliniarzy. Jedyna różnica, jaką widzę między prywatnymi a publicznymi szkołami, jest taka, że w tych pierwszych lepiej umieją ukryć całe to gówno. Ups –miałam na myśli cały ten szajs. Sorry.

Sam stała bez ruchu, trzymając talerz ciasteczek domowej roboty. Wcale nie zanosilo się na scenę jak z obrazka. Chciała, żeby ten wieczór był wyjątkowy, wprost wymarzony. Tymczasem poczuła jakiś ciężar w piersi, w żołądku jej zabulgotało. Takie słownictwo w ustach jej niewinnej córki. Jak to możliwe! Gdzie dziewczyna w jej wieku mogła się nauczyć takiego języka?

O cholera.

– Przyniosę trochę mleka do ciastek – powiedziała, przechodząc przez kuchnię.

Spódniczka w szkocką kratę, ta od mundurku, huśtała się na chudych nogach. Sam nie zauważyła, że jej córka do kompleciku włożyła długie szare wełniane skarpety i wysokie buty z pomarańczowymi sznurówkami. I chyba skróciła spódnicę.

– Smakowicie wyglądają te ciasteczka. Sama je upiekłaś? Z czym są?

– Wiórki czekoladowe i orzechy pekanowe – odparła Sam, wciąż niezdolna do jakiegoś ruchu.

Greg zjadł kilka ciasteczek, zanim Sam zdążyła postawić talerz na stole. Nawet nie zauważyła, kiedy syn wszedł do kuchni.

– Greg, a jak tobie minął drugi dzień w szkole?

– Pyszne są – powiedział z pełnymi ustami. – Naprawdę pyszne, dzięki, mamo.

Sam usiadła na krześle.

– A gdzie pieluszkowy chłopiec? – spytała Lily, siadając naprzeciwko Sam i sięgając po talerz z ciasteczkami.

– Zaraz powinien się obudzić.

– Nastąpiła dziś jakaś cudowna przemiana? – spytała Lily, puszczając мамie oko.

– No cóż, siedział na nocniku jakieś pół godziny z „Goodnight Moon”. Myślę, że nauczył się czytać, ale to by było na tyle.

– Mogłabyś mi też dać trochę mleka – poprosił Greg. – Nigdy nie myślisz o nikim innym, tylko o sobie.

Lily zaśmiała się, a okruchy, ciastek posypały się z buzi wprost na niebieski zapinany sweter. Sam zauważyła, że pod swetrem jej córka ma T-shirt ledwo zakrywający pępek. Jak to się stało, że Lily była w nowej szkole dopiero od dwóch dni, a już zaczęła ubierać się ekstrawagancko, choć ciągle jeszcze dopuszczalnie. Skąd ta dziewczyna ma w sobie tyle odwagi?

– Co? Utraciłeś też zdolność poruszania się? Oprócz terapii językowej potrzebujesz też ruchowej?

– Wzwał się, Lily.

– Możesz mnie ugryźć, gnido.

– Przestańcie! – Sam poczuła, że cała zaczyna się gotować. Kiedy jej piękne dzieci stały się tak zjadliwe? Kiedy zaczęły się nienawidzić? Pamiętała, jak całkiem niedawno bawiły się razem, kąpały się, spały. Greg do siódmego roku życia uważał, że ma niepodważalne prawo wślizgiwać się do podwójnego łóżka siostry, żeby pogadać i pośmiać się, aż zmorzy ich sen. Sam często zaglądała do nich, zanim sama poszła spać. Patrzyła, jak Lily opiekuńczym gestem obejmuje brata. Ich twarze były po dziecięcemu niewinne.

Teraz jej dzieci wyglądały na złe, zmęczone, niepewne. W zasadzie nie mogła ich winić. – Będzie dobrze – powiedziała, sięgając poprzez stół, żeby ich dotknąć. – Proszę tylko, żebyście dokończyli rok w Park Tudor. Jeśli nadal nie będzie się wam podobało, nie będę was zmuszała, byście tam chodzili. Jeśli zechcecie, wyślę was do starej szkoły lub do jakiegokolwiek innej. Możemy nawet kupić dom w dzielnicy, która będzie wam odpowiadała.

– Serio? – Lily zamrugnęła z wrażenia.

– Tak, chcę, żebyście byli szczęśliwi. Ale chcę także, żeby otworzyły się przed wami różne możliwości – sztuka, teatr, muzyka, języki obce, cokolwiek zamierzycie – a większy wybór macie w Park Tudor. Ale najważniejsze, żebyście byli szczęśliwi.

Lily i Greg popatrzyli na siebie, a potem na Sam. Greg zmrużył oczy.

– To jakieś gierki psychologiczne czy co?

Sam patrzyła, jak wstał ze stołka i poszedł po szklanekę do szafki, zupełnie jakby mieszkał tu od lat. Uśmiechnęła się.

– To nie gierki. Po prostu kocham was i chcę dla was jak najlepiej.

– Mamy cię – powiedziała Lily.

– Spotkałem jednego sympatycznego chłopaka z kółka szachowego. Wydaje się w porządku.

– Brzmi podejrzanie – wymamrotała Lily.

– A co z tobą, Lily? Widać jakichś przyjaciół na horyzoncie? Lily sięgnęła po następne ciasteczko, zanim odpowiedziała.

– Nie sędzę. Każdy trzyma się swojej paczki. Jakiś frajer mnie zaczepia na zajęciach z angielskiego, nazywa mnie gotką. Tak oryginalnie.

– Ale jak wrócimy do starej szkoły, mamó? – Greg siadł z powrotem ze szklanką mleka. – Teraz kiedy mamy trochę pieniędzy, dlaczego mamy wracać do East Endu?

Lily skrzywiła się.

– Moglibyśmy mieszkać w jakiejś fajnej ślepej uliczce w Carmelu, a Jack mógłby nas przenieść do Tech, gdybyśmy tego chcieli. Zobaczcie, jak pociągnął sznurki, żeby przenieść nas do Park Tudor pod koniec semestru. Uważam, że to całkiem wygodne mieć takie wpływy.

– Nie będziemy z nich korzystać – oświadczyła Sam i uśmiechnęła się.

– Założę się, że mógłby nas przenieść w każde miejsce – powiedział Greg, nie ukrywając podekscytowania. – Chciałbym siedzieć na wysokości linii ppppięćdziesięciu jardów i oglądać mecz Coltów, a później chciałbym zejść na boisko po autografy. Wiem, że mógłby to załatwić!

– A ja bym chciała siedzieć blisko sceny na koncercie Green Day. – Oczy Lily się zaświeciły. – Przejechać się limuzyną i wejść za kulisy.

Sam się zaśmiała. Miała zamiar wyjaśnić, że Jack Tolliver nie jest ich pociągiem z forszą, ale zdała sobie sprawę z tego, że zabrzmiałoby to niedorzecznie. Bo przecież on właśnie tym był.

Mecz Indiana contra Milwaukee się rozpoczął, Samantha Monroe siedziała posłusznie obok niego na stadionie. Miał nadzieję, że trochę się odpręży, gdy rozpocznie się mecz. A otaczali ich ci, dla których tu się pojawili. Prokurator hrabstwa Marion, prokurator generalny, rektor Purdue University Indianapolis, redaktor naczelny „Star”, a także towarzyszące im żony, dzieciaki, lobbyści, adwokaci, ustawodawcy, sportowcy, lalunie wysokiej klasy, łącznie z trzema kobietami, co do których Jack był w zasadzie pewien, że kiedyś się z nimi umówił. Jedna z nich, brunetka, nie spuszczała go z oczu.

Nie było możliwe, żeby nie zauważyli, że jest z Samanthą. Wymienił pozdrowienia z większością z nich, nawet z tą brunetką, która mogła mieć na imię Amanda albo Amelia. Zaśmiał się pod nosem, bo uświadomił sobie, że jak na polityka ma wyjątkowo słabą pamięć do imion.

Zerknął na Sam. Czy ktokolwiek z tych ludzi, widząc Sam, mógłby pomyśleć: po uszy zakochana narzeczona? Bardziej pasowały określenia: kłębek nerwów czy ryba wyrzucona na ląd. Jack chciał, żeby Sam wreszcie przestała machać nogą.

Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała krótkim uśmiechem i spojrzeniem pełnym niepewności. Jack westchnął. Kara udzieliła im instrukcji, jak mają się ubrać, żeby wyglądało na to, że zanoszą się na poważną znajomość. Zasugerowała, żeby obydwójce włożyli dżinsy, wygodne buty i podkoszulki. Powiedziała, żeby makijaż Sam był delikatny (co zabrzmiało raczej głupio, bo Jack widywał ją tylko z błyszczącym błyszczykiem na ustach) i żeby biżuterię ograniczyła do minimum. A Jack miał włożyć bejsbolówkę, jakby się chciał ukryć przed prasą.

– Potrzebujesz czegoś, Sam?

Czuł się śmiesznie i wiedział, że Sam czuła się tak samo. Tego wieczoru powiedziała zaledwie kilka słów i cały czas ruszała nogą, zupełnie jakby po jej ślicznej łydce maszerowało stado mrówek. Jack zlustrował ją wzrokiem, skupiając uwagę na prostej, czarnej koszulce z dużym dekoltem. Musiała być bawełniana z domieszką elastylu, bo podkreślała jej figurę, że miało się wrażenie, iż Sam pokrywa jedynie cienka warstwa farby. Na nogach miała proste czarne skórzane botki na niskim obcasie. Jack nie mógł się zdecydować, czy buty są do kostek, czy do kolan. Wyższe pewnie nie wyglądałyby tak dobrze z wąskimi dżinsami. W uszach zauważył proste srebrne kolczyki. Nie za małe, bo byłyby niewidoczne, ale też nie za duże, żeby nie rzucały się w oczy. Włosy Sam opadały delikatnymi falami na ramiona.

Wiedziała, co to znaczy niezobowiązująco.

– Nie, dzięki – powiedziała, nie odwracając wzroku od boiska do koszykówki.

– Dobrze się bawisz?

Sam przekrzywiła głowę i zajrzała pod czapkę Jacka. Wyraz jej twarzy mówił wiele. To, czy się teraz dobrze bawi, nie było dla niej najważniejsze.

– Lubisz chociaż koszykówkę?

Skoro już na niego patrzyła, a on się do niej nachylał, to postanowił wykorzystać tę okazję do szeptania Sam do ucha w czasie pierwszej kwadry. Kiedy przysunął usta do jej włosów, poczuł, jak się usztywnia.

– Zrelaksuj się, Sam. Udawaj, że bawisz się tak dobrze jak nigdy w życiu, a ja jestem cholernym księciem z bajki.

Jego słowa rozśmieszyły ją, a Jack poczuł się dziwnie dumny, słysząc jej chichot.

– Tak dawno nie byłam na randce i naprawdę nigdy nie interesowała mnie koszykówka – wyszeptała Sam.

Jack udał przerażonego.

– I mówisz, że jesteś prostą kobietą o niewyszukanym guście? Zaraz mi powiesz, że nie lubisz wyścigów samochodowych albo country!

W tym momencie z gardła Sam wydobył się śmieszny dźwięk. Coś w rodzaju brzęczenia, a Jack zauważył, że włoski na rękach stanęły mu dęba. To był taki seksowny dźwięk, że zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić, żeby znów to usłyszeć.

– Chcesz znać prawdę? Nie lubię ani jednego, ani drugiego. Nigdy nie lubiłam. Uważam, że wyścigi samochodowe są głośne i głupie, a country wywołuje u mnie mdłości. Sorry.

Jack zamrugał. Przysunął usta do jej włosów i powiedział:

– Kochana, to zdrada stanu. To jawny bunt. Jeśli ktoś się o tym dowie, na pewno przegram w wyborach.

Odwróciła ku niemu twarz i zmrużyła oczy. Znów poczuł łaskotanie w żołądku.

– Może powinieneś mnie dokładniej sprawdzić, zanim zdecydowałeś się pokazać mnie jako przyszłą panią Tolliver.

Uśmiechnął się. Sprawdzał Sam, ale nie przykładał wagi do raportu sporządzonego przez Karę i Stu.

– Ale futbol chyba nie jest zły – kontynuowała Sam. Kosmyk włosów zaplątał jej się w okolicy ust.

– Serio? Widziałaś, jak grałem?

– Niestety nie. – Potrząsnęła głową. – Kiedy ty grałeś z Coltami, ja karmiłam piersią i wyrabiałam nadgodziny. Nie miałam czasu, żeby interesować się sportem.

O cholera.

Teraz nie przestanie się gapić na jej piersi. Wyglądało na to, że Sam wcale nie jest taka nieśmiała, kiedy mowa o cielesności. Może to macierzyństwo tak wpływa na kobiety. Oczywiście nie na jego matkę. MDT była świetna w omijaniu niektórych tematów, szczególnie tych związanych z normalnym życiem.

– Jak ci się udało pogodzić wychowywanie dzieci z pracą po godzinach?

– Jack zaskoczył samego siebie tym pytaniem, ale odkrył, że to była droga, choć pośrednia, do podtrzymania zainteresowania Sam rozmową z nim.

– Nie miałam wyboru. Wszystkim ja musiałam się zająć, bo Mitcha interesowała wyłącznie pracownia. Mitch to mój były mąż. Był dmuchaczem szkła. – Spojrzała na Jacka i cienka zmarszczka pojawiła się między jej brwiami. – Cóż, myślę, że wciąż nim jest, nie sędzę, żeby umarł. Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Z tego, co Jack dowiedział się od Kary, szkło nie było jedyną rzeczą, jaką dmuchał Mitchell.

Sam przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się smutno.

– Nieważne. Używałam ściągaczki do pokarmu. Słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim?

Cholera, cholera, cholera. Jackowi naprawdę podobała się ta rozmowa.

– Oczywiście.

– Robiłam tak przy wszystkich moich dzieciach, ale Dakota miał większe wymagania i nawet kiedy ukończył rok, karmiłam go piersią.

W takim razie dzieciak był oblatany w cycach – Jack miał coś wspólnego z tym małym zbrojeńcem.

– Wygląda na to, że on ma własny rozkład jazdy.

Ciekawe. Nie spodziewał się tego, ale Sam uśmiechała się do niego. I robiła to w taki sposób, że niemalże go zatkało. To przez to połączenie błyszczących oczu, białych zębów, dołeczków w policzkach, małych stópek i jej poczucia humoru. Ta kobieta działała na niego. Rozluźniła ramiona i przestała ruszać nogą i znów wydobyła z gardła jeden z tych delikatnych dźwięków, które tak bardzo mu się spodobaly.

Wystarczyło, by udawał zainteresowanie jej dziećmi.

– Dakota z pewnością jest sobą – przytaknęła.

Ten obraz pojawił się przed nim nagle. Sam rozciągnięta na łóżku, wśród białej pościeli. Ubrana tylko w czerwony stanik i stringi, które zamierzał kupić najszybciej, jak to będzie możliwe. Ona na kolanach wśród pościeli, wypinając śliczne pośladki, obdarzy go tym rozbijającym uśmiechem. Jej loki będą sływały na poduszkę. A on zacznie ją całować od najczulszego punktu na ciele. Pozwoli błędzić swojemu językowi w jej ustach. A później będzie

schodził coraz niżej, aż dojdzie do piersi i zacznie całować te dwa białe wzniesienia.

Było oczywiste, że Sam czeka, by skomentował jej ostatnie zdanie. Niestety był zbyt zajęty rozmyślaniami o lizaniu jej, żeby usłyszeć, co powiedziała. Jednak doszedł do wniosku, że pewnie chodziło o coś związanego z sikaniem do nocnika.

– Cóż, też bym robił w majtki, gdyby rodzice dali mi na imię Dakota.

Jacka zmroziło. Wcale nie chciał powiedzieć tego głośno. Co się z nim dzieje?

– Słucham?

– Chciałem powiedzieć, że Dakota to raczej niespotykane imię i może ma wpływ na jego osobowość.

– Tak, z pewnością. Mitchell nalegał, żeby dać mu takie imię. Ktoś ze sławnych osób tak nazwał swoje dziecko i jemu wydawało się to fajne. Tu mnie masz.

No właśnie, sławne osoby nieraz nazywają swoje dzieci jak warzywa czy owoce – pomyślał, ale postanowił zachować tę uwagę dla siebie.

– A jakie ma drugie imię?

– Benjamin.

– No, to już normalne, poważne imię. Może jeśli zaczniesz wołać na niego Ben, poczuje się mniej wyobcowany.

– Co? – Sam zmarszczyła brwi.

– Tak tylko pomyślałem.

Sam zaczęła się śmiać. Śmiała się tak bardzo, że Jack zauważył, że kilka osób odwróciło głowy w ich kierunku. Teraz i on się śmiał wraz z nią, błysnęło kilka fleszy.

– Jakie masz doświadczenie w wychowywaniu dzieci, Jack?

Spojrzał na nią, wiedział, że to idealny moment na pierwszy pocałunek w policzek tego wieczoru.

– Nie mam absolutnie żadnego doświadczenia – powiedział, przysuwając usta do jej gładkiej twarzy. Pachniała wspaniale, tak wspaniale, że mógłby ją schrupać. Po prostu pożreć.

Błysk, błysk, błysk.

– Sam, wracając do tego, co mówiłaś wcześniej... kiedy ostatnio byłaś na randce?

Znał odpowiedź, osiemnaście miesięcy temu. Nawet wiedział, z kim była na randce. Z architektem wewnątrz, którego szefowa Sam wynajęła do odnowienia salonu. Za pierwszym razem poszli do restauracji, drugim razem spotkali się u niego.

Sam zamrugała, jej śmiech urwał się gwałtownie.

– Powiedzmy, że byłam poza obiegiem.

Jack wiedział, że nie działa ściśle według scenariusza, ale nie mógł się jej oprzeć. Nachylił się, by znów ją pocałować. Musnęli się ustami, jej oddech był przyspieszony.

– Jeszcze trochę popcornu? – zapytał.

Nie byłoby żadnego problemu, gdyby nie ta nowa recepcjonistka, która przyjechała niedawno do Indiany z jakiejś zapadłej dziury. Nie wiedziała nawet, kim jest Christy. Owszem, Christy przyszła tydzień wcześniej na farbowanie odrostów, ale była stałą i jedną z najwyższej postawionych klientek Le Cirque. Oczekiwała, że zostanie jakoś wciśnięta w grafik Marcii Fishbacher.

Marcia wyglądała dziś na trochę podenerwowaną, obsługiwała trzy klientki naraz. Christy rozglądała się po salonie, szukając Samantha Monroe. Kiedy rano zobaczyła jej zdjęcie w „Star”, o mało nie uderzyła się ręką w czoło. Jak mogła nie pamiętać tego nazwiska, skoro słyszała je regularnie co cztery tygodnie już od sześciu lat. Samantha Monroe pracowała dla Marcii. I chociaż przez te wszystkie lata Christy nie zamieniła więcej niż trzy słowa z Samantha, od razu ją rozpoznała na zdjęciu w gazecie.

– Okej, spójrzymy, jak nam idzie.

Marcia rozchyliła starannie zagiętą folię aluminiową, przymocowaną do pasemka włosów Christy, żeby sprawdzić, jak działa farba rozjaśniająca. Christy zerknęła w lustro i dostrzegła tę samą schludną brunetkę. Znowu zastanowiła się, czy Marcia ma czterdzieści czy sześćdziesiąt lat. Nie można było określić jej wieku.

– Myślę, że możemy przejść do mycia. A później podetniemy włosy.

Zanim Christy zdążyła odpowiedzieć, stylistka była już na drugim końcu salonu i zlecała praktykantce umycie włosów Christy. Jasne było, że roboty jest dziś tak dużo, że jeśli Christy chce się czegoś dowiedzieć, zaraz musi rozpocząć rozmowę.

Kilka minut później siedziała na fotelu przy stanowisku Marcii. W lustrze jej mokre luźne loki wydawały się niemalże brązowe. Zastanowiła się, może by warto zostać brunetką, ale zaśmiała się na samą myśl. Christy Schoen – dziennikarka i osobowość telewizyjna – była blondynką, i już. Czemu nie miałyby powrócić do naturalnego koloru włosów? Po co się wysilać?

– Okej, wygląda wspaniale, po prostu wspaniale. Marcia sięgnęła po nożyczki i zapytała:

– Co u ciebie słyhać? Wydarzyło się coś niespodziewanego? Jakies niesamowite wydarzenie czy coś w tym stylu?

Kiedy Marcia profesjonalnie ją strzygła, Christy opowiadała o spotkaniu, które wypadło jej w ostatniej chwili, tak że musiała przyspieszyć wizytę w salonie. Nie wstydziła się przyznać, że swoją pozycję osiągnęła dzięki dobremu wyglądowi, co oczywiście wiązało się z nieustannymi wizytami u fryzjera, manikiurzystki i kosmetyczki. Pod tym względem nie stanowiła wyjątku wśród telewizyjnych wyjadaczy.

– Cóż, przepraszam za to zamieszanie, ale mamy dziś małe urwanie głowy. Zrobiło się istne piekło, od kiedy jedna z naszych stylistek wzięła urlop. Próbujemy zająć się klientami najlepiej, jak się da. Mówię ci, biegamy w kółko przez cały dzień.

– Tak? A o kim mówisz?

– O Samancie Monroe. Znasz ją? – upewniała się Marcia, wskazując nożyczkami na drugi koniec sali. – Tam jest jej stanowisko, obok Monté.

Christy uśmiechnęła się. To zawsze przychodziło jej z łatwością. Spojrzała na duże, teraz puste stanowisko przy oknie. Nic nie wskazywało na to, że stylistka niedługo wróci do pracy.

– Poszła na urlop macierzyński?

Marcia zaśmiała się i potrząsnęła głową.

– Ona już odchowala trójkę dzieci. Poprosiła o urlop. Wiesz, nowy związek, i dlatego, że chce spędzić trochę czasu z dziećmi. Tym razem to poważna sprawa, ponieważ wprowadziła się do jego domu. Zgodziłam się na ten urlop, mimo iż oznacza to dla nas urabianie sobie rąk po łokcie.

Christy poczuła się jakoś dziwnie. Była zszokowana i zła. To musi być pomyłka. Podpis pod zdjęciem, które oglądała rano, mówił o tym, że choć Jack

Tolliver nie puszcza pary z ust na temat kandydowania, to nie wstydzi się okazywać tego, co czuje do Samantha Monroe, oglądając mecz Pacersów. Na zdjęciu Jack nachylał się do Monroe, by pocałować ją w policzek. Oczywiście obydwój się przy tym doskonale bawili, a Sam była zwrócona całą sobą w stronę Jacka, oczy jej błyszczały. Jack także się uśmiechał. Całus wyglądał na spontaniczny. Prawdziwy. Intymny.

Ta suka mieszka z Jackiem?

– Coś takiego. – Christy uśmiechnęła się dzielnie i przełknęła ślinę. – Widziałam w dzisiejszej gazecie jej zdjęcie z byłym asystentem gubernatora. To do niego się wprowadziła?

Marcia przerwała na chwilę strzyżenie i zerknęła na drugi koniec sali na Monté, jakby nie chciała, by tamta usłyszała ich rozmowę.

– Sam stara się tego nie rozgłaszać. To się stało tak szybko i Sam naprawdę się ten facet podoba. Myślę, że on ma swój apartament, a jej pozwala mieszkać w rodzinnej rezydencji. Naprawdę staram się trzymać buzię na kłódkę, tak jak prosiła, ale cieszę się jej szczęściem. Po tym, co przeszła przez ostatnie lata, zasługuje na odrobinę szczęścia. Płakałam, słowo daję, kiedy mi o nim powiedziała. Jakby nagle zadziałała dobra wróżka. Wszyscy jesteśmy podekscytowani.

Marcia opowiadała, a Christy obserwowała w lustrze swoją twarz. Wyglądała na naprawdę zniesmaczoną. Musi się wziąć w garść.

Marcia znów zerknęła w lustro i zauważyła, że Christy jej się przygląda.

– O cholera, wygadałam się, prawda? – wyszeptała Marcia.

– Teraz mam prawdziwy dylemat, jak na pewno wiesz. – Christy uśmiechnęła się słodko.

Marcia westchnęła, kiedy Monté przechodziła obok nich. Kobieta kiwnęła głową i obrzuciła Christy spojrzeniem, które dalekie było od uwielbienia.

– Nieraz dostarczyłaś mi naprawdę niezłych kawałków. Nigdy nie ujawniłam cię jako informatora i teraz tego nie zrobię. Nie musisz się obawiać.

– Christy także zniżyła głos do szeptu.

– Nie o to chodzi, Christy. To jest bardzo ważne dla Sam. I ja się ogromnie cieszę z jej szczęścia. Nie chcę, żeby coś to schrzaniło.

Christy już miała odpowiedzieć, ale Marcia sięgnęła po suszarkę i ciepły strumień powietrza przerwał ich rozmowę.

Kiedy Jack Tolliver umawiał się z kimś po trzydziestce?

Nigdy.

Kiedy Jack Tolliver umawiał się z kimś, kto ma dzieci? Przenigdy.

Kiedy Jack Tolliver poprosił jakąś kobietę, żeby wprowadziła się do posiadłości Sunset Lane? Szczególnie jeśli ta kobieta ma trójkę dzieci?

Nie w tym życiu!

Coś tu śmierdziało. Nie ma wątpliwości, to ma jakiś związek z kampanią. Być może Christy trafiła na największą bombę w całej swojej karierze. Jack coś knuł. Czowała to. I cokolwiek to było, zjazd nauczycieli wyda się przy tym jedynie żartem.

Czekała cierpliwie, aż suszarka przestanie pracować. Uśmiechnęła się w lustrze do Marcii, podziękowała jej jak zwykle za fantastyczną robotę i zostawiła solidny napiwek.

Rozdział piąty

Marguerite Dickinson Tolliver delikatnie trzymała w palcach filiżankę Wedgwooda i piła poranną kawę. Właśnie upiła łyk i o mało się nie zakrztusiła.

Na ekranie laptopa ujrzała czarno-białe zdjęcie jej jedyne go syna na meczu koszykówki. Był w bejsbolówce, a towarzyszyła mu jakaś ruda kobieta o pospolitym wyglądzie. Śmiali się jak dzieci. Żółć podeszła Marguerite do gardła.

Odłożyła filiżankę na spodeczek i przygryzła wargi. Odwróciła wzrok od komputera i wyjrzała przez okno. Nie ulegało wątpliwości, że Nestor, nowy ogrodnik, ma talent. Rabatka kwiatów na trawniku była wyraźnie zaznaczona, tak jak lubiła. Nie dało się dostrzec żadnego chwastu, ponieważ gleba była ściółkowana włóknami kokosowymi. Kwiaty wiciokrzewu pięknie się rozwinęły i wyglądały zdrowo. Staw z karpami koi przykuwał uwagę.

Jej syn to wielka niewiadoma. Jego życie osobiste nadawałoby się na tandetny film telewizyjny. Jego kariera to jakaś szopka. No i nie oddzwonił na jej telefony.

Na szczęście Allen Ditto był tak miły, że wysłuchał jej problemów. Od chwili, kiedy wydał oświadczenie, które oczywiście ukazało się w niewłaściwym czasie, dzwoniła do niego trzy razy. Tłumaczył, że po prostu zapomniał zgłosić kandydaturę Jacka, gdy sam zrezygnował z ubiegania się o reelekcję. Twierdził też, że jego decyzja wynika z tego, że jest zmęczony Waszyngtonem i chce odpocząć. Marguerite wiedziała, że mija się z prawdą w obydwu sprawach. Nie było tajemnicą, że według Allena Jack nie nadaje się do

tego, by zasiadać w Senacie Stanów Zjednoczonych. Słyszała także, że mimo zaawansowanego wieku prowadził aktywne życie społeczne.

Po śmierci Carli dwa lata temu Allen zdawał się dobrze sobie radzić. Rola wdowca mu odpowiadała. Marguerite nie dziwiła się temu. W końcu jego żona była naprawdę szalona. Jej fobie pogłębiały się z roku na rok i Allen nie zabierał jej nigdzie ze sobą od czasu incydentu z folią aluminiową w Białym Domu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

Marguerite widziała to zdarzenie na własne oczy. Jej ukochany Gordon siedział obok, gwałtownie już podupadał na zdrowiu. Jakiś głupawy kelner przeszedł przez jadalnię z kawałkiem folii aluminiowej. Carla usłyszała szelest i dała pokaz przed prezydentem, pierwszą damą, dygnitarzami, słynnym hollywoodzkim producentem i jego żoną, a także senacką komisją ds. zagranicznych.

Naprawdę z przykrością patrzyła, jak Allen wyprowadza Carlę z senackiej restauracji, ta bełkotliwie wrzeszczy, a ślina ścieka jej po brodzie wprost na śliczną kreację od Diora.

Zbyt długie siedzenie w polityce może powodować tego rodzaju sytuacje. Marguerite widziała nieraz gorsze przypadki.

Splotła dłonie i zapatrzyła się na fontannę na środku basenu. Zebranie z dyrektorami Naples Garden Club było zaplanowane na lunch. Firma cateringowa czekała w pogotowiu. A ona już zaplanowała, w jakiej kreacji wystąpi. Włoży jasnopomarańczowy kostium, a do tego pastelowy szalik od Chanel. Razem tworzą świetną całość. Miała wystarczająco dużo czasu na pogawędkę.

Marguerite sięgnęła po telefon bezprzewodowy, który leżał po jej prawej stronie, tuż obok laptopa i stosu gazet, na stoliku śniadaniowym. Zadzwoiła

do syna. Oczywiście odezwała się poczta głosowa. Unikał jej. Unika jej od dwudziestu lat.

– Jack, tu twoja matka, Marguerite. Być może mnie pamiętasz. Urodziłam cię. – Zrobiła pauzę dla wzmocnienia efektu. – Nie mam bladego pojęcia, co ty sobie wyobrażasz, ale powinieneś sobie uświadomić, że najwyższy czas zgłosić swoją kandydaturę. I postaraj się unikać fotografowania z jakąś kelnerką. – Westchnęła. – Kocham cię, synu. Proszę, zadzwoń do mnie. Jeśli tego nie zrobisz, będę zmuszona pociągnąć za język Karę i Stuarda. Być może nawet zdecyduję się przyjechać do Sunset Lane na święta. W tej chwili nie przychodzi mi do głowy nic bardziej cudownego niż wspólna Gwiazdka, tak jak kiedyś.

– Jesteś pewna, że ta pieluszka wytrzyma?

Sam zastanawiała się nad tym samym. Spojrzała na Dakotę. Podskakiwał w krytym basenie, a obok stała Lily. Bawił się w kole ratunkowym, miał żółte rękawki i wyglądał na bardzo podekscytowanego. Na razie pasek trzymał mocno, wyglądało na to, że technologia pieluszkowa znacznie się rozwinęła od czasu, kiedy Greg był dzieckiem.

– Nie sądzę, żeby twój chłopak był zadowolony, jeśli Dakota dojdzie do wniosku, że basen to nocnik, na który czekał.

Sam spojrzała na Monté z ukosa.

– Jack nie jest moim chłopakiem.

– Mmm–hmm. Gwarantuję, że tak wyglądał na zdjęciu. Sam parsknęła zaskoczona.

– Daruj mi, Monté! Wiesz, że wykonuję swoją pracę. Wiesz, że Kara zaplanowała wszystko, nawet to, ile razy miał mnie trzymać za rękę. Nie bądź śmieszna.

– Nie złość się na mnie.

– W każdym razie to jest dopiero początek, więc sobie daruj, nawet mi się specjalnie nie podobało. To było raczej dziwne przeżycie.

Przenikliwy krzyk Lily spowodował, że znowu spojrzała w stronę basenu. Chłopcy otoczyli Lily i chlapali tak, jakby zamierzali ją utopić.

– Przestańcie natychmiast! – Monté wrzasnęła i wstała z leżaka. Jej głos rozszedł się echem po całym pomieszczeniu, zupełnie jakby sam Bóg przez nią przemawiał. Oskarżycielsko wyciągnęła palec w stronę Simona.

– Chłopcze, jeszcze raz się zmówicie przeciwko Lily, a gwarantuję ci, że to będzie ostatni raz, kiedy twój czarny tyłek zbliży się do tego basenu. A ty, Greg, też zostaw swoją siostrę w spokoju. Słyszycie mnie?

Cisza, która zaległa, była tak przejmująca, że Sam pomyślała, iż można by usłyszeć przelatującą muchę.

Monté z powrotem opadła na leżak, podciągnęła top tak, żeby zasłaniał duży przedziałek między jej piersiami, i kontynuowała:

– Sammy, jeśli próbujesz mi wmówić, że to, co robiłaś na zdjęciu, to praca, gotowa jestem się przekwalifikować.

Sam się zaśmiała i westchnęła głęboko.

– Okej. Niektóre rzeczy mi się podobały.

– Wcale nie wątpię. Jack Tolliver jest niezły – to facet z niezłym, białym tyłkiem. Założę się, że wiem, które rzeczy ci się podobały, bo prawdopodobnie są to te same, które podobają się mnie, kiedy na niego spojrzę. Ma tyłek, który może sprawić, że kobiety niemalże będą mdlały.

– Naprawdę? – spytała Sam, choć w duchu musiała przyznać rację przyjaciółce. – Skoro tak jest, to czemu się z nim nie umówisz?

Monté parsknęła śmiechem i odstawiła drinka na stół, żeby go nie rozlać.

– Nie jestem pewna, czy Indiana wystarczająco się rozwinęła, żeby przyjąć tak szalony plan, Sammy.

– Dzień dobry wszystkim.

Sam i Monté odwróciły się zaskoczone i zobaczyły Jacka w drzwiach. Sam natychmiast zaczęła się zastanawiać, jak długo tam stał i słuchał. Na twarzy – przystojnej twarzy polityka – miał wymalowaną łagodność, która naprawdę zaczynała ją denerwować.

– Wszyscy się dobrze bawią?

– Żebyś wiedział – powiedziała Monté, przykładając rękę do piersi, zupełnie jakby dostała palpacji.

– Dobrze. Wspaniale.

– Zdaje się, że oficjalnie jesteśmy na tapecie. – Sam uśmiechnęła się do Jacka; próbowała podrzucić mu jakiś temat, ponieważ obawiała się, że mógł usłyszeć, jak Monté powiedziała, że ma niezły tyłek.

No cóż, nie kłamała. Jack wyglądał świetnie w tweedowych szarych spodniach i w czarnym kaszmirowym swetrze. Wszystko, co ten mężczyzna miał do zaoferowania – szerokie ramiona, muskularne ręce, wąska talia, długie i silne nogi – harmonizowało ze sobą. Ciemny sweter z jego ciemnymi włosami i zielonymi oczami. Jack wiedział, co robi, Sam musiała to przyznać, może odgrywanie roli najseksowniejszej rzeczy, jaką ma partia do zaoferowania, nie było spowodowane tylko charyzmą i rozpoznawalnym nazwiskiem. Być może surowa, silnie oddziałująca męskość i świetny gust, przejawiający się w stroju, też odgrywały pewną rolę.

A niech tam, zagłosuje na niego.

Jack uśmiechnął się do Monté, później spojrzął na Sam.

– Tak, dziennikarze dzwonili przez cały dzień. Kara tylko powtarza: „bez komentarza”, a to jeszcze bardziej podsyca zainteresowanie.

Sam przeniosła spojrzenie z Jacka na dzieci. Dakota wisiał na krawędzi basenu i machał nóżkami, obserwując Jacka w skupieniu. Na drugim końcu basenu dzieci pływały.

– Jak długo będzie powtarzała „bez komentarza”?

Jack pomachał dzieciakom uprzejmie. Odmachały i krzyknęły „cześć”.

– Ostateczny termin upływa pierwszego lutego. Uważamy z Karą, że najlepiej będzie, jak poinformujemy dziennikarzy na początku stycznia, za jakieś dwa tygodnie. Muszę pojawić się na otwarciu nowego delfinarium w zoo i pomyśleliśmy, że dobrze by było, gdybyś towarzyszyła mi z dziećmi.

– No i co ty na to? – Monté podniosła się z leżaka i zaczęła zbierać ręczniki i buty dzieci, mrużąc coś do siebie. Sam wiedziała aż za dobrze, że jeśli Monté mruży, to znaczy, że gryzie się w język. Widziała to tysiące razy w salonie. Nie przestawaj – poprosiła w myślach. – Więc masz pierścionek?

Sam zawstydzona pytaniem Monté zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zdała sobie sprawę, że jej przyjaciółka i Jack mierzą się wzrokiem.

– Pierścionek? – Jack przeczesał ręką włosy.

– Nie ma żadnego pierścionka – wyszeptała Monté do Sam.

Sam już miała zaoferować Monté gotówkę za trzymanie języka za zębami, kiedy przyjaciółka znów przerzuciła swoją uwagę na Jacka.

– Wierzysz w to, że kobieta przyzna przed światem, że jest zaręczona, jeśli nie ma na palcu pierścionka? Wiesz, że mężczyzna z twoją pozycją powinien dać jakiś naprawdę duży i błyszczący, najlepiej z brylantem.

Jack podszedł do stolika z naturalną gracją i uśmiechnął się zawstydzony do Sam.

– Okej, jaka obowiązuje zasada? Mężczyzna powinien wydać dwie pensje na pierścionek? – kontynuowała Monté bardzo zadowolona z siebie.

Śmiech Jacka zaskoczył Sam. Był ciepły i głęboki i na pewno nie takiej odpowiedzi oczekiwała Sam. Poczwała niesamowitą ulgę i zawtórowała Jackowi.

– Dziękuję za podpowiedź, panno McQueen – jego oczy błyszczały z rozbawienia – ale na razie jestem bezrobotny, nie mam żadnej pensji ani nic podobnego, więc nie jestem pewny, czy to będzie korzystne dla Sam.

– Wiesz, że nie o to chodzi – odpowiedziała Monté.

– Wymyślimy coś – uciał Jack i przysunął się do krawędzi basenu, gdzie kucnął koło Dakoty. Ten spojrział na niego i uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, panie Jack.

– Cześć, mały. Jak tam woda?

– Fajna! Potrafię pływać! Chce pan zobaczyć?

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Dakota wściekle zaczęła młócić rękami, a woda opryskała Jacka.

– O rety! Przepraszam! – Sam w mgnieniu oka zerwała się z leżaka i rzuciła się z ręcznikiem. Zobaczyła, jak Jack wyciera twarz. Nadal kucał.

– Walisz w tę wodę z niesamowitą siłą, Dakoto Benjaminie.

Chłopczyk znów kurczowo uczeplił się krawędzi basenu, dyszał, jakby właśnie ukończył wyścig olimpijski. Uśmiechnął się promiennie do Jacka.

– Dobrze pływam. Widziałeś?

– Widziałem – potwierdził Jack i wstał, krzywiąc się z bólu. Spojrział na Sam i uśmiechnął się. – Dzięki za ręcznik.

Sam stała boso na macie antypoślizgowej i wpatrywała się w Jacka. Wzburzona woda odbijała się w jego oczach, a wyglądało to tak, jakby iskrzyły od środka. Wzięła od niego ręcznik. Dotknął jej dłoni koniuszkami palców.

Czy kolano wciąż mu dokucza? Po raz pierwszy dotarło do Sam, że Jack może wciąż odczuwać ból spowodowany kontuzją. Greg powiedział, że materiał filmowy z tego pamiętnego dnia ukazywał, jak paskudnej doznał kontuzji. Do tej pory jest pokazywany w sportowych przeglądach najważniejszych wydarzeń. Podobno Jack przeszedł sześć operacji i dopiero po czterech latach mógł się poruszać bez stabilizatora.

– Kara powiedziała, że dziś powinniśmy iść na kolację. Myślisz, że dzieci mogą zostać same przez parę godzin?

– Och, z przyjemnością się nimi zaopiekuję – wtrąciła się Monté, chociaż nikt się do niej o to nie zwracał. – A wy idźcie i dobrze się bawcie.

Sam posłała jej ostrzegawcze spojrzenie, modląc się w duchu, żeby zrozumiała.

– Oczywiście, Jack. Gdzie idziemy? Co według Kary powinnam włożyć?

Sam zorientowała się, że spojrzenie Jacka zmieniło się i w jego oczach nie odbijała się już woda z basenu. Zanim popatrzył jej w oczy, zlustrował ją wzrokiem od stóp do głów. Poczowała jego spojrzenie na każdym centymetrze ciała. Policzki zaczęły ją palić i oblała się rumieńcem.

– St. Elmo Steak House. Więc coś niezobowiązującego byłoby na miejscu.

– Świetnie, nie byłam tam od lat.

– Hmm... Nigdy nie rozumiałam, co oznacza zwrot „coś niezobowiązującego”. Masz włożyć japonki i szlafrok czy co? – powiedziała Monté, stojąc za ich plecami.

Sam zamrugała i pomyślała, że udusi Monté przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Brzmi dobrze, Jack. Na którą mam być gotowa?

– Na siódmą, jeśli ci pasuje.

Sam wciąż nie mogła przestać myśleć o tym, jak Jack lustrował ją wzrokiem, i jej głos zabrzmiał niezbyt pewnie, kiedy powiedziała:

– Ty tu jesteś szefem, więc siódma mi pasuje.

Zobaczyła wyraz zmieszania na twarzy Jacka. Popatrzył na buty i schował ręce w kieszenie, zanim znów na nią spojrział. Wrażenie zmieszania zniknęło.

– W takim razie do zobaczenia o siódmej. I w ciągu najbliższych paru tygodni przypomnij mi o pierścionku. Okej?

Sam zastanawiała się, co facet ma na myśli, mówiąc, żeby mu przypomniała o pierścionku zaręczynowym. Nagle zdała sobie sprawę, że w basenie zrobiło się zupełnie cicho. Dzieci usadowiły się koło niskich schodków i przysłuchiwały uważnie rozmowie.

Jack też to zauważył i obrócił się.

– Jak wam się podoba w Park Tudor?

– Jest całkiem ninnieźle – odparł Greg.

Jack spojrział wyczekująco na Lily, a Sam miała nadzieję, że jej córka zachowa się jak cywilizowany człowiek.

– Jest w porządku – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Niektóre dzieci to straszne snoby.

– Każdy z nas jest po części snobem, Lily, ale ty masz całkowite prawo uczeszczać tam, więc nie pozwól, żeby inne dzieci sprawiły, że nie będziesz się tam czuła komfortowo.

– Tak, pewnie masz rację – powiedziała, po czym nagle jej twarz pojaśniała. – Hej, Jack? Chodzisz czasem na koncerty do Fieldhouse?

– Lily... – Sam zamierzała przerwać ten ogień pytań.

– Zdarza się. Parę lat temu byłem na Pearl Jam.

– Niemożliwe!

– Słyszałem, że 50 Cent przyjeżdża na wiosnę. Chcielibyście iść?

– Dałbym się za to pokroić – powiedział Simon, starając zachować się naturalnie, chociaż jego oczy robiły się wielkie jak spodki.

– Zobaczę, czy uda mi się zdobyć bilety. A teraz muszę iść na spotkanie.

Jack pożegnał się z Monté i dziećmi, a Sam odprowadziła go do drzwi.

Za plecami usłyszała głos Simona:

– Nie uda mu się zdobyć tych biletów, robi sobie z nas jaja.

Sam patrzyła, jak Jack idzie korytarzem łączącym basen z resztą rezydencji. Był wysoki i poruszał się płynnie, zdała sobie sprawę, że nie może oderwać od niego wzroku.

Jack zerknął przez ramię i powiedział:

– A, i żadnych japonek i omdlewania.

To był długi dzień. Christy udała się do swojego biura w siedzibie Kanału Dziesiątego i zamknęła drzwi. Odetchnęła z ulgą, kiedy zrzuciła buty z wężowej skóry, uwalniając stopy ze stylowego więzienia. Poruszyła palcami, starając się przywrócić krążenie. Jednocześnie uświadomiła sobie, że znów dokuczają jej zęby mądrości. Wiedziała, że któregoś dnia będzie musiała je usunąć.

Sprawdziła pocztę. Biuro prokuratora nie wysłało się, żeby odpowiedzieć na jej zapytanie o Mitchella J. Bergena, byłego męża tej fryzjerki, z którą paradował Jack. Właściwie nie była zdziwiona brakiem odpowiedzi.

Fakt, że nie mogą znaleźć jakiegoś marnego dmuchacza szkła, musiał być dość zawstydzający.

Christy zaśmiała się na samą myśl, jak interesujące będzie wykonywanie roboty za nich w wolne popołudnie.

Dość łatwo udawało jej się zdobyć wiadomości na temat życia prywatnego Samantha Monroe. Jedna wycieczka do urzędu hrabstwa Marion pozwoliła dokopać się do aktu ślubu i orzeczenia rozwodowego. Wizyta na stronie internetowej stanowego urzędu zdrowia wykazała, że Sam ma ważną licencję kosmetyczną, a po krótkim telefonie do biura statystyki ludności stanu Indiana zapoznała się z aktami urodzenia całej trójki jej dzieci. Reszty dowiedziała się od Marcii Fishbacher, która nie kryła, że mąż Sam był nierobem i żył na jej koszt do momentu opuszczenia miasta. Szacunek w głosie Marcii wskazywał na to, że uważała Samanthę Monroe za połączenie Vidala Sassoonia i Matki Teresy lub coś równie nonsensownego.

– Dostał niezły wycisk – powiedziała Marcia. – Wiem, że jej nowy chłopak pracuje w jakimś biurze, ale Christy, proszę, nie rób nic, co mogłoby jej zaszkodzić. Ona zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Tak? A kto nie? Szybko usunęła dwanaście e-maili ze spamem, które zakładały, że jest mężczyzną, ma problemy z impotencją i pilnie potrzebuje kredytu mieszkaniowego. Przypomniała jej się noc, kiedy Jack zrobił z niej idiotkę.

Była zaproszona na wręczenie nagród Associated Press Excellence w dziedzinie dziennikarstwa radiowego i telewizyjnego. Mogła przegrać tylko z Alem Gilliganem z Kanału Trzeciego, ale nie o to chodziło. Chodziło o to, że wtedy ona i Jack umawiali się od trzech miesięcy i naprawdę myślała, że skończą przed ołtarzem. Była w nim zakochana i pewna, że on też ją kocha.

Nigdy jej tego nie powiedział, ale mogła to wyczytać w jego oczach. Jej rodzice byli nim zachwyceni. Marguerite ją uwielbiała, nawet zapraszała na jednodniowe zakupy do Chicago. Ale nigdy do nich nie doszło, bo Jack cierpiał na jakąś niewydolność hormonalną, która sprawiała, że nie mógł nawiązać głębszej więzi z kobietą.

Tego dnia, kiedy miało się odbyć rozdanie nagród, zaciągnął swoją współpracownicę do budki telefonicznej i tam się z nią całował.

Gdyby to Christy zauważyła, mogłaby go rzucić i nie ucierpiałaby na tym jej duma. Ale nie – to jej szef i czterech współpracowników w drodze do męskiej toalety widzieli wszystko. I oczywiście z radością omówili szczegóły przy stoliku Kanału Dziesiątego. Kiedy parę minut później Jack wrócił na swoje miejsce, wyglądał świeżo i spokojnie. Jednak wszyscy przy stoliku czekali na jej ruch. Kiedy Jack położył rękę na jej dłoni, Christy nie wytrzymała. Z całej siły wykręciła mu palec wskazujący i wysyczała:

– Ty odrażająca świnió!

Oczywiście to było wydarzenie wieczoru. Christy opuściła bankiet bez statuetki i bez pary na wesele jej kuzynki. Ale najbardziej wkurzyło ją to, że wszystko poszło fatalnie akurat wtedy, kiedy wyglądała tak fantastycznie. Marcia zrobiła jej świetną fryzurę, a różowa sukienka bez ramiączek, którą znalazła na wyprzedaży w Circle City Nordstrom, pasowała jak ulał.

To powinna być jej noc!

Jack powinien być jej mężczyzną!

Razem wyglądali idealnie!

Odetchnęła i skupiła się na czekającym ją zadaniu. Zaczęła czytać e-maile od widzów, współpracowników, innych źródeł i oczywiście od Brandona Miliewskiego.

Ziewnęła przeciągle i położyła nogi na biurku. Wyglądało na to, że ten tępawy i dziwaczny prostak wysłał jej sześć e-maili jednego dnia. To, że od lat próbował z nią flirtować, było raczej smutne. Ale smutniejsze było to, że myślał, że lampką taniego zinfandela uczyni z niej przyszłą panią Video Poker (Miliewski).

– Sorry, stary.

Kilkoma kliknięciami usunęła prośbę Brandona o przyłączenie się do niego i jego kolegów w St. Elmo na dzisiejszej kolacji, a także pięć pozostałych e-maili, których nawet nie przeczytała. Co sobie wtedy wyobrażała w Chatterbox Tavern? Miliewski nie był ani interesujący, ani atrakcyjny – wyglądał jak spasiona fretka. Wiadomość o nowej laluni Jacka musiała sprawić, że zakręciło jej się w głowie.

Christy wyłączyła komputer i włożyła płaskie buty. Ruszyła na parking. Incydent na zjeździe nauczycieli to będzie małe piwo w porównaniu z tym, co przyszykuje jako zemstę. Wsiadła do swojego małego, żółtego nissana 350Z i potrzęsła głową. Nigdy już nie będzie mogła włożyć tej cudownej różowej sukienki – zbyt wiele złych rzeczy się z nią kojarzyło.

– Miała na imię Tina. Działo się to, zanim ty i ja podpisaliśmy umowę.

– Tęsknisz za nią? – Sam zawstydzila się nagle, że zadaje takie osobiste pytanie. Nie miała żadnego prawa rozmawiać z Jackiem Tolliverem na takie tematy. I właśnie dlatego ich układ był taki dziwny. Umawiali się na randki, ale tak na niby. Zaczynała go lubić, sama nie wiedziała czemu. Uważała, że jest zabawny, słodki, ale jednocześnie był z niego kawał fiuta. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, robiła się wilgotna, a to było niepokojące.

– Szczerze mówiąc, tęsknię za niektórymi aspektami tej znajomości – powiedział. Wziął kolejny łyk wina, iskierki w jego oczach pokazały, że sam siebie zaskoczył.

– Zakładam, że były to bardzo istotne aspekty. – Sam odwróciła się i wyjrzała przez okno na Meridian Street. Dostali najlepszy stół w St. Elmo. Nie powinno jej to dziwić, jednak była trochę tym poruszona. Wcześniej była tu tylko raz – Mitchell zabrał ją na kolację z okazji dziesiątej rocznicy ślubu. Zastanawiała się, czy mogą sobie pozwolić na steki po trzydzieści dolarów i butelkę wina za czterdzieści, nawet z okazji rocznicy.

Mitch poprosił, żeby się odprężyła. Kelner przyniósł tuzin czerwonych róż, a on powiedział: „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu”. Pochylił się nad stolikiem i pocałował ją w rękę. Później rozmawiali o tym, jak Lily i Greg szybko rosną. Opowiedział jej o swoich ostatnich projektach i znowu poczuła się przyjemnie podekscytowana w jego towarzystwie. Uwierzyła, że wszystko się ułoży i że Mitch przejdzie przemianę jako mąż i jako artysta.

Sam westchnęła cicho, wspominając, jak wrócili do domu tamtego wieczoru i jak się kochali.

Po trzech następnych tygodniach zorientowała się, że pierwszą godzinę po przebudzeniu spędza na klęczkach przed muszlą klozetową. Kiedy była w ciąży z Lily czy z Gregiem, nie miała porannych mdłości. W któryś wtorek rano Mitch stanął za jej plecami w łazience. Chyba mówił coś o tym, że ich małżeństwo to fikcja, a on właśnie odkrył, że jest gejem, jednak niezbyt dobrze go słyszała, bo szumiało jej w uszach. Mitch wyprowadził się tydzień później, tego dnia, kiedy listonosz przyniósł rozliczenie z karty Visa z rachunkiem za kolację rocznicową. Kolejny debet, którego mąż nie pomoże jej spłacić.

- Dobrze się czujesz? – pytanie Jacka wyrwało ją z zamyślenia.
- Przepraszam, sądzę, że nie jestem dziś najlepszym kompanem.

Jack ze zrozumieniem pokiwał głową. Biedak pewnie zanudził się na śmierć, mógł obciąć jej wynagrodzenie. W końcu w kontrakcie było napisane, że ma bardzo się starać.

Sam zmusiła się do uśmiechu.

- Założę się, że Lisa była dobrym kompanem.
- Ma na imię Tina. Powiedziałem Tina, prawda?
- O niej też wspomniałeś.

Jack zaśmiał się, jego twarz złagodniała, Sam miała nadzieję, że to nie sympatia.

– Kto wie, Sam? Może po tych sześciu miesiącach zostaniemy przyjaciółmi. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

Ciepło tego komentarza ją zaskoczyło, przez chwilę bawiła się kieliszkiem, a później szczerze się uśmiechnęła. Spojrzała na Jacka Tollivera – jego arystokratyczny nos, ciemne rzęsy i szeroki uśmiech – i nie mogła tego powstrzymać. Fala gorąca popłynęła od klatki piersiowej, przez ręce i dotarła do krocza. Dotarło też do niej wyraźnie: dawno nie uprawiała seksu; nie wie, jak się zachowywać w towarzystwie atrakcyjnego mężczyzny; powinna odstawić wino.

– Dziewczyna nigdy nie może mieć zbyt wielu przyjaciół – powiedziała, modląc się w duchu, żeby Jack się nie zorientował, z jakim trudem wydusiła z siebie tę głupią odpowiedź.

– Myślisz, że Monté byłaby zadowolona, gdybyś miała innych przyjaciół?

Zaśmiała się.

– Ja już ich mam. I przepraszam za Monté, ale ona po prostu taka jest. Chociaż uważam, że czasem mogłaby zatrzymać swoje komentarze dla siebie.

– Jak to się stało, że tak się zaprzyjaźniłyście?

– Zaczęłyśmy pracę w Le Cirque w tym samym tygodniu. Właściwie byłyśmy wtedy zupełnie nieopierzone. – Potrząsnęła głową, próbując przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy ma się dwadzieścia dwa lata, jest się szaleńczo zakochaną, świeżo upieczoną matką, pełną nadziei na przyszłość. – Wszystkiego, czego nauczyłyśmy się na temat włosów, dzieci i życia, nauczyłyśmy się razem; razem przeżyłyśmy radości i smutki, i wszystko, co pomiędzy. Stałyśmy się rodziną. Ona zawsze będzie moją podporą, a ja jej.

Podano steki. Jej był średniej wielkości, dobrze wysmażony i kosztował więcej niż trzydzieści dolarów. Ale Sam ani trochę nie obawiała się wysokiego rachunku. Jack był dobrym towarzyszem, a jego wyluzowana postawa pozwoliła i jej się odprężyć. Śmiała się z jego opowieści o futbolu i polityce i zapomniała, że spędzanie czasu z tym facetem było tylko jej pracą.

W pewnym momencie Jack sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Przysunął się bliżej, a diabelski błysk w oczach sprawił, że znów poczuła falę gorąca. Ten facet był jak z bajki. Słowa płynęły, jego skóra była gorąca, nie było wątpliwości, że ktoś ich obserwuje.

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego rękę.

– Jaki jest plan na dzisiejszy wieczór?

– Hmm... teraz mnie poinformujesz, że idziesz do toalety, ale zanim odejdiesz, pocałujesz mnie? Zostaniesz tam przez jakieś pięć minut, a kiedy wrócisz, komuś cię przedstawię.

– Komuś znanemu? – spytała, nie odrywając oczu od Jacka.

Jack zaśmiał się, złapał ją za rękę i pocałował w koniuszki palców. Pocałunek był delikatny, a on patrzył na nią, trzymając jej dłoń.

– Myślę, że jesteśmy tropieni przez Brandona Miliewskiego.

Sam zachichotała i cofnęła rękę, zrobiła minę, jakby przed chwilą powiedział coś zaskakującego. Prawda była taka, że drżały jej kolana. Kiedy ostatnio mężczyzna całował koniuszki jej palców? Jedyni faceci, których regularnie dotykała, byli to trzylatek i trzynastolatek. Sięgnęła po torebkę i powiedziała:

– Zaraz wracam, Jack.

Tak jak planowali, zamierzała pocałować go w policzek. Jednak kiedy się nachylała, on obrócił głowę i ich usta się spotkały. Sam nie wiedziała, czy to działanie wina, pyszny posiłek czy może sam Jack, ale odwzajemniła pocałunek; nie był to zdawkowy buziak.

Była zaskoczona tak bardzo, że odsunęła się, zamrugła, a później niemalże ruszyła biegiem do łazienki. Oparła ręce o krawędź umywalki i starała się uspokoić. Co to za kobieta spoglądała na nią z lustra? Nie miała zielonego pojęcia. Przez ostatnie czternaście lat w zasadzie nie miała czasu, żeby sobie zadać to pytanie. Była mamą, stylistką, przyjaciółką i ekszoną. Była, dzięki Bogu, po raz pierwszy w życiu wypłacalną finansowo osobą. Ale była też tylko kobietą. Kobieta z potrzebami, które nie mają nic wspólnego z nauką sikania do nocnika, terapią wymowy i minimalną miesięczną pensją. Ale nie wiedziała, jakie to potrzeby.

Sięgnęła do torebki po błyszczącyk, nałożyła nową warstwę na usta i cmoknęła. Wciąż dobrze wyglądała. Na szczęście nie tyła, miała ładną cerę, gęste włosy. A pracując sześćdziesiąt godzin tygodniowo i wysłuchując kobiet

niezadowolonych ze swej urody, naprawdę doceniała to, czym obdarzyła ją natura.

Być może nie zapomniała, jak używać swoich kobiecych walorów. Pomyślała, że osiemnaście miesięcy temu, kiedy poszła do domu Billa Lathama, architekta, niepotrzebne się okazały żadne umiejętności. Dziesięć minut i było po wszystkim, a ona nawet się nie rozkręciła. Wróciła do domu ze świadomością, że lepiej bawiłaby się z wibratorem niż z Billem.

Jakaś kobieta weszła do łazienki i powiedziała: „cześć”.

– Cześć – odpowiedziała Sam. W tym momencie zdała sobie sprawę, że spędziła już pięć minut w łazience i może wrócić na randkę. Nie, do pracy.

Powinna zachować rozsądek. Co się z nią dzieje? Jack nie jest naprawdę jej chłopakiem, nigdy nie rzuci jej na to wielkie luksusowe łóżko i nie będzie się z nią kochał, nie będzie całował jej palców, nie będzie jej podziwiał i kochał.

Jedynym powodem, dla którego Jack będzie całował jej palce lub jakkolwiek inną część ciała, jest to, że jest taka beznadziejna. Tak, to prawda – Jack miał reputację niegrzecznego chłopca i musiał wynająć sobie nudną mamuszkę z trójką dzieci, by sprawili, żeby i on stał się tak nudny, żeby wybrali go do Senatu Stanów Zjednoczonych. Jack był zbyt seksowny. I ona musiała stawić temu czoło.

Zaśmiała się, wrzuciła błyszczący do torebki, oparła rękę na biodrze i znów zapatrzyła się w swoje odbicie. Oto ona – nudna kobieta. Co wybrała na dzisiejszy wieczór? Nieefektowną parę czarnych spodni i prostą bluzkę z golfem. Efekt był zadowalający, ale jednocześnie niezadowalający. Zobaczyła gorzki uśmiech na swojej twarzy. Tak, oto ona, kobieta tak nieciekawa, że jej mąż wolał zostać gejem.

Wstrzymała oddech, ta myśl uderzyła ją z niesamowitą siłą – nieciekawa, beznadziejna, nudna.

Niewarta pożądania.

Zamknęła drzwi łazienki i skierowała się do stolika. Co się z nią, do cholery, stało? Gdzie podziała się ta wesółą, energiczną osobą? Może zaczęła zniknąć wtedy, kiedy Lily i Greg zaczęli ją wkurzać. Albo w czasie pierwszych czterech miesięcy po urodzeniu Dakoty, kiedy spała dwie godziny na dobę. A może to przez to, że zbyt wiele lat nie malowała.

Napotkała spojrzenie Jacka. Położył łokieć na oparciu jej krzesła, nogi miał skrzyżowane, z nonszalancją spoglądał na mężczyzn, którzy tłoczyli się przy stoliku. Przechylił głowę i uśmiechnął się słodko. Wiedziała, że ten uśmiech nie jest przeznaczony dla niej, ale dla publiczności. Mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na nią.

I coś w niej pękło.

Czy miała być ucieleśnieniem kury domowej? Czyż nie była tak utalentowana, że sprzedawała się za więcej, niż zarabia prezydent Stanów Zjednoczonych?

No cóż, pieprzyć beznadziejność. Pieprzyć wszystkie kobiece pierdoły.

Przewiesiła torebkę przez ramię. Starła się wyglądać naturalnie. Rozpięła guzik bluzki. Stopa jedna przed drugą, przesunęła dłonią po ciele, zatrzymując ją na biodrze. Na pewno nie podejdzie do tego faceta jako nieciekawa, byle jaka kobieta. Miała dopiero trzydzieści sześć lat, może była trochę zużyta, ale na pewno nie martwa.

Mężczyźni wciąż patrzyli, a ona zdecydowała się dodać znaczący uśmiech. Miała nadzieję, że nie wygląda sztucznie i pretensjonalnie.

Skierowała się wprost do grupy mężczyzn w garniturach, podobało jej się, że się rozstąpili, by mogła przejść.

– Tęskniłeś za mną, kochanie? – pochyliła się i pocałowała Jacka poniżej lewego ucha. Każdy z obecnych mężczyzn musiał słyszeć, jak zdziwiony Jack wciągnął powietrze, ale tylko Sam wiedziała, że po jego ciele przeszedł dreszcz. Wróciła na swoje miejsce.

– Uh... – Jack nie spuszczał z niej błyszczących oczu. Obliznął wargi. W końcu otrząsnął się na tyle, by powrócić do rozmowy. Wpatrując się w Samanthę, powiedział do mężczyzn:

– To moja narzeczona Samantha Monroe.

Zamrugnął i zaśmiał się z własnej pomyłki.

– Chyba trochę się pogubiłem, prawda? – zwrócił się do Sam.

Sam uśmiechnęła się z satysfakcją. Wyglądało na to, że mamusia wciąż potrafi wykorzystywać swoje walory.

Rozdział szósty

– Skąd, do cholery, wzięłeś mój numer domowy, Miliewski?

– Zważywszy na okoliczności, doszedłem do wniosku, że nie będzie źle, jak do ciebie zadzwonię.

– Nie będzie źle? – Christy usiadła na łóżku i zapaliła lampkę. Przypuszczała, że jest jakaś druga nad ranem, ale była dopiero dziesiąta wieczorem. Miała długi dzień za sobą. – Oczywiście, że jest źle! Gdybym chciała się z tobą umówić, przyjąłabym zaproszenie na kolację! Gdybym chciała, byś dzwonił do mnie do domu, dałabym ci swój numer! Nie zrobiłam tego, więc jednak mi to przeszkadza!

Miliewski chwilę milczał, po czym powiedział:

– Są zaręczeni.

– Kto jest zaręczony? O czym ty mówisz?

– Tolliver i Samantha Monroe. Byli dziś w St. Elmo i on przedstawił ją naszej grupie jako narzeczoną, przyszłą żonę.

Momentalnie ciarki przeszły po ciele Christy.

– Słucham? Chyba się przesłyszałam.

– Zaręczeni. Powinnaś zobaczyć tę małą mamacitę. Mówię ci, Jack wpadł po uszy, w życiu bym go o coś takiego nie podejrzewał. Ślinił się, gdy ją przedstawiał.

Christy zaśmiała się. To było tak niedorzeczne, że aż zabawne. O mało w to uwierzyła i kretyn za to zapłaci.

– Wrabiasz mnie, tak?

– Uh...

– Brandon, jeśli zmyślasz po to, żeby członkowie stanowej komisji do spraw hazardu mieli zabawę, to zapewniam cię, że pożałujesz dnia, w którym...

– Oj, zamknij się wreszcie, Christy. Dlaczego zawsze musisz być cholerną suką?

Zaczerpnęła tchu.

– Nigdy nie robiłem czegoś takiego, co teraz robię dla ciebie. Jesteś najbardziej wyjątkową kobietą, jaką znam. Po prostu opowiadam, jak było, dam ci hit, jak wy to mówicie, ale jeśli wolisz, to porozmawiam z Alem Gilliganem z Kanału Trzeciego, no problemo.

Po tych słowach Brandon Miliewski rozłączył się. Christy gapiła się w słuchawkę, po czym odłożyła ją, przyłożyła palec do szyi, żeby sprawdzić puls – był szybszy niż na koniec jej czwartkowych zajęć z aerobiku w rytmie hip-hopu.

Nie było wątpliwości, że Jack Tolliver oszukuje opinię publiczną. Jeszcze nie urodziła się taka, która sprawi, że ten facet pójdzie do ołtarza, i to jeszcze tak szybko. Jeśli Christy nie umiała tego zrobić, jest to niewykonalne.

Sprawdziła, czy wyświetlił się numer Brandona, kiedy dzwonił –tak na wszelki wypadek. Na przyszłość. Dla sprawdzenia źródeł. Albo wypowiedzi dla prasy. Nie żeby kiedyś chciała porozmawiać z tym spoconym lobbystą, nawet jeśli uważał, że jest wyjątkowa.

Powrót samochodem do Sunset Lane był dziwniejszy niż cała randka. Kiedy jechali Meridian Street, Sam przyglądała się starym posiadłościom. Przejeżdżała obok tych wspaniałych domów tysiące razy, ale nigdy nie zastanawiała się, jak płynie życie za ich murami. Teraz mieszkała w okazalszej rezydencji niż ta, którą właśnie mijali. Wyglądało na to, że teraz żyła jak ci ludzie.

– To posiadłość gubernatora – powiedział i wskazał w kierunku budowli z cegły, przynajmniej trzy razy większej od domu ich sąsiadów. – W zasadzie dorastałem tam.

– Miejsce raczej za duże jak dla jednego dzieciaka. Jack zaśmiał się, odwrócił się do niej i powiedział:

– Tak. Moja mama urodziła bliźniaki, kiedy miałem siedem lat, ale żyły tylko kilka dni.

Sam dotknęła jego ramienia.

– Jack, przepraszam.

Delikatnie wzruszył ramionami, skupiając uwagę na drodze.

– Dwie dziewczynki. Miałbym rodzeństwo i być może nie zmieniłbym się w egoistycznego drania.

Sam usłyszała ból w jego głosie i zdała sobie sprawę, że się przed nią otworzył.

– To bardzo smutne – powiedziała.

– Fakt – przytaknął.

Sam zauważyła, że Jack przelyka z trudem ślinę, a jego grdyka porusza się w górę i w dół. To było wszystko, co mogła zrobić. Nie mogła przecież pogłaskać go po głowie, tak jak robiła zawsze, kiedy Greg walczył z uczuciami, z którymi nie mógł sobie poradzić.

– Myślę, że Marguerite byłaby łagodniejsza, gdyby miała więcej dzieci. Ciężko przeżyła stratę bliźniaczek. W zasadzie zniknęła mi na parę lat.

– Zniknęła? To znaczy odeszła? – Sam zmarszczyła brwi.

– Nie, przez długi czas była wypalona. Przestała się mną interesować. A kiedy wróciła, starała się trzymać mnie bardzo blisko. Ręczę ci, uścisk Jackiego Chana to nic w porównaniu z uściskiem MDT.

Sam uśmiechnęła się, miała nadzieję, że będzie mówił dalej. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Jack wyjawiał jej nieprzymuszony coś bardzo osobistego.

– A jaki teraz masz kontakt z matką?

– Chciałbym móc powiedzieć, że jesteśmy rozłączeni, ale ona by mi na to nie pozwoliła – cmoknął z niezadowoleniem.

Sam zaśmiała się. Podobało jej się jego żartobliwe podejście do życia. Zaczynała podejrzewać, że sam siebie nie traktuje poważnie. Kiedy milczała, poklepał ją po kolanie i powiedział:

– Widzę, że tęskni pani za swoją rolą, pani Monroe. To jest ten moment, kiedy kobiety, z którymi się umawiam, dochodzą do wniosku, że dystans i chłód w relacjach z matką spowodowały fobię przed poważnym związkiem z kimś.

– Ach, o to ci chodzi. Nie wiedziałam, że masz jakąś fobię. Poza tym nie jestem z tobą na randce, tylko dla ciebie pracuję, więc nie powinnam się wypowiadać.

Znaczący uśmiech przemknął po twarzy Jacka, kiedy skręcił w lewo w Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę i jechał pod górę do Sunset Lane.

– Możemy się nie umawiać na randki, ale na pewno jesteś jedyną kobietą, z jaką się zaręczyłem. – Skręcił na drogę dojazdową, a światła lexusa oświetliły rosnące wzdłuż niej drzewa. – Zastanawiam się też, jak zareaguje Kara, gdy dowie się, że dzisiejszymi oświadczynami trochę wyprzedziłem nasze ustalenia.

– Mówiłeś coś o tęsknocie za rolą – powiedziała Sam, uśmiechając się do siebie.

– Myślę, że jesteś po trosze sadystką, Samantho, tak jak każda kobieta.

– Co masz na myśli?

– St. Elmo. Chód pożeraczki męskich serc i to „tęskniłeś za mną, kochanie?”. To było okrutne. Byłem tak zbity z tropu, że z łatwością mógłbym zdradzić jakieś tajemnice państwowe, gdybym je znał. Chyba nie powinienem zostać senatorem.

Tym razem to Sam przyjacielsko poklepała go po kolanie.

– Będziesz świetnym senatorem, przepraszam, że tak się zachowałam. Byłam trochę rozzalona na siebie i musiałam się upewnić, że wciąż to mam.

Popatrzył na nią, kiedy naciskał guzik pilota, żeby otworzyć żelazną bramę.

– Upewnić się, że masz co?

Wzruszyła ramionami, wzięła torebkę i zanim wysiadła z samochodu, sprawdziła, czy ma zapięty płaszcz.

– Och, nic takiego. To głupie.

Jack wyłączył silnik, a później odwrócił się do niej. Na twarzy miał krzywy uśmiezek i widać było, że niezłe się bawi jej zażenowaniem.

– Czego dokładnie nie jesteś pewna? Położyła rękę na klamce.

– Zapomnij o tym. Przepraszam, że tak się zachowałam, masz rację, byłam okropna. Powiem Karze, co się stało, wyjaśnię jej, że to moja wina. Dobranoc, Jack.

Klik. Wszystkie drzwi zamknięte.

Zaśmiała się.

– Zabawny jesteś.

– Wciąż masz co?

– Och, daj spokój. Mówię serio. To głupie. Już przeprosiłam. A teraz muszę iść, żeby Monté mogła wrócić do siebie.

Jack spojrział w kierunku domu, paliło się tylko kilka świateł.

– Jestem pewien, że minuta nie zrobi jej różnicy. Chcę usłyszeć, co do jakich rzeczy musiałaś się upewnić, że je wciąż masz.

Serce Sam waliło jak oszalałe. Co się dzieje? Drażnił się z nią, ale spojrzenie i ciepło bijące od niego mówiło, że to nie żarty. Jack Tolliver był niebezpiecznym seksualnym drapieżnikiem – trzeba przyznać, że wyjątkowo pociągającym.

– Jack, ten kontrakt naprawdę zmienił bardzo wiele w życiu moim i moich dzieci. To jakiś cud i naprawdę chcę, by się spełnił, chcę wszystko robić właściwie i pomóc ci zostać senatorem. A później zniknę. Naprawdę nie chcę tego schrzanić.

Znów jej dotknął, jednak tym razem to nie było tylko przyjacielskie klepienie. Trzymał rękę na jej kolanie w taki sposób, że idealnie odczytała przekaz – on był dużym mężczyzną, a ona małą kobietką. Poczowała zamęt w głowie.

– Mów do mnie, Sam. – Ciepło dłoni Jacka rozplątywało się po całym jej ciele. – Nic nie schrzaniysz, jeśli będziesz do mnie mówiła. Lubię cię. Jestem po prostu ciekawy, co ci chodziło po głowie, kiedy tego wieczoru otworzyłaś puszkę z kobiecymi sztuczkami, które tak działają na nas, facetów.

Sam oparła głowę na siedzeniu i zaśmiała się szczerze. A później położyła palce na skroniach.

– O rety – wyszeptała.

– Zamieniam się w słuch.

Podniosła wzrok na Jacka i już wiedziała, jak czuły się te wszystkie kobiety, które kiedykolwiek znalazły się same z Jackiem Tolliverem w przyciemnionym miejscu, widząc te intensywnie zielone oczy i tę seksowną

swawolność. Każda byłaby zagrożona. A w szczególności taka, która nie miała do czynienia z mężczyznami przez prawie wieczność. Nie mogła o tym zapomnieć.

– No cóż...

Jack poruszył się i w przyciemnionym świetle zobaczyła jego profil. Był piękny – łagodnie zarysowane policzki i linia szczęki, klasyczna linia nosa, grzesznie wydatne usta i światełko w oczach. Chciała go namalować. Pragnęła go namalować, a tego pragnienia nie odczuwała od bardzo dawna.

– Powiedz mi, słodka Sam... – Odwrócił się do niej.

Próbowała zatrzymać to wrażenie. Czuła, że coś w jej sercu się otwiera.

– O Boże! To tak jakbym się obudziła ze śpiączki lub coś w tym rodzaju.

Zaczął gładzić ją ręką po kolanie.

– Jakbym chodziła we śnie, dzień za dniem mijał, a ja nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak szybko upływa czas. Nigdy nie zadawałam sobie pytania, czego naprawdę chcę lub potrzebuję, ponieważ bałam się, że jeśli to zrobię, uświadomię sobie, jak jestem w środku pusta. Moje dzieci są dla mnie wszystkim, ale nie sądzę, żebym była bardzo dobrą matką, ponieważ częściowo się zamykam w sobie, żeby jakoś przetrwać. Już tak długo byłam zmęczona...

Sam przerwała tylko dlatego, że ręka Jacka przestała się poruszać. Dotarło do niej, że użala się nad sobą.

– Musisz myśleć, że jestem stuknięta.

Jego ręka znalazła się w jej włosach i to wzbudziło tyle emocji. Spędzała dni na masowaniu głów klientom, patrzyła, jak rozluźnieni zamykają oczy pod wpływem jej magicznego dotyku. A kiedy jakiś mężczyzna masował jej głowę w ten sposób? Kiedy ostatnim razem czuła tę magię? Zamknęła oczy.

Długie palce Jacka były delikatne i ciepłe. Odchyliła głowę do tyłu i rozluźniła się.

– Nie jesteś stuknięta, Samantho, tylko zjawiskowa.

Sam otworzyła oczy, ponieważ jego głos brzmiał wyjątkowo seksownie i dobiegał z bardzo bliska. Przysunął twarz do jej twarzy. Poczowała gorący oddech na policzku. Wciągnęła jego zapach, był bogaty i ciepły i skojarzył jej się z ciasteczkami, które wyjęła z piekarnika, lub z czymś, czemu nie potrafiła się oprzeć.

– Och, Jack, poczekaj...

Nie przestał. Przysunął jej twarz bliżej swojej i dotknął jej ust swoimi. Poczowała jego ciepłe wargi i wprawny język. Wciąż trzymał rękę w jej włosach i przytrzymał głowę z tyłu. Nie miała innej możliwości, jak poddać się, ponieważ Jack Tolliver całował ją tak, jak jeszcze nigdy nie była całowana.

To było wspaniałe uczucie.

A później się zirytowała.

Dlaczego nikt wcześniej tak jej nie całował? Dlaczego nigdy nie spotykała się z mężczyzną, który by wiedział, jak należy całować kobietę? Co robiła ze swoim życiem?

Pocałunek stał się mocniejszy i gorętszy, a Jack wprawnym ruchem odpiął jej pas bezpieczeństwa i przysunął ją do siebie. Nie przestawał jej całować i napierać na nią delikatnie ciałem. Zdała sobie sprawę, że wydaje nieznane sobie wcześniej dźwięki miłego zaskoczenia. Chciała więcej. Później ich usta się rozłączyły, a on zaczął całować ją po szyi, dotarł do obojczyka i znów wyżej aż do płatka ucha. Pocałował ją tak, jak ona jego w restauracji.

Ktoś tu mówił o okrucieństwie.

Muskał ją nosem w zagłębieniu szyi.

– Jesteś taka delikatna.
– Jack...
– Smakujesz tak dobrze.
– Lepiej, żebyś przestał.
– Nie chcę przestać.
– O Boże! – wykrztusiła. – Jeśli nie przestaniesz w tej chwili...
– Tak?
– Chodzi o to, że jestem trochę niezaspokojona.
– No to jest nas dwoje.
– Och, nieważne, po prostu to zrób. Jestem taka rozpalona, że zaraz wybuchnę. Weź mnie tu i teraz. Proszę! Niech to szlag! Przeleć mnie!

Jack znieruchomiał, odsunął się od niej na długość wyprostowanych rąk. Przyglądał jej się zaskoczony.

– O cholera – wyszeptał.

Z zażenowania zamknęła oczy. Czy to reakcja na to, co powiedziała? Czy ona przed chwilą naprawdę błagała głośno swego szefa, żeby uprawiał z nią seks? Jak można zapomnieć o takim faux pas?

– Bardzo przepraszam – wyszeptała i odwróciła się od niego. Przytrzymał delikatnie jej twarz i obrócił z powrotem do siebie.

– Sam? Halo? Czy to ty?

Oczy miała zamknięte i próbowała się uwolnić, ale on nie zamierzał się poddać.

– Spójrz na mnie, Sam.

– Wolałabym nie.

– Otwórz oczy i popatrz na mnie.

Otworzyła jedno oko i zobaczyła, że Jack uśmiecha się do niej.

– Jak widzisz, naprawdę jestem stuknięta. Stuknięta, niewyżyta kobieta. No cóż, myślę, że to kolejna rzecz, którą powinienesz być sprawdzić, zanim poprosiłeś, żebym za ciebie wyszła. To znaczy tak na niby. Naprawdę powinnam już iść.

Jack uśmiechnął się, jego dotyk zelżał, ale jej nie puścił. Zaczął gładzić jej policzki. Później włosy, szyję, zjeżdżał coraz niżej aż do zapięcia płaszcza, a później bluzki. Wydała z siebie cichy pomruk i znów zamknęła oczy, czuła mrowienie w całym ciele.

– Nie jesteś stuknięta, Sam – pocałował ją w czubek nosa. – Kochana, zamierzałaś to wszystko zmarnować.

Rozpiął jej płaszcz. Nie opierała się. Kiedy rozpiął bluzkę, wciąż nie protestowała. Poczowała chłód na skórze i wiedziała, że jej sutki na to zareagują, ale nie przejmowała się tym. Otworzyła oczy i przyglądała się, jak jego ręce błądzą po jej piersiach.

Jack złapał oddech.

– Taka wspaniała kobieta zamierzała się zmarnować. Nie wiem, jak znalazłaś się w moim samochodzie, moim domu i w moim życiu, ale do cholery, skorzystajmy z tego.

Nagle fala silnego światła zalała samochód. Zmrużyli oczy. Głos Monté rozległ się w ciszy nocy:

– Wy dwoje, natychmiast wracać do domu!

Dale zaczął szczekać, wybiegł frontowymi drzwiami i ujadał całą drogę do samochodu.

Kiedy brutalnie im przerwano, Sam powróciła do rzeczywistości. Jack zapinał szybko jej bluzkę w blasku latarki. Zastanawiała się, ile bluzek do tej

pory rozpinał i zapinał, ile sutków pieścił. Doszła do wniosku, że skoro każda kobieta ma dwa, to liczba mogła iść w tysiące.

Drzwi zostały odblokowane, zabrzmiało to jak wystrzał. Zdecydowała, że pobiegnie do domu, żeby nie pogarszać sytuacji.

– Sam? – Jack zawołał za nią. Już w biegu usłyszała znajomy odgłos psich pazurów drapiących bok naprawdę drogiego samochodu.

Monté opierała się o framugę drzwi, ręce miała skrzyżowane na piersi, a na twarzy wymalowane słowa: a nie mówiłam.

– Ciężki dzień w pracy? – spytała, przytrzymując drzwi, kiedy Sam kierowała się w stronę schodów. – Dzieciaki śpią, powiedziały mi, że mogę wpuścić Dale'a do środka, ale ten cholerny kundel zrobił kupę na orientalny dywanik w kuchni, ten pod zlewem. Simon zostaje na noc, więc pomyślałam, że i ja zostanę, i ulokowałam się w jednym z pokoi gościnnych na dole. Mam nadzieję, że to wam nie przeszkadza. To miejsce ma więcej pokoi niż Motel 6.

Sam dotarła do schodów prowadzących do północnego skrzydła domu.

– Oczekuję rano pełnego raportu i wcale nie mam na myśli tego, jak przyrządzony był stek! – krzyknęła za nią Monté.

– Dobranoc, Monté!

Sam nie mogła się doczekać, aż zamknie się w pokoju i będzie mogła w kółko zadawać sobie pytanie: co też najlepszego wyprawia?

Okej. To z pewnością było coś innego.

Jack oparł gołe stopy na podnóżku i zagłębił się w swój ulubiony skórzany fotel, starając się nie uронić ani jednej kropli z butelki corony. Sięgnął po pilota i zaczął skakać po kanałach. Po stu siedmiu wyłączył telewizor. Oparł głowę i zamknął oczy.

Jak to się mogło stać? Jak facet, który może mieć każdą kobietę, znalazł się w takiej sytuacji akurat wtedy, kiedy powinien stronić od kobiet? Gorzej, jedyna kobieta, która była pociągająca, zjawiskowo pociągająca, to ta, której nie powinien tknąć.

Pociągnął łyk piwa. Miał erekcję już od trzech godzin, od momentu kiedy Samantha Monroe wyszła z damskiej łazienki, kierując się w jego stronę z błyskiem w oczach i seksownie kręcąc biodrami. Zamilkł i gapił się na nią z otwartymi ustami. Wystarczyło zamrużyć, żeby się otrząsnąć. Nigdy nie podejrzewał, że popełni gafę w obecności Brandona Miliewskiego, ale tak się stało. Dzięki Bogu, że w St. Elmo mają białe serwetki.

Sam emanowała takim seksem tam, w samochodzie, że jego penis by nie opadł. Mógłby już nigdy nie opaść, aż do końca życia.

Pociągnął kolejny łyk piwa i zaczął szukać czegoś, o czym mógłby pomyśleć w spokoju i co nie byłoby związane z Samanthą Monroe, jej niebieskimi oczami, zalotnym uśmiechem, delikatnymi włosami, twardymi sutkami lub tym, jak jej głos obniżył się o oktawę, kiedy błagała, żeby ją przeleciał.

Matka. To powinno zadziałać. Pomyśli o MDT i jej ostatnim telefonie, na który nie odpowiedział. A także o przerażającej możliwości, że matka zjedzie tu na święta. Jeśli to go nie ostudzi, to już nic nie pomoże.

Pociągnął ostatni łyk corony i zerwał się z fotela, żeby wyrzucić butelkę do kosza na szkło w kuchni. Jednak musiał źle stanąć, bo przeszywający ból przeniknął go od piszczeli aż do biodra. O właśnie – myśl o matce i ból przypominający o najtrudniejszym dniu jego życia powinny sprowadzić go na ziemię.

Zadzwonił telefon.

– Dlaczego tak się wygłupiłeś? – spytała Kara. – Nie zdążyłam jeszcze przyprzeć do muru ludzi z Goldman Steinam. Doskonale wiesz, jak kapryśni są ci z Whitcombe Industries! Nie taki był plan, Jack. Miałeś powiedzieć światu o Sam po zgłoszeniu swojej kandydatury. To mogło nas narazić na stratę wysokości stu tysięcy dolarów.

– Sam zadzwoniła do ciebie?

– Ja zadzwoniłam do niej. Spytałam, kto był świadkiem twojej wpadki, a ona powiedziała, że lobbysta, którego spotkała już wcześniej. Brandon jakiś tam. Kiedy to usłyszałam, mało mnie szlag nie trafił! Brandon Miliewski to obrzydliwa gnida i na pewno już z tym do kogoś poleciał. Zrobiłby wszystko, żeby jakiś reporter miał wobec niego dług wdzięczności. Pytanie tylko, kogo wybrał. Kogoś, kto się zajmuje ustawodawstwem? Prawdopodobnie. Ale jeszcze nikt do mnie nie zadzwonił, żeby poprosić o komentarz. Jack usłyszał, jak Kara wciąga powietrze.

– Kogo on zna?

– Zna każdego reportera w siedzibie władz stanowych. Jaki głos miała Sam, kiedy z nią rozmawiałaś? Wszystko z nią w porządku?

– Czy Miliewski zna Christy?

– Nie mam zielonego pojęcia. Czy wszystko z nią w porządku?

– Z kim, z Christy?

– Nie, z Sam.

– Sam? Brzmiała normalnie. A czemu miałyby być inaczej? Powiedziała, że jej stek był wyśmienity.

Jack pokiwał głową, odczuł ulgę. Oczywiście, że nie powiedziałyby Karze o tym, co się stało w samochodzie. To dobry znak, ale on był bardzo

ciekawym, czy ten przykrótki seans gorączkowego obmacywania podziałał na nią tak samo jak na niego.

– Czy była zmęczona?

Kara milczała przez chwilę.

– Co się dziś z tobą dzieje, Jack? Myślałam, że wszystko mamy rozplanowane w czasie. A teraz musimy uważać, żeby nie stracić kontroli, i niewykluczone, że trzeba będzie zwołać na jutro konferencję prasową. Zadzwoiłam już do Stuarta, przyjedziemy za pół godziny, żeby wszystko omówić.

Jack westchnął.

– Jestem w apartamencie.

– Wiem, gdzie jesteś! Jezu, Jack! Zadzwoiłam pod twój domowy numer i odebrałeś, więc jest oczywiste, że jesteś w apartamencie. Co z tobą?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Jaaaaack?

– MDT mówi, że chce przyjechać na Boże Narodzenie do Indiany. Myślę, że wytrąciło mnie to z równowagi.

– Tak, dzwoniła do mnie dziś, wypytywała o ciebie. Nie powiedziałam jej, co się dzieje, bo uważam, że sami powinniście porozmawiać o tym, a my ze Stu będziemy cię wspierać.

Jack przewrócił oczami.

– Mam nadzieję. W końcu to był twój pomysł.

– Twoja matka musi widzieć, że jesteś całkowicie pewny, że się uda. Inaczej nie uwierzy.

– Nie gadaj. – Jack otworzył lodówkę i znalazł następną butelkę corony. Otworzył ją i pociągnął solidny łyk. – To raczej smutne, kiedy dorosły mężczyzna musi brać na spotkanie z matką wsparcie.

Kara zaśmiała się.

– Wiesz, że ona musi być naszym sojusznikiem w tej kampanii. Jej głos wciąż się liczy w polityce. Jeśli nie stanie po twojej stronie, ludzie na pewno to zauważą. Potrzebujemy jej. Musi sprawiać wrażenie niesamowicie podekscytowanej faktem, że wreszcie postanowiłeś się ustatkować.

– Och, na pewno będzie.

– Sam powiedziała mi o samochodzie, Jack. Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo wkurzony.

Jack miał upić kolejny łyk piwa, ale butelka zastygła w powietrzu, a zimne piwo wylało mu się na koszulę.

– Powiedziała ci?

Wziął garść ręczników papierowych i przyłożył je do koszuli.

– Tak, czuje się okropnie z powodu tego, co się stało. Zaproponowała, żebyś odliczył jej to od wypłaty w przyszłym miesiącu. Powiedziałam, że pewnie nie będziesz taki zasadniczy.

Jack wpatrywał się beznamiętnie w przyciski od kuchenki mikrofalowej. Następnie wyjrzał za okno na Eiteljorg Museum. Co to za pomysł, żeby odliczyć od wypłaty za stosunek przerywany! E tam, nawet do tego nie doszło.

– Kara? Nie jestem pewien, czy nadążam.

– Powiedziała, że Monté wszystko widziała.

– Och, super.

– Więc jak duże szkody zostały wyrządzone?

Jack odstawił piwo i pomasaował sobie kark.

– Żadnych trwałych szkód, Kara. To był błąd i więcej się nie powtórzy. Sam i ja jesteśmy dorośli i przejdziemy nad tym do porządku dziennego.

– Hmm... – powiedziała Kara – raczej filozoficzne podejście do zadrapań na drzwiach samochodu, ale cieszę się, że tak to przyjąłeś, ponieważ pies również nasrał na dywan.

Tylko siłą woli powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Z ulgi zakręciło mu się w głowie.

– To dobre wiadomości.

– Nie musisz być taki sarkastyczny.

Kara i Stu pojawili się pół godziny później. We troje usiedli przy stole w jadalni i do drugiej nad ranem opracowywali strategię po tym, jak Jack popełnił gafę w St. Elmo. Ustalili, że będą starali się trzymać oryginalnego planu i w czasie otwarcia nowego delfinarium w zoo Jack ogłosi swoją kandydaturę i powie, że się zaręczył.

– To idealny moment. Dzieci i zoo, lepszy trudno sobie wyobrazić.

Kara zasugerowała także, by Jack i Sam jak najczęściej pokazywali się publicznie razem. Mogą zacząć od balu charytatywnego w przyszłą sobotę. Poleciała, żeby nie odpowiadali jasno na pytania o zaręczyny, ale też nie zaprzeczali.

– Zabawmy się trochę ich kosztem – powiedział Stu.

– Sam pomysł nie jest zły, gorzej z realizacją – odparł Jack.

– Jakbyś kiedykolwiek nie mógł sobie z tym poradzić.

Kiedy odprowadził ich do drzwi, uśmiechnął się pod nosem. Ta historia z samochodem – Sam bezlitośnie zabawiła się jego kosztem. Może nie zrobiła tego celowo, ale zostawiła go sapiącego, niezaspokojonego i ciekawego jak

cholera. Prawda była taka, że odkrył w niej poczucie humoru i wewnętrzne piękno. Fakt, że była napalona, też nie przeszkadzał.

Wyłączył lampę w salonie i światła w kuchni. Pewnie, że nie żałował sobie z kobiecego menu w ostatnich latach. Na jego talerzu znalazły się niesamowicie piękne kobiety. Na przekąski brał mądre kobiety, z którymi długo analizował, jak cieszyć się seksem. W jego menu znalazły się też imprezowiczki, ale one były jak jedzenie z fastfoodów. Były szybkie i łatwe, ale sprawiały, że wciąż pozostawał głodny.

Z Samantha Monroe zasmakował czegoś, czego nie doświadczył jeszcze nigdy. Musiał przyznać, że było coś niesamowicie seksownego w kobiecie, która wyglądała jak świeżutka bułeczka, a rozpaliała jak miska najostrejszego chili.

Kiedy szedł korytarzem do swojego pokoju, zdał sobie sprawę z tego, że wśród wszystkich kobiet, z którymi się umawiał w ciągu ostatnich dziesięciu lat, nie ma takiej, do której mógłby się teraz zwrócić i która dodałaby mu otuchy. Nie było żadnej kobiety, która by go kochała i jednocześnie nie trąbiła o tym na prawo i lewo. Nie było żadnej, której mógłby ufać. Wyglądało na to, że będzie żył jak zakonnik aż do czasu prawyborów.

Co on najlepszego zrobił?

Rozdział siódmy

Sam otaczały dźwięki muzyki i śmiech. Z radością rozejrzała się po tłumku zgromadzonym na wieczorze P&D. Dziś pojawiły się dwie stare członkinie. Candy McGaughy – nieobecna od trzech miesięcy, od czasu urodzenia córeczki (trzeciej), i Olivia Petrakis, która musiała pozbierać się po rozwodzie (drugim). Były też Denny i Wanda, a także Kara, Monté i Marcia oraz najnowszy nabytek klubu, Brigid Larson – rumiana rozwódka z dwójką dzieci, która prowadziła znaną kawiarnię na Massachusetts Avenue, wciśniętą między galerie sztuki, księgarnie New Age i butiki. To właśnie ona wyskoczyła z tematem.

– O Boże, Sam! Każda wie, jak gorący jest Jack Tolliver! Jak go poznałaś? Jak długo się znacie? Czytałam wszystkie artykuły – naprawdę jesteście zaręczeni?

Sam przymknęła powieki, omijając wzrokiem Monté. Potem spojrzała na Karę, która niemal niezauważalnie kiwnęła głową, udzielając przyzwolenia. Od czasu, kiedy Christy doniosła o „oświadczeniach” Jacka i o zaręczynach, rozpoczęła się zabawa z ukrywaniem i poszukiwaniem faktów.

– To Kara przedstawiła nas sobie jakiś czas temu. Nie umawiam się z nim od dawna, a jeśli chodzi o zaręczyny... – Sam zaczerpnęła powietrza. – Nie chcę niczego zapeszać. Po prostu zobaczę, jak sytuacja się rozwinie.

– Więc naprawdę jesteś zaręczona z najbardziej pożądanym kawalerem w Indianie? Poszłam tylko urodzić i tyle mnie ominęło?

– Zwróćcie uwagę, że nie ma pierścionka – wtrąciła Monté, co oczywiście przykuło uwagę do gołego palca Sam.

– Pierścionki są średniowiecznym patriarchalnym symbolem męskiego ucisku kobiety.

– Kocham pierścionki – powiedziała Wanda. – Wiesz już, jaki byś chciała dostać? Złoto, białe złoto czy platyna?

– Na pewno platyna – odparła Monté. Kara się zaśmiała, a Sam przewróciła oczami.

– Nie rozmawialiśmy o tym zbyt wiele. – Uśmiechnęła się. – Ale wierzcie mi, pierwsze się dowiecie, jeśli zacznę nosić pierścionek za ręczynowy.

Wszystkie pokiwały ze zrozumieniem głową, a Sam zrobiła krótki bilans: Kara, Monté i Denny wiedziały, że została wynajęta; Marcia, Wanda, Candy, Olivia i Brigid sądziły, że naprawdę jest dziewczyną Jacka; żadna nie domyślała się, że prawie dała się przelecieć w jego lexusie tamtej nocy.

To przeżycie spowodowało, że Sam musiała przemyśleć wszystko i zrozumieć to, co się stało. Jack jeszcze nie ogłosił, że będzie kandydował. Sam zastanawiała się, jak trudno będzie uniknąć błędów w nadchodzących miesiącach.

– Będę jej druhną – powiedziała Monté, przyjmując wyrazy uznania i gratulacje.

Czasem wydawało się, że Monté lepiej się bawi tą sytuacją niż Sam.

– Wystąpię w brzoskwińowej zieleni i musztardowej żółci – rzuciła Sam, specjalnie na użytek Monté.

– Wiesz, że zielony nie pasuje do mojej karnacji. Lepsze będzie coś jaskrawopomarańczowego.

Olivia zirytowana westchnęła:

– Zielony, żółty czy pomarańczowy – kolory nie mają znaczenia.

Wszystko i tak kończy się wielką plamą czerni i żalu.

Po krótkiej ciszy Candy powiedziała:

– Dzięki, dziewczyno, to spotkanie świetnie wpływa na moją depresję poporodową. Pójdę do domu i spuszczę cały zapas zolofu w toalecie. Komu on potrzebny?

– To byłoby głupie – sprzeciwiła się Marcia. – Daj mi go, a ja położę go na talerzu ze słodyczami przy moim stanowisku.

– W każdym razie – zauważyła Kara – te wieczory nazywają się wieczorami Picia i Depresji, nie Picia i Radości czy czegoś tam.

– Wieczory Dekadencji i Rozrywki – podrzuciła Brigid.

– Wieczory Wielkich Dramatów – dodała Olivia.

– Wieczorem dostarczcie mi jakiegoś kutasa – przebiła wszystkie Monté.

Ich spotkanie stopniowo nabierało dzikości i Sam mogłaby się czuć zażenowana. Robiły harmider – piły, lamentowały i uderzały dłońmi w blat stołu – ale Sam śmiała się tak głośno, że zapomniała o zażenowaniu.

Kiedy godzinę później zbierały się do wyjścia z Lizard Lounge, Kara spytała:

– Czy mogę pogadać z tobą na osobności?

Monté stała w pobliżu i Sam dała jej znak ręką, że za chwilę wróci, po czym podeszła do Kary. Usiadły na stołkach przy barze. Kara miała wyraz zakłopotania na twarzy, zupełnie jakby chciała porozmawiać na jakiś trudny temat.

Czy Jack jej powiedział?

– Posłuchaj, wiem, że to wszystko było moim pomysłem i naprawdę nie powinnam cię o to pytać...

No to się zaczyna.

– Nie chciałam o tym wspominać przy Monté czy Marcii, bo wiem, że zaraz by powiedziały, że są tak samo utalentowane jak ty

I mogą zrobić to równie dobrze, ale nie jestem tego taka pewna. Pewnie jestem samolubna.

Eee?

– Jack powiedział, że nie ma to znaczenia, czy zrobimy to w Sunset Lane, jeśli posprzątam po sobie...

Co?

– Powiedział nawet, że może popatrzeć, jeśli ci to nie przeszkadza.

Sam nie wiedziała, o co chodzi, dopóki Kara jej nie wyjaśniła:

– Musisz się zająć moimi odrostami. Od dziewięciu lat nikt inny prócz ciebie nie zajmował się moimi włosami i jeśli coś pójdzie nie tak... ja... ja... nawet nie chcę o tym myśleć.

Sam zamrugała.

– Chcesz, żebym zajęła się twoimi włosami?

– Tak. A o czym pomyślałaś? Sam uśmiechnęła się.

– Przygotuję potrzebne rzeczy i możemy to zrobić w domu w niedzielę po południu. Pasuje ci?

Kara mocno przytuliła Sam.

– Dziękuję!

– Ale nie mów nikomu, ponieważ inaczej pojawi się pod Sunset Lane sznur samochodów, a nie sędzę, żeby Jack się z tego ucieszył.

– Nie przejmowałabym się za bardzo Jackiem. To śmieszne, ale myślę, że on naprawdę ciebie lubi. Coś go w tobie uspokaja.

Uspokaja go?

Sam pożegnała się z Karą i dołączyła do Monté, która czekała na chodniku. Jack zupełnie inaczej działał na Sam niż ona na niego.

Sam i Monté minęły trzy budynki i doszły do garażu.

– Jak się udały dzisiejsze zakupy? – spytała Monté. – Znalazłaś sukienkę na sobotni bal?

– No cóż, niezupełnie – odpowiedziała Sam i wsadziła ręce głęboko w kieszenie.

– A gdzie wybrałaś się na zakupy? Pewnie nie byłaś w odpowiednich miejscach.

Sam musiała przyznać rację Monté, przecież trudno znaleźć odpowiedni strój w sklepie z przyborami do malowania.

– Najpierw miałam parę spraw do załatwienia, ale potem weszłam do Fashion Mall na Keystone i do Castleton Mall. Po prostu nic mi się nie podobało.

Monté spojrzała z powątpiewaniem.

– Przymierzyłaś coś?

– Nie.

– Dziewczyno, gdybym miała takie ciało jak ty i tyle pieniędzy, to siłą byś mnie nie wyciągnęła z przymierzalni. Myślę, że potrzebujesz pomocy w dziedzinie mody, i zamierzam ci jej udzielić.

Sam zachichotała na myśl, że Monté posądza ją o odmawianie sobie zakupowego szaleństwa, ale miała rację. Jej pierwszym przystankiem było Bates Art&Drafting Supplies, gdzie z Dakotą przy boku wybrała farby olejne, pędzle, olej lniany, rozcieńczalnik do farb, gips sztukatorski i ogromne role grubego płótna, które pracownicy Batesa dzielili teraz na trzy części, każda sto osiemdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów. A wszystko za sześćset

pięćdziesiąt dolarów. Czująca potrzebę malowania, nie wiedziała jeszcze, co namaluje, ale na pewno coś niebanalnego. W głowie widziała już zarysy jakiejś ewoluującej idei. Wiedziała, że obraz się wyklaruje.

– Trochę zaszalałam ze świątecznymi zakupami – powiedziała.

– Wcale się nie dziwię. To pewnie tak jakbyś przez ostatnie lata była na diecie, a teraz jadła ekierkę. Nie mogę powiedzieć, żebym tego nie rozumiała.

Sam skuliła się, żeby lepiej chronić się przed mrozem.

– Obiecałam sobie, że nie będę przesadzać z prezentami dla dzieci w tym roku, szczególnie że oszczędzam na dom. Ale nie mogłam się powstrzymać, to mi sprawiało tyle frajdy. Nie zgadniesz, co kupiłam.

– Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć.

– Całej trójce kupiłam po iPodzie, laptopie i drukarce. Monté przechyliła głowę z niedowierzaniem.

– W jaki sposób dziecko, które nie umie się podetrzeć, ma surfować po internecie?

– To dla Simona, głupolu. Dakocie kupiłam coś stosownego do jego wieku.

Monté zdjęła rękę z ramienia Sam.

– Kupiłaś mojemu dzieciakowi komputer i iPoda?

– Oczywiście.

– Czemu to zrobiłaś?

Sam zastanawiała się, czy Monté nie uzna tego za przesadę, ale postanowiła zaryzykować.

– Ponieważ mnie na to stać. Ponieważ kocham go tak, jakby był moim własnym dzieckiem, i dlatego, że sprawia mi to radość. Wiem, że gdybyś ty

była na moim miejscu, zrobiłabyś to samo dla moich dzieci i nawet nie próbuj zaprzeczać.

Monté przygryzła wargi, rozejrzała się, popatrzyła na światła miasta i pokiwała głową. W jej brązowych oczach pojawiły się łzy.

– Masz rację – powiedziała i objęła Sam.

Dalej szły w ciszy. Zjechały windą do garażu, a później wsiadły do vana Sam. Kiedy włączyła silnik, Monté spojrzała na nią, unosząc brwi.

– Aż boję się pytać, jaki prezent ja dostanę.

– I dobrze – zaśmiała się Sam.

Jack poprawił czarny krawat i przypiął spinki do mankietów. Na ten wieczór wybrał klasyczny komplet swego dziadka, który przywodził na myśl Marilyn Monroe. Platyna i diamenty. Te spinki dowodziły, że jego ojciec przechodził kryzys wieku średniego w czasach, kiedy ludzie go jeszcze nie znali. Jack sprawdził, czy będzie mógł swobodnie poruszać rękami. Zastanawiał się, co Sam na siebie włoży. I czy w wieku trzydziestu ośmiu lat nie jest za młody, żeby przechodzić kryzys wieku średniego. Później przeciągnął palcem naokoło kołnierza, żeby się upewnić, że będzie mógł oddychać. W innych warunkach pięć godzin w smokingu byłoby męką. Na balu charytatywnym z Sam udającą cnotliwą osobę towarzyszącą pięć godzin będzie przekleństwem.

Jack włożył klasyczną marynarkę od Armaniego. Miał nadzieję, że dla dobra ich obojga Sam się dziś rozluźni i zapomni o zachowaniu w samochodzie. On o wszystkim zapomniał! Zapiął marynarkę i przeczesał ręką włosy. Miał nadzieję, że Sam spojrzy na całą sytuację jak na naturalną reakcję zdrowej kobiety, która była przez jakiś czas nienormalnie niedoceniana. To wszystko. Wziął portfel i kluczyki i ostatni raz przejrzał się w wielkim lustrze

w garderobie. Byłoby miło, gdyby Sam ubrała się dziś w coś czerwonego i seksownego. Najlepiej z długim rozcięciem na nodze – nodze, której nigdy jeszcze nie widział. Zawsze, kiedy byli razem, Sam nosiła dzinsy lub inne spodnie. Ładnie dopasowane, ale jednak spodnie.

Nie była najwyższą kobietą, jaką znał. Właściwie była znacznie niższa niż te, które mu się podobały. Była niższa od niego o jakieś trzydzieści centymetrów i lżejsza o jakieś czterdzieści pięć kilogramów. Ale była interesującą kobietą. Trzeźwo myślącą mamą. Była też seksowna. A Jack mógł sobie tylko wyobrażać, co się kryło pod tymi spodniami. Naprężone ciało o brzoskwiniowej karnacji. Napięte mięśnie. Piegi. Twarde kolana, smukłe łydki, cudowne, różowe palce u nóg, które wyglądałyby świetnie w sandałkach na wysokim obcasie i w jego ustach...

Wyjął czarny kaszmirowy płaszcz z szafy i zjechał windą do podziemnego garażu. Tak, zapomniał o wybuchu namiętności Samantha w samochodzie, o tym, jak pachniała, i o tym, że niemalże eksplodował, kiedy błagała go o to, żeby...

Kogo próbował oszukać? Wiedział, że będzie szczęściarzem, jeśli przeżyje tę noc.

Sam przeżyła *déjà vu*: zdała sobie sprawę, że ten wieczór przypomina jej ten sprzed lat, kiedy Dave Schindler zabrał ją na bal do Valparaiso High School. Jediną różnicą było to, że nie miała na nadgarstku białej gardenii, a zdenerwowana matka nie robiła im zdjęć polaroidem przy kominku.

– Wyglądasz nnnaprawdę pięknie, mamó – powiedział Greg; w jednej ręce trzymał dorito, a w drugiej Dakotę. – O której możemy się ciebie spodziewać?

Sam uśmiechnęła się z powodu pełnego troski tonu syna. Wydawało jej się, że słyszy także pierwsze oznaki nadchodzącej mutacji.

– Nie jestem pewna. Jak myślisz, Jack?

Sam odwróciła się w stronę swojego partnera na ten wieczór. Całkiem możliwe, że najprzystojniejszego mężczyzny, jaki kiedykolwiek żył, mrocznego i tajemniczego w piekielnie drogim smokingu i z płaszczem przewieszonym przez ramię. Powinien jeszcze nosić tabliczkę z napisem: Jestem boskim darem dla kobiety.

– Jack?

Podążyła za jego wzrokiem i poczuła, że robi jej się gorąco. Jack wpatrywał się w jej odsłoniętą nogę jak zaczarowany. Nie powinna iść z Monté do Vanna White – sklepu z dziwnymi strojami. Sukienka była czerwona, z dużym wycięciem z przodu i rozcięciem na boku. Ale nie była banalna. Dlatego ją kupiła.

Jack przełknął z trudem i spojrzał na Grega jak mężczyzna na mężczyznę.

– Myślę, że po północy. Koncert trwa do dwudziestej drugiej trzydzieści, a później jest przyjęcie.

Lily oparła ręce na biodrach.

– A ty jesteś kierowcą, tak?

– Tak – przytaknął Jack. – Może zostawię wam numer mojej komórki na wszelki wypadek?

– Spróbowałbyś nie – odparła Lily i zanim Sam zdążyła zareagować na jej odzywkę, natychmiast się poprawiła: – Byłoby wspaniale, dziękuję.

Jack wyszedł, chichocząc, skierował się do biura, prawdopodobnie po kartkę. Sam odwróciła się do Lily.

– Wiesz, że gdybym nie kochała cię tak bardzo, tobym skrzyła ci ten chudy karczek.

Greg się zaśmiał:

– Chyba że bym cię uprzedził.

– Nie idź, mamó, zostań ze mną...!

Zanim Sam zdążyła się uchylić, Dakota złapał za sukienkę palcami usmarowanymi dorito.

– Nie, kochanie, mamusia musi iść do pracy. Niedługo wrócę. – Próbowała go odczepić, ale tylko rozmazała ślady na materiale. Złapała go za nadgarstki. – Dakota, nie niszczyć mamusi sukienki. Idę dziś w jedno ważne miejsce i tylko w tym mogę wystąpić.

– Nie, nie, nie, nie, nie! – Uczeplił się mocniej, a Sam pocieszyła się, że na ciemnoczerwonej sukience nie będzie widać plam. Wzdrygnęła się na samą myśl, że chciała kupić biały komplecik.

– Hej, Dakoto Benjaminie.

Głos Jacka był spokojny i niski, ale wydawało się, że zaskoczył Dakotę. Maluch podniósł wzrok. Tłuste paluszki się rozluźniły. Kawałeczki jedzenia spadły na podłogę.

– Cześć, panie Jack!

Jack trzymał ołówek.

– Posłuchaj, mały, pomógłbyś mi zapisać numer mojej komórki?

Dakota zmarszczył nos i brwi, oblizał umazane na pomarańczowo palce i dłonie.

– Mam dopiero trzy lata.

Sam wiedziała, że jej najmłodsze dziecko przyjmuje postawę obronną, jak większość jego rówieśników.

– Nie znam jeszcze cyferek. Znam niektóre literki, na przykład D, bo na nią zaczyna się moje imię. Lily i Greg znają wszystkie literki.

– Racja.

Jack wypuścił powietrze z płuc, a Sam nie mogła powstrzymać uśmiechu. Miał podejście do dzieci, chociaż brakowało mu doświadczenia.

– Zróbmy to razem – powiedziała Lily i wzięła kartkę i ołówek od Jacka. Kucnęła obok brata. Jack dyktował cyfry powoli, Dakota powtarzał je z entuzjazmem, a Lily zapisywała. Kiedy skończyli, mały uniósł zwycięsko kciuki.

– Zadzwoń do ciebie później, panie Jack – powiedział.

Czasami Christy uważała, że jeśli chodzi o Jacka Tollivera, to kieruje nią szósty zmysł. Gdy wypija kilka martini, zdarzało się jej rozmyślać o wędrowce po wszechświecie i siedziała wówczas oniemiała z wrażenia. Być może tak często o tym myślała, ponieważ był jej bratnią duszą. Może potrafiła wyczuć jego obecność w zatłoczonym pokoju dlatego, że byli tragicznymi kochankami w innym życiu.

Właśnie teraz Christy odwróciła się, bo wyczuła obecność Jacka. Ale to nie wszystko. Jej bratnia dusza szła pod rękę z rudą w czerwonej kiece. A niech idzie do diabła! – pomyślała Christy.

– Wesołych świąt, Christy!

– Wesołych świąt!

Wdała się w kilkuminutową rozmowę z dyrektorem do spraw public relations – obgadały wszystko od Haendla do Chanuki – jednak nie odrywała wzroku od Jacka i Miss Petard w Czerwieni. Samantha Monroe wyglądała śmiesznie w tej sukience, było oczywiste, że potrzebuje rady stylisty. Czerwone cekiny i rozcięcie na boku? Nie w Indianapolis i nie na święta

Bożego Narodzenia. Wyglądała, jakby ubiegała się o posadę jednego z elfów Świętego Mikołaja.

Nagle Christy zdała sobie sprawę z tego, że została sama. Kobieta od public relations ulotniła się bez pożegnania. Wzruszyła ramionami i pociągnęła mały łyk martini. Miała na sobie czarną sukienkę od Calvina Kleina, która świetnie kontrastowała z jej skórą i włosami. Christy osiągnęła zamierzony efekt, wyglądała elegancko, poważnie i kobieco.

– Co do jasnej cholery?

O Boże, nie chciała powiedzieć tego głośno, ale Jack właśnie pocałował tę elfią zdzirę, trzymając jedną rękę na jej szyi, a drugą tak nisko na plecach, że prawie na tyłku! Trzy staruchy odwróciły się gwałtownie i spojrzały na Christy. Przygryzła usta, nie wiedziała, co powiedzieć. Stało się, trudno. Nie odwróciła od nich oczu i dopiła martini. Nagle obok niej pojawiła się Kara DeMarinis. Christy bardzo chciała wyglądać na znudzoną, ale nie było to łatwe, szczególnie po tym, czego była świadkiem przed chwilą.

– O, Christy, chciałam z tobą porozmawiać.

– A to niby czemu? – burknęła Christy.

– Miło cię znów spotkać. Jeszcze raz chciałam przeprosić za to, że nie będę mogła wystąpić w jutrzejszym show.

Christy odstawiła kieliszek na tacę, kiedy mijał je kelner. Może to wina oświetlenia w Hilbert Circle Theatre, ale wyglądało na to, że Kara DeMarinis siwieje. No no.

– Musisz ufarbować odrosty, kochanie.

Kara niemal niezauważalnie zeszywniała, ale Christy to spostrzegła.

– Mogę ci polecić dobrą stylistkę. Nazywa się Marcia Fishbacher. Ma salon niedaleko stąd, Le Cirque. Ale myślę, że już ją poznałaś, skoro twój kandydat umawia się z jej byłą pracownicą.

Kara zmrużyła oczy, ale kieliszek w jej rękach pozostał nieruchomy. Kara była ulepiona z tej samej gliny, pewnie gdyby nie była w obozie Jacka, mogłyby się zaprzyjaźnić.

– Widzę, że odrobiłaś pracę domową – rzuciła Kara.

– Och, tylko zaczęłam się bawić w kalambury, moja droga. Ale i tak zrobię coś ekstra. Chcę się dokopać do prawdy. Co ty na to?

– Dobija cię to, że on jest szczęśliwy? – Kara uśmiechnęła się. Teraz była kolej Christy na uśmiech, zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Jack Tolliver nie jest zainteresowany byciem szczęśliwym, Karo. Interesują go tyłki, sława i trzymanie matki na dystans. A najbardziej jest zainteresowany wkładaniem jak najmniejszego wysiłku w osiągnięcie tego wszystkiego.

Dotyk chłodnej dłoni Kary na ramieniu zaskoczył Christy.

– Biedactwo, przez cały czas próbowałaś się zemścić, ty wciąż go kochasz. – Kiwnęła głową Jackowi i zdzirowatemu elfowi. – Musisz bardzo cierpieć.

– Och, zamknij się, Kara. – Christy zaczęła nudzić ta rozmowa. – Nie jestem pewna, co planujecie, ale się dowiem. Możesz być pewna. – Należało się zbierać, wieczór już się dla niej skończył. – Kara? I nie trać czasu na wciskanie mi kitu. Zachowaj go na kampanię, bo tam się przyda.

Jack nie wiedział, czym sobie zasłużył na tę noc, ale potraktował to jak dar. Włożyła czerwoną suknię. Czerwoną z rozcięciem! Czerwoną wydekoltowaną suknię! Bóg jednak istnieje.

Sam była dowcipna i słodka i dobrze się czuła wśród ludzi, których jej przedstawił. Była czarująca. Kiedy ją pytali, czym się zajmuje, odpowiadała, że jest fryzjerką na urlopie naukowym. A kiedy pytali, od jak dawna zna Jacka, odpowiadała z uśmiechem:

– Od niedawna, ale wydaje mi się, że się znamy całą wieczność. Na dodatek naprawdę podobał jej się koncert, na pewno dużo

bardziej niż jemu, *Mesjasz* wywołał u niego ból kolana. Zjadła talerz przystawek i Jackowi bardzo się podobało, że nie wstydziła się jeść przy ludziach, w przeciwieństwie do innych kobiet, z którymi się umawiał. Śmiała się i przytulała do niego, kiedy przyciągał ją bliżej. Sam Monroe była wymarzoną partnerką na randkę.

Zanim zdążyli wyjść z przyjęcia, zaproszeni goście zaczęli rozmawiać o pogodzie, która się gwałtownie zepsuła. Podobno w nocy lód miał osiągnąć grubość pięciu centymetrów, już zostały wyłączone z ruchu odcinki I-65 i I-70, i od północy w niektórych dzielnicach nie było prądu, ponieważ wichura pozrywała przewody. Jack nie był tym szczególnie zainteresowany, sądząc, że to jedna z tych plotek, które powodowały, że z półek sklepowych znikają chleb, mleko i papier toaletowy. Kiedy wyszli z Sam na zewnątrz, okazało się, że lód naprawdę pokrywa ulice, a z nieba pada marznący deszcz. Poprosiła, żeby zadzwonili do dzieci, ale w komórce nie było sygnału. No i ogarnęła ją panika na myśl, jak przerażony musi być Dakota, jeśli zgasło światło, a Lily i Greg nie wiedzą, gdzie znaleźć latarki lub świece. Zaczęła rozpaczać, że dzieci nie są bezpieczne w dużym, obcym domu i że byłoby lepiej, gdyby wciąż mieszkali w tym starym na Arsenal Street, który znali jak własną kieszeń.

Jack zastanawiał się, czy wszystkim mamuśkom tak odbija, kiedy wydarzy się coś, co nie pozwala im skontaktować się z dziećmi.

– To okropne. Zaczynam wariować. – Sam siedziała na fotelu pasażera, jedną rękę trzymała na klamce, drugą na desce rozdzielczej.

– Niedługo tam dotrzemy. Nic im nie będzie, Sam.

– Nie możesz jechać szybciej?

Jack uśmiechnął się i uspokajająco położył rękę na jej ramieniu.

– Mógłbym, ale wtedy na sto procent skończymy w rowie, a tak mamy osiemdziesiąt, że dotrzemy na miejsce.

– Połóż dwie ręce na kierownicy, proszę.

– Się robi.

Skręcili w Trzydziestą Ósmą Ulicę, ale tam napotkali blokadę w postaci mnóstwa czerwonych świateł. Skrzyżowanie było pełne ambulansów, wozów policyjnych i lawet. Jack próbował zawrócić. Policjant podniósł rękę, dając znak, żeby się zatrzymał. Dobrze, że jechał dziesięć kilometrów na godzinę, dzięki temu nie rozjechał policjanta.

Jack opuścił szybę i zmrużył oczy oślepiiony migającymi światłami.

– Proszę zjechać na bok i zostać w samochodzie. Nie przepuszczamy nikogo – oświadczył policjant w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym.

Jack pokiwał głową ze zrozumieniem. Słyszał jęki niezadowolenia Sam.

– Rozumiem, panie oficerze, ale czy nie ma jakiejś szansy na to, żebym mógł...

– Jack Tolliver? – Policjant nachylił się do okna, na mokrej od deszczu twarzy ukazał się uśmiech. – Człowieku, wieki cię nie widziałem! To ja – Ed Kitzmiller, futbol, linia ataku.

– Ed! Hej, człowieku! – Jack uściskał jego rękę z entuzjazmem. –
Wspaniale cię widzieć!

– Poważnie! Naprawdę wspaniale! – Ed nachylił się do środka i dostrzegł
Sam. – Witam panią – powiedział z szacunkiem.

– Ed, to jest Samantha Monroe. Sam, to Ed Kitzmiller, najlepszy liniowy,
z jakim kiedykolwiek miałem przyjemność grać.

– Nie bujaj, w Coltach grałeś z najlepszymi.

– Rzeczywiście. Od jak dawna pracujesz w Departamencie Policji
Indianapolis?

– Będzie z szesnaście lat. Mam trójkę dzieciaków. Jared jest w Lawrence
High. Posturę odziedziczył po matce, nie po mnie.

– Z kim się znowu ożeniłeś?

– Cynthia Perryman. Pamiętasz ją? Śliczna, mała...

– Halo? – głos Sam brzmiał desperacko.

Jack spojrzał na nią i zobaczył, jak dziko gestykułuje.

– Ed, słuchaj, mamy problem i potrzebuję twojej pomocy.

– Wal – powiedział Ed bez zastanowienia.

– Muszę dojechać do Sunset Lane Pięćdziesiątą Szóstą. Nie ma prądu,
dzieciaki Sam są same w domu i ona... – Jack odwrócił się i zobaczył, jak łza
spływa po jej policzku.

– W porządku, Sam. – Poklepał ją po ręce. – Naprawdę musimy się tam
dostać. Mógłbyś nas przepuścić?

Ed pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Zrobię coś lepszego. Poczekaście chwilkę.

Ed wrócił na skrzyżowanie, zamienił kilka słów z kimś, kto najwyraźniej był z nim na zmianie. A oni czekali w samochodzie. Jack wziął Sam za rękę. Nie zabrała jej. Wyglądała przez boczną szybę.

– Przejdźcie tędy, a później jedźcie za mną. Będę was eskortował – powiedział Ed.

Jack się uśmiechnął.

– Człowieku, jesteś fantastyczny. Przez cztery lata chroniłeś mój tyłek w Bloomington, a teraz robisz to znowu.

Edowi najwyraźniej spodobały się słowa Jacka, bo uśmiechnął się szeroko.

– Wszystko w porządku, dopóki zdajesz sobie z tego sprawę – powiedział Ed.

Stopniowo uśmiech na jego twarzy przygasał. Przechylił głowę.

– Twoja kontuzja, Jack. Porzygałem się, gdy to zobaczyłem. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, mówili, że to była najpaskudniejsza kontuzja, jaką kiedykolwiek widzieli w historii sportu zawodowego. Mój Boże, myślałem o tobie przez te wszystkie lata.

Jackowi zaschło w gardle. Chociaż koncentrował uwagę na Edzie, zauważył, że Sam odwróciła się w jego stronę. Potem poczuł, jak przykryła jego dłoń swoją. Z trudem przełknął ślinę.

– Dziękuję, naprawdę dziękuję. Ed poklepał go po ramieniu.

– Cóż, wyglądasz teraz wyjątkowo dobrze – jak na polityka. – Zaśmiał się. – Dostarczę cię i twoją dziewczynę do domu.

Jack nie należał do sentymentalnych facetów, ale nagle przytłoczyło go to uczucie... czego? Czułości? To jego stary przyjaciel Ed Kitzmiller. Obok

siedziała Sam Monroe i trzymała go za rękę. Czuł, że to jego świat. Czuł się cholernie dobrze. I nagle usłyszał, jak woła:

– To moja narzeczona, Kitz! Dasz wiare?

Ed zatrzymał się tak gwałtownie, że niemalże stracił równowagę. Odwrócił się w stronę samochodu z kretyńskim uśmiechem na twarzy.

– A niech to – powiedział.

Dotarcie do domu zajęło im kolejne czterdzieści minut, ale przynajmniej dojechali cało. Jack próbował namówić Eda na kawę, ale Ed odpowiedział, że przecież nie ma prądu i musi wracać do pracy. Później zaoferował swoją pomoc w kampanii Jacka, jeśli się przyda. Jack szybko uściskał starego kumpla i obiecał, że go w to wciągnie, później upewnił się, że Ed bezpiecznie dotarł do samochodu, wstawił lexusa do garażu i poszedł poszukać Sam i dzieciaków.

– Lily? Greg? – głos Sam ledwie było słyhać w tym ogromnym i ciemnym domu. Nie chciała krzyczeć za głośno, żeby nie obudzić Dakoty, jeśli spał, ale prawie trzęsła się ze strachu.

– Lily? – Sam wetknęła głowę do pustego salonu. Było wystarczająco dużo światła, żeby mogła iść przez główny hol, jadalnię, salon, bibliotekę i pokój kredensowy. Wciąż nawoływała Lily i Grega.

Nic.

Wzięła głęboki oddech, powtarzając sobie, że nie ma powodu do rozpacz. Co prawda zabrakło prądu, ale było sucho i ciepło, mieli jedzenie i wodę i otaczał ich luksus. Jej dzieciom nic nie groziło.

Tylko gdzie się podziały?

Poszła długim korytarzem do domku z basenem. Było przeraźliwie cicho i ciemno, a ona z trudem hamowała łzy.

– Sam?

Mało nie podskoczyła na dźwięk swojego imienia. Silna ręka przytrzymała ją w talii. – Sprawdźmy na górze, dobrze? – Jack obrócił ją i poprowadził przez ciemną kuchnię z powrotem w kierunku schodów. Przejście było znacznie węższe niż główne schody i Jack obejmował Sam, kiedy szli po schodach do północnego skrzydła.

– Może zasnęli, zanim wysiadł prąd. Mogą nawet nie wiedzieć, że jest burza.

Sam pokiwała głową. Jack miał oczywiście rację i zastanawiała się, czemu tak bardzo się przeraziła. Może podświadomie bała się, że los się ponownie odwrócił i nigdy nie ucieknie od tego, co było wcześniej. Może czuła, że to wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe. Z pewnością. Doszła do tego wniosku, kiedy nie znaleźli nikogo w sypialniach Lily, Dakoty i Grega. Kiedy zbliżała się do podwójnych drzwi swojej sypialni, dobiegły ją chichoty i szczekanie Dale'a. Była to najśłodsza muzyka, jaką słyszała kiedykolwiek w życiu. Otworzyła drzwi.

– Mamo! – krzyknął Greg i podniósł się z miejsca, które zajmował obok Lily przy kominku – tak się mmmmartwiliśmy!

Lily też podskoczyła i nagle dwójka najstarszych dzieci znalazła się w ramionach Sam. Przycisnęła je mocno i poczuła olbrzymią ulgę, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie pomyśl, mamo, że nam odbija, ale naprawdę cieszymy się, że cię widzimy – powiedziała Lily i pocałowała Sam w policzek.

Sam spojrzała na Dakotę, który spał pod narzutą na jej łóżku. Patrzyła, jak Jack odkrywa go i bierze na ręce. Mrugnął do niej, kiedy wziął małego, żeby zanieść go do jego pokoju. Sam położyła się z Lily i Gregiem na kanapie i przytuliła ich. Czuła się dobrze, patrząc na ich uśmiechnięte twarze i

obserwując płomienie w kominku. Dale wskoczył jej na kolana. Nic się nie stało, wszystko było w porządku.

– ...i wtedy nagle wysiadł telewizor i cały dom pogrążył się w ciemności!

– Lily odgarnęła włosy z twarzy. Sam uwielbiała bujną wyobraźnię swojej córki. – To miejsce jest jak grobowiec, do którego nie dociera ani odrobina światła, mamo! Mówię ci, sceneria jak ze *Scooby Doo*. Mocno svirowaliśmy w tych zupełnych ciemnościach.

– Czy Dakota płakał?

– Nie! – Lily zaczęła się śmiać. – Bardzo mu się to podobało, dostał kompletnego bzika i zaczął biegać jak szalony. Musieliśmy go złapać i zamknąć tutaj.

– Co za dziecko. – Sam pokręciła głową.

– Nie wowiedzieliśmy, gdzie są latarki.

– W pokoju kredensowym – powiedział Jack do Grega, wchodząc znów do pokoju Sam. Usiadł na kanapie. – Tam znajdziecie wszystko, co jest potrzebne w razie jakichś nagłych kataklizmów – zapalki, świece, baterie, latarki, zestaw pierwszej pomocy, taśmę klejącą, czekoladę i alkohol, żeby uzupełnić zapasy w którymś z barków.

Sam zmarszczyła brwi.

– Mam nadzieję, że nie będziecie chcieli uzupełniać barków. Lily zaśmiała się.

– Wygląda na to, że każdy pałac ma swoje sekretne miejsca, prawda?

Jack się uśmiechnął, a Sam zabrakło tchu w piersi. W jego zielonych oczach odbijały się płomienie z kominka, a ona zastanawiała się, jakby to było, gdyby naprawdę została kobietą Jacka Tollivera, i była kochana przez takiego mężczyznę. Westchnęła. Gdyby tylko zewnętrzne piękno świadczyło o dobroci

serca. Ale nauczona smutnym doświadczeniem wiedziała, że u mężczyzn serce liczy się najmniej. Spojrzała na Jacka, był wcieleniem seksu, pięknym okazem.

Ale chciała dobrego mężczyzny, a nie wyglądającego idealnie. A u dobrego mężczyzny pasja łączyła się z trzeźwym myśleniem. Dobry mężczyzna stawiałby kobietę na pierwszym miejscu, przed pracą i przed własnym ego.

Zastanowiła się, ile kobiet zostało zdruzgotanych przez ego Jacka.

– Jest w tym domu jeden sekretny pokój – szepnął Jack, przysuwając się do dzieci. – Mój dziadek ukrył go w swoim gabinecie, kiedy zaprojektował ten dom osiemdziesiąt lat temu. Pokażę wam go kiedyś. Muszę powiedzieć, że jest całkiem fajny. Uwielbiałem go, kiedy byłem mały. Chowałem się tam i odgrywałem żołnierza.

– O rany! – Greg wyprostował się i przysunął do Jacka. – Ten dom należał do twojego dziadka, który był gubernatorem?

– Tak, a później należał do mojego ojca, który też był gubernatorem,

– Wiem! Uczyliśmy się o nich na lekcjach historii. Uważam, że to strasznie fajne, że mogę mieszkać w tym domu, i chciałbym kiedyś zobaczyć ten sekretny pokój.

Nie uszło uwagi Sam, że jej syn powiedział to bez zająknięcia. Oznaczało to, że naprawdę jest zainteresowany tematem. Wyglądało na to, że kiedy Greg był czymś zafascynowany, podświadomie potrafił zapanować nad jękami.

– Więc interesujesz się historią?

– Kocham historię – odpowiedział Greg.

– O Indianie uczymy się w szkole – wtrąciła Lily z lekkim rozdrażnieniem.

Jack przytaknął.

– Oczywiście. Pamiętam, że kiedy pracowałem jako asystent gubernatora, siadaliśmy i robiliśmy burzę mózgów. Zastanawialiśmy się, jak moglibyśmy torturować młodzież w szkole. I zawsze stawało na historii i matematyce.

Dzieci Sam siedziały przez chwilę cicho, aż zorientowały się, że Jack żartuje. Greg zaczął się śmiać. Lily przewróciła oczami.

– Myślę, że kiedy dostanę się do Waszyngtonu, wymyślę jakąś okropną ustawę dla młodzieży. Na przykład: prawo jazdy od dwudziestego pierwszego roku życia.

– Nie ma mowy! – powiedział Greg i aż się wyprostował.

– To dopiero byłoby świństwo – powiedziała Lily, mrużąc oczy. –No, chyba że znów próbujesz być zabawny lub coś w tym stylu.

Greg sięgnął ponad Sam, żeby walnąć siostrę.

– Myślę, że on jest zabawny, Szkieletorze.

Lily skrzyżowała ręce na piersi i przez chwilę wpatrywała się w Jacka. Sam miała już się wtrącić, kiedy zauważyła, jak twarz Jacka łagodnieje, kiedy patrzy na Lily, i jak w jego oczach pojawia się zdziwienie. Coś się zaczęło dziać między jej dziećmi a Jackiem, i Sam doszła do wniosku, że nie ma nic przeciwko temu.

– W porządku – powiedziała Lily. – Jesteś całkiem fajny, Jack, ale nie igraj z ogniem i nie mieszaj w prawie, dopóki nie dostanę prawa jazdy.

Rozdział ósmy

Nie pierwszy raz Jack znalazł się w takiej sytuacji. Był sam z piękną kobietą w buduarze, w ciemności, naprzeciw kominka i już prawie zdecydowali, że zostanie w rezydencji na noc. Jeśli przełożyć to na język futbolu, był to moment, kiedy chwycił piłkę w ręce po idealnym podaniu, a następnie biegł z gracją, przyciskając piłkę do brzucha, i mijał tych frajerów z przeciwnej drużyny. Przyłożenie. Za każdym razem.

Jack poluzował kołnierzyk, założył nogę na nogę i zaśmiał się pod nosem. Oczywiście tym razem było trochę inaczej, więc i on musiał działać nieco inaczej. Kobieta była Sam, a buduarem jedno z pomieszczeń, które zajmowała jego matka, kiedy przyjeżdżała z wizytą. Światła nie paliły się nie dlatego, że ktoś kogoś uwodził, ale dlatego, że brakowało prądu. No i Jack nie spędzał tu nocy, bo poprosiła go o to kobieta, lecz z powodu oblodzonych, nieprzejezdnych dróg.

Jack myślał racjonalnie i wiedział, że nie zadziałają tu zasady te same co zawsze, ale serce i członek wcale nie chciały go słuchać. Wszystko, czego pragnął – tylko tego – to czuć bliskość ciała Samantha, głaskać je, całować i słyszeć jej pojękiwania, kiedy będzie się z nią kochał.

- Masz ochotę napić się wina? – spytała. Migiem podniósł się z kanapy.
- Czerwone czy białe?
- Hmm...

W jednej chwili był przy drzwiach, nie chciał ryzykować zmiany miejsca. Chciał mieć Sam w swojej sypialni, a nie w kuchni.

- Które pani woli, madame?

Patrzył, jak na jej ustach pojawia się nerwowy uśmiezek, i znów pomyślał, że jest niesamowicie seksowna. Obserwował, jak jej czerwona sukienka błyszczy w blasku płomieni i jak światło pada na jej skórę, i myślał o tym, że chciałby całować jej ciało, zaczynając od pępka i kierując się do tych dwóch cudownych wież, a później z powrotem na dół, aż do cudownych, kształtnych stóp.

– Może być czerwone.

Zbiegał schodami i zastanawiał się, jakie czerwone wino znajdzie w pokoju kredensowym, ponieważ nie zamierzał tracić pięciu minut na to, żeby zbiec do piwniczki z winami. Rude włosy, czerwona sukienka i małe, pomalowane na czerwono paznokcie u nóg, i czerwone światełka pulsujące pod jego powiekami. Dobrze jest –pomyślał.

Najpierw poszukał latarki, a później złapał pierwszą butelkę, jaka mu się nawinęła pod rękę. Cabernet stało obok dwóch innych butelek czerwonego wina, z boku leżał korkociąg. Później podjął błyskawiczną decyzję, że zabierze wszystko, co może się przydać. Zdjął marynarkę i przerzucił przez blat w kuchni, wziął zapalniczkę, sześć białych świeczek, sześć ceramicznych stojaków na świece i dwie dodatkowe latarki. Szybko posprzątał bałagan, korkociąg wsadził do kieszeni, butelkę pod pachę, a kieliszki wziął w wolną rękę.

– Ojej. – Sam zamrugała zaskoczona. – Już jesteś.

Uśmiechnął się. Jego kolano było tak uszkodzone, że nie przetrwałby bez szwanku uderzenia potężnego obrońcy, nie przebiegłby już tych kilometrów na boisku, ale wciąż mógł w miarę szybko chodzić po schodach. Tylko rano miał kłopoty.

– Żyję, by służyć – powiedział i postawił butelkę na stoliku do kawy. Sam zachichotała, co mu się bardzo spodobało.

– Podwędziłeś srebro matki? – spytała, wskazując głową pakunek, który położył na sofie.

Uśmiechnął się i otworzył butelkę. Jego celem było uwiedzenie Sam.

Nie ma co ukrywać, chciał ją zdobyć.

A co się stanie, gdy już ją zdobędzie? Albo jeśli jej nie zdobędzie? Ryzykowna sprawa.

Kara i Stu się wściekną. Ostrzegali go, mówiąc o konsekwencjach niektórych czynów. Ale teraz najważniejsze było to, że on naprawdę lubił Samanthę Monroe. Uważał, że jest słodka, piękna i mądra. Doszedł do wniosku, że mogliby znacznie przyjemniej spędzić pięć i pół miesiąca, które im pozostało.

Zaczął ustawiać rzeczy na stole.

– Pomyślałem, że możemy dać dzieciom po latarce, a sami użyjemy świeczek.

– Miło z twojej strony.

– Drobiazg.

– Powiedz mi o swojej kontuzji kolana, Jack.

Super. Usiadł na kanapie naprzeciwko Sam. Zastanowił się przez chwilę.

– Zostałem uderzony tak mocno, że zobaczyłem gwiazdy. W zasadzie to cała historia.

Sam przechyliła głowę i przeczesała ręką włosy. Wiedział, że jej włosy są niesamowicie gładkie w dotyku, wiedział też, że pachną niebiańsko.

– Chyba opuściłeś kilka szczegółów. Jack westchnął.

– Moja kariera w NFL zakończyła się, zanim naprawdę się zaczęła. Spędziłem dwa sezony na ławce jako rezerwowy rozgrywający. A później pierwszy rozgrywający odszedł na emeryturę i dostałem swoją szansę. I w czasie kiedy grałem, doszliśmy aż do Super Bowl.

Zdjął satynową muszkę, spinki schował do kieszeni spodni. Zauważył, że Sam cały czas przygląda się bacznie jego dłoniom. Trochę go to rozpraszało.

Pomyślał, że musi zmienić temat rozmowy.

– Teraz opowiedz dokładnie, jak doszło do tej kontuzji.

Jack przestał się uśmiechać. Nie mógł jej szczerze odpowiedzieć i jednocześnie zmierzać do zdjęcia jej majtek.

– To raczej dość makabryczne, Sam.

Pokiwała głową i podwinęła nogi pod siebie. Chciałby być jedną z jej nóg.

– Tak mi powiedział Greg i to samo powtórzył dziś twój przyjaciel Ed, dlatego pytam. – Skierowała wzrok na jego kolano. – To lewe kolano, tak?

– Tak. Proszę. Wypij. Jeśli mam ci opowiedzieć tę historię, musisz się trochę znieczulić.

Sam wyciągnęła rękę i Jack sięgnął przez stół do kawy, żeby podać jej kieliszek. Delikatnie dotknął jej nadgarstka.

– Na zdrowie – powiedział i stuknął się z nią kieliszkiem.

– Do dna – powiedziała Sam.

Jack zamknął oczy, próbując odsunąć od siebie obraz, który właśnie stanął mu przed oczami. Lubił przebywać w towarzystwie Sam, teraz zobaczył ją nagą, z uniesioną pupą.

– Powiedz mi, jak doszło do kontuzji.

Jack upił caberneta, zastanawiając się, co do cholery wyciągnął z pokoju kredensowego, ponieważ wino nie było najsmaczniejsze. Zmarszczył brwi i zaczął czytać napis na etykiecie.

– Nie chcesz mi powiedzieć, prawda? Odstawił butelkę i spojrzał jej w oczy.

– To był przełomowy moment. Do końca gry zostały trzy minuty czternaście sekund. Zegar wskazywał trzecią dziesiątą. Mieliśmy ostatnią szansę na zdobycie punktów w trzeciej kwadrze. Przegrywaliśmy.

– Och – powiedziała i upiła łyk wina.

– Nie mogłem znaleźć niekrytego zawodnika i wtedy zobaczyłem zbliżającego się obrońcę.

Potrząsnął głową i wziął głęboki oddech. Naprawdę nie znosił tych wspomnień i gdyby to nie Sam go spytała o to, odpowiedziałby, że nie warto wspominać.

– Czekaj – rzekła Sam i usiadła wyprostowana. Odstawiła kieliszek. – Nie musisz mówić, przepraszam, że cię do tego namawiałam.

Spojrzał na nią zaskoczony. Uśmiechała się.

– Mogę przeczytać o tym w internecie. Rozumiem, że nie chcesz do tego wracać. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak okropne to było przeżycie.

Jack pomyślał, że to dobry moment na jakiś ruch. Wstał z kanapy i usiadł koło Sam. Rękę położył na oparciu za jej głową. Patrzył na nią.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli się przysiądę? Łatwiej mi będzie opowiadać szeptem.

Zgodziła się.

Może nie będzie tak źle.

– Oczywiście nie pamiętam wszystkiego dokładnie. Szczegóły poznałem sześć miesięcy później, kiedy zebrałem się na odwagę, żeby obejrzeć nagranie z meczu.

– Mów dalej.

– Zanim cokolwiek zdążyłem zrobić, obrońca drużyny z Cleveland wyskoczył i zablokował mnie swoim cielskiem, aż padłem na murawę. Grałaś kiedyś w grę, podczas której wali się oburącz młotem, żeby kula trzasnęła świstaka w głowę za każdym razem, kiedy się podniesie?

Sam pokiwała głową.

– Pewnie, uwielbiałam to – powiedziała z entuzjazmem. – Przemoc, a potem ulga.

– Właśnie – Jack zaśmiał się i odgarnął kosmyk jej włosów z twarzy.

– Kiedy padłem na ziemię, czułem, jak mi się wnętrzności przemieszczają. Brzmiało to tak, jakby ktoś rozgniatł wielką paczkę chipsów tuż przy moim uchu. Ból był tak silny, że straciłem przytomność. A kiedy ją odzyskałem... – Lekko pokręcił głową. – Kiedy ją odzyskałem, nie chciałem żyć.

– O mój Boże, Jack.

– Lekarze w Szpitalu Metodystów nazwali to koszmarną raną. Doszło do przemieszczenia kolana, uszkodzenia kilku nerwów, zerwania trzech więzadeł i oderwania mięśnia łydki.

– Jasny gwint – wydyszała Sam.

– Powiedzieli, że jeśli operacja się nie uda, trzeba będzie amputować nogę.

– Proszę, przestań. – Sam zamknęła oczy. – Wcale się nie dziwię, że nie chciałeś o tym opowiedzieć, to okropne.

– Ale się udało. Co prawda po sześciu operacjach i pięciu latach rehabilitacji. Obie nogi mam sprawne. Mogę chodzić, nawet trochę biegać, a na to lekarze nie dawali mi szans.

Jack był zaskoczony, gdy Sam go objęła i mocno przytuliła. Przez chwilę tak siedzieli. Czuł bijące od niej ciepło, zapach włosów i dotyk jej piersi – wszystko to razem sprawiło, że po ciele rozeszło się przyjemne gorąco. Była tuż obok.

– Tak mi przykro, skarbie – wyszeptała mu do ucha.

Poczuł, jak jej wargi delikatnie musnęły jego policzek. Nie wiedział, czy bardziej poruszyło go to, co właśnie powiedziała, czy to, jak spadł z krzesła przy ich pierwszym spotkaniu, robiąc z siebie kretyna. Kiedy spojrzał na Sam, na twarzy miała wymalowany niepokój i chęć pomocy.

Matkowała mu. Nie o to mu. chodziło.

Jack delikatnie odsunął ją od siebie. Próbował uśmiechnąć się wyrozumiale.

– Naprawdę nic mi nie jest, Sam. Nie musisz mnie pocieszać.

Głęboka zmarszczka pojawiła się między jej kasztanowymi brwiami. Odsunęła się od niego i zaczęła mu się przyglądać. Tak uważnie, że wytrąciło go to z równowagi. Tak, jakby go oceniała, badała każdą zmarszczkę i każdy por na skórze przed podjęciem jakiejś decyzji.

– Nie zgadzam się. Każdy z nas potrzebuje pocieszenia. Mam wrażenie, że nie pozwoliłeś się nikomu pocieszyć z tego powodu. Ile lat minęło od wypadku?

– To śmieszne, Sam. Mój pokój szpitalny był pełen ludzi. Wciąż dostaję listy od fanów Coltów za każdym razem, gdy ESPN robi powtórkę z najbardziej makabrycznych kontuzji.

– Ile lat?

– Trzynaście. I na pewno nie potrzebuję twojego matkowania. Sam spojrzała na niego zdziwiona. A później zaśmiała się głośno.

– O rety. To dopiero numer. – Otarła palcem łzę.

– Co cię tak bawi?

Zauważył delikatną zmianę w jej postawie. Uniosła podbródek i rozluźniła ramiona, na jej ustach pojawił się zmysłowy uśmiech.

– Hej, Jack? – wyszeptała.

– Tak? – Serce zabiło mu jak oszalałe.

– Wszystko, co o tobie myślę lub do ciebie czuję, nie ma nic wspólnego z matkowaniem.

Oblizał usta.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Powoli zaczęła odpinać sandaalki na wysokich obcasach, które miała na nogach. Patrzył, jak jeden po drugim spadają na podłogę. Każdy jej ruch wydawał mu się taki podniecający. Wszystko wydawało mu się takie podniecające.

– Jak to wszystko, co powiedziałaś do mnie w samochodzie?

– Właśnie, albo i więcej.

Jedną rękę położyła na oparciu kanapy, a drugą opierała się o niego. Przysunęła twarz do jego twarzy. Uniosła brew.

– Zaraz wracam.

Zobaczył, że bierze trzy latarki i boso idzie po dywanie. Uwielbiał widok jej małego, krągłego tyłeczka opiętego tą sukienką. Tak bardzo chciałby go gryźć.

Sam spojrziała przez ramię.

– Idę sprawdzić, czy dzieci na pewno śpią, i zostawić to przy ich łózkach. Nie ruszaj się – powiedziała.

Nie ruszać się? Nie mógł oddychać, ale na pewno nie zamierzał siedzieć beczynn timer i czekać na nią. Najpierw zapali świece, a później szybko się rozbierze i wskoczy do jej łóżka. Jack zaczynał podejrzewać, że Sam jest kobietą, która docenia niebanalne sytuacje.

– Nawet nie drgnę – powiedział, kiedy znikwała za drzwiami. Zastanawiał się, co dokładnie oznaczało to „albo i więcej” w ustach kobiety, która już raz powiedziała trzy najpiękniejsze słowa w języku angielskim: przeleć mnie natychmiast!

O Boże, o Boże, o Boże.

Zanim otworzyła drzwi do pokoju Dakoty, oparła rękę o ścianę i próbowała złapać oddech. O mało nie zrzuciła reprodukcji obrazu jakiegoś ekspresjonisty. Przed chwilą omal nie zaczęła uprawiać seksu z najbardziej znanym, seksownym i najbogatszym politykiem Indiany. Tyle rzeczy ją ostatnio zaskakiwało, że nie wiedziała, o czym myśleć. Prawie go nie znała! Była przez niego zatrudniona. I spójrzmy prawdzie w oczy – do tej pory nie miała do czynienia z facetem pokroju Jacka. Przyłożyła rękę do piersi. Serce waliło jak oszalałe. To wina Monté. To przez tę sukienkę, przez nią czuła się jak wamp. To ona doprowadziła do tego, że miała ochotę wyskoczyć z majtek. Na samą myśl o tym złączyła nogi. Była tak wilgotna, że wystraszyła się, iż za chwilę spłynie z niej na perski dywan. Od półtora roku nie uprawiała seksu. Nie będzie łatwo. Uprawianie seksu z Jackiem Tolliverem pociągnie za sobą poważne konsekwencje. Nie mogła się na to zdecydować – mogła?

Zajrzała do pokoju Dakoty i upewniła się, że śpi. Jack dobrze wykonał swoje zadanie: Dakota spał, pod kołdrą, z kciukiem w buzi. Postawiła latarkę obok łóżka, ucałowała go w główkę i wyszeptała „dobranoc”. Drugą latarkę zostawiła w pokoju Grega, a trzecią u Lily. Obydwoje spali. Powróciła do ciemnego holu, aby stamtąd wrócić do siebie. Stąpając bosą po dywanie, biła się z myślami. *Mogę/nie mogę. Chcę/nie powinnam. Mogę uprawiać seks z Jackiem i pozostać przy zdrowych zmysłach/skażę siebie na torturę. Mogę się zabawić jeden raz/nie jestem stworzona do uprawiania seksu, z kim popadnie.*

Stała przed na wpół otwartymi drzwiami i zerknęła do środka. Jacka nie było na kanapie. Ale zobaczyła trzy świece na stoliku do kawy. Wzięła głęboki oddech, pchnęła drzwi i spojrzała w stronę łóżka.

To niemożliwe. W ciągu kilku tygodni przeszła od spania w taniej pościeli do zaproszenia do satynowego raję w eleganckim pokoju od wyjątkowego mężczyzny.

– Naprawdę jesteś nagi? – Weszła do pokoju i zamknęła drzwi. Usłyszała, jak jej oddech przyspiesza.

– Podejdz tu i sprawdź – powiedział, założył ręce za głowę i z powrotem zanurkował w poduszki. Jego zachowanie było przejawem aroganckiej seksualności, a imponujące bicepsy... Spojrzała na jego gładki tors. Uśmiechnął się. – Polecam się.

– O Boże. – Sam zastygła w bezruchu z ręką na klamce.

Jack uklęknął na zdrowym prawym kolanie. Pościel częściowo zsunęła się z niego, ukazując talię, biodro i kawałek uda. Sam nie przebywała z tak zbudowanym facetem w pokoju od czasu, gdy malowała akty na zajęciach w Hanowerze, ale nawet tamci modele nie umywali się do Jacka. Zacisnęła dłoń. Potrzebowała pędzla i farb. Chciała uchwycić linię mięśni nad biodrem.

Cienie uwydatniające jego mięśnie brzucha. Chciała namalować jego skórę, używając czerni i koloru brzoskwiнового, potrzebowała czerni i niebieskiego, żeby namalować włosy, i mieszanki zielonego, niebieskiego i czarnego, żeby narysować jego kocie oczy, które wywoływały u niej dreszcz podniecenia.

– Podejdź tu, Samantha.

– Ja... – Zdjęła rękę z klamki. Odchrząknęła. – Chodzi o to, że...

– Podejdź do mnie.

Przełknęła ślinę. Ton Jacka był nakazujący i pewny siebie i nagle przypomniało jej się, jak ją całował w samochodzie. Wtedy jego głos brzmiał tak samo.

– Albo ja przyjdę do ciebie. – Uśmiechnął się szeroko. – A kiedy się ruszę, zedrę z ciebie sukienkę, przyniosę cię tu i rzucę na łóżko, bo zawsze tego pragnęłaś.

Sam zamrugnęła. Skąd wiedział, że właśnie tego potrzebowała? Oczywiście miał rację, ale skąd wiedział?

– Może podziałać.

W mgnieniu oka odrzucił pościel i wstał. Od razu zwróciła uwagę na jego niemal idealny tyłek, taki jak z rzeźb Michała Anioła. Niewiarygodne. Później się obrócił, a ona wzięła głęboki wdech. Ktoś mówił o aniołach.

Jego ciało było poezją, pieśnią, męskością w najlepszym wydaniu. Jej oczy wędrowały, zaczynając od lśniących, ładnie zbudowanych ramion przez wciętą talię i wąskie biodra, po szerokich udach i rzeźbionych łydkach, i z powrotem do tej cudnej rzeczy między nogami – ciemnej i nabrzmiałej i kołyszącej się w hipnotyzujący sposób.

Zzzzzzip.

Jego ręce dotknęły ramiączek sukienki, później łokci, a w końcu spoczęły na biodrach. Sam poczuła chłodny powiew powietrza na piersiach, brzuchu i plecach. Sukienka z cichym szelestem opadła na dywan. Stała przed nim tylko w głęboko wyciętych figach.

– Powiedz to – poprosił, lustrując ją wzrokiem od góry do dołu. Przeczesał rękami jej włosy. Sam nie mogła poruszyć ustami, co akurat wcale jej nie przeszkadzało, bo nie wiedziała, co on chce usłyszeć. Przejechał kciukiem po jej ustach. Zaczęły jej drżeć kolana.

– Powiedz to, co w samochodzie, Samantha.

– Och... – Próbowała sobie przypomnieć, co wtedy powiedziała, że spodobało mu się tak bardzo, ale jej umysł nie funkcjonował najlepiej. Wydawało się, że tylko jej ciało funkcjonowało jak trzeba.

– Trzymaj obie ręce na kierownicy? – spytała nieśmiało.

Jack zaśmiał się. Położył ręce na jej pośladkach i przysunął ją bliżej.

– Wiesz, co chcę usłyszeć.

Pokiwała głową, już wiedziała. Jackowi spodobał się jej niekobiecy wybuch tłumionego do tej pory pożądania. Nie czuła się z tym komfortowo. Ale dla tego niesamowicie seksownego mężczyzny, z tymi cudownymi rękami i oczami, który uśmiechał się do niej tak zmysłowo, mogła to zrobić.

– Przeleć mnie natychmiast – powiedziała.

Nagle znalazła się w powietrzu. Jedną ręką trzymał ją pod kolanami, a drugą w talii. Zaniósł ją na łóżko. Uniósł ją trochę, żeby jej pośladki znalazły się w powietrzu, i oparł sobie na ramionach jej stopy. Spojrzał i powiedział:

– Lubię, kiedy to mówisz.

– Mogę to mówić.

Jej serce waliło jak oszalałe. To nie był pocałunek, do jakich była przyzwyczajona. Tak nie całował Mitch, a już na pewno nie architekt, którego imienia nie pamiętała i który teraz zupełnie się nie liczył.

– Lubię w tobie wiele rzeczy, Sam.

– Doprawdy?

Jack zaczął gładzić jej nogi w górę i w dół. Dobrze, że ogoliła je wieczorem, ponieważ teraz jego palce przesuwały się po gładkiej skórze, wywołując u niej przyjemny dreszczyk.

– Lubię twój zapach. Lubię twój uśmiech, ponieważ jest szczery, ciepły i działa na mnie. – Położył jej ręce na pośladkach. – Lubię twój śliczny, mały tyłeczek.

Jęknęła.

Przesunął palcami po jej piersiach, poświęcając chwilę sutkom, które stwardniały.

– Po prostu kocham twoje piersi, Sam.

Westchnęła. Podniecenie było tak silne, że niemal bolesne. Głód seksu bywa bolesny. Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu. Ale Jack jeszcze nie skończył. Przesuwał palcami wzdłuż jej ciała, po brzuchu i wyżej aż do włosów.

– Masz śliczne loczki i cudowną szyję.

Znów przysunął się i podciągnął jej nogi. Całował ją po szyi.

– Lubię twój smak, dziecino. Chciałbym spróbować każdego skrawka twego ciała. Co ty na to?

– O Boże!

Jego ręce przesuwały się po jej ciele aż do stóp. Przyglądał im się uważnie, a potem powoli zaczął lizać palce najpierw lewej, a później prawej

stopy. Łaskotało, zachichotała. Ssał każdy palec, poświęcając im szczególnie dużo uwagi. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest fetyszystą, ale nagle przestał. Złączył jej nogi i wyprostował w kolanach. Całował jej nogi, zaczął od ścięgna Achillesa, poprzez łydki, z tyłu kolan, aż dotarł do granicy fig. Sam trochę się spięła, czuła, jak krew napływa jej do twarzy. Tu zaczynało się to, czego trochę się obawiała – faktyczny seks. Miała na niego ochotę, tęskniła za nim i potrzebowała go, ale nie była pewna, czy dobrze robi. Jak mu spojrzeć później w oczy, udając, że nic się nie stało. Czy należała do kobiet, które później odbiorą swoją zapłatę?

Zaczął ją całować, a ona krzyczała z rozkoszy.

Zaśmiał się, dźwięk był trochę przytłumiony. Całował ją po wewnętrznej stronie ud, napierał językiem coraz bardziej, ręką gładził jej brzuch, a ona wzdychała i jęczała.

– Bardzo lubię, jak pojękujesz – powiedział, biorąc oddech. –Wydajesz naprawdę seksowne dźwięki.

– Oooch, och, tak.

– I wiesz co? – Wsadził jej rękę pod figi i zaczął przesuwając palcami w górę i w dół, a później wsunął w nią palce. – Nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się, jakie wydajesz dźwięki, kiedy dochodzisz.

Sam zaczęła dyszeć. Poczwała, jak jego palce wsuwają się głębiej w jej ciało, kciukiem zaczął pieścić jej łechtaczkę. Poczwała drzenie.

– Mam wrażenie, że niedługo się dowiem. Czy tak?

Przyspieszył i mocniej nacisnął kciukiem. Zaczął całować jej piersi, wziął w usta jej lewy sutek i delikatnie ugryzł. Sam westchnęła. Wyglądało na to, że dojdzie dziesięć sekund po tym, jak on położył na niej rękę. Jakże to żenujące, pomyślała.

– Ooooch, Boże, tak, właśnie teraz!

Pocałował ją, długo i namiętnie, i nie przestawał jej całować nawet wtedy, kiedy osiągnęła orgazm. Całował ją i szeptał, kiedy powoli dochodziła do siebie po najlepszym orgazmie, jaki do tej pory przeżyła.

Oderwał wargi od jej ust i zaczął ją całować po szyi, piersiach, zjeżdżał coraz niżej do brzucha, delikatnie wysunął z niej palce, a później ściągnął z niej figi i sięgnął po prezerwatywę. Nie miała pojęcia, gdzie trzymał do tej pory prezerwatywę, ale zanim zdążyła złapać głębszy oddech, już na niej leżał i uśmiechał się. Był taki przystojny. Rozsunęła nogi i poczuła, jak gorące łzy spływają jej po policzkach.

– Dawno tego nie robiłam, Jack – powiedziała. Zmarszczył brwi i oparł się na łokciach. Scałował łzy z jej policzków.

– Bardzo cię pragnę, Sam. Ale jeśli to dla ciebie za dużo, rozumiem. Nie musimy tego robić, kochanie.

– Co? Czyś ty oszalał? – Położyła obie ręce na jego pośladkach i przyciągnęła go do siebie. – Owszem, musimy. Nie ma mowy, żebym teraz przerwała. To najlepszy orgazm, jaki miałam w nowym milenium.

Jack zaśmiał się i przysunął bliżej. Sam poczuła, jak cała się przed nim otwiera. Powoli zaczął w nią wchodzić, nieustannie ją przy tym całując. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka wypełniona. Objęła go ciasniej udami i zrobiła to, co najlepiej wychodziło jej w jego towarzystwie – poprosiła o to.

– Weź mnie, proszę. – Teraz wiedziała na pewno, czemu Jack ma opinię kobieciarza. Wiedział, co robi. Co do tego nie było cienia wątpliwości.

Poruszył silniej biodrami, aż cały się w nią wsunął. Mówił do niej, całował ją i miętosił jej pośladki. A później rytmicznie zaczął ruszać biodrami. To był najlepszy seks, jaki przeżyła w życiu. A później było jeszcze lepiej.

Wstał i przesunął Sam na krawędź łóżka. Rozsunął jej szeroko nogi, całował jej stopy i palce i znów zaczął.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale nie mogę się powstrzymać.

– Więc nie rób, po prostu mi to daj, Jack.

– Oczywiście. To niesamowite, jesteś taka... Otworzył oczy i spojrzał na nią. Uśmiechnął się szeroko.

– Cholera, wciąż to masz!

– Wciąż to mam! – zaśmiała się razem z nim. – To zadziwiające!

– Ty jesteś zadziwiająca. Skarbie, popatrz na siebie... Jesteś taka piękna. Wyglądasz pięknie, kiedy jestem w tobie, wiesz? To niesamowite. Nigdy się tym nie nacieszę.

Sam poczuła ciepło ogarniające podbrzusze. Znów dochodziła. Niewiarygodne.

– Nie przestawaj!

– Nie przestanę.

– Naprawdę, mówię serio! – Objęła go mocno i spojrzała na niego. – Znów dochodzę. Nie waż się przestać!

– Nigdy nie przestanę. Nigdy. – Przyciągnął ją. – Och, skłamałem. – Zaśmiał się. – Zrobimy to jeszcze raz, obiecuję. Ale teraz... jesteś taka wspaniała, że nie mogę...

Uniosła się trochę na rękach, poczuła drżenie ciała. A Jack nie przestawał. Naciskał mocniej i szybciej. W jego oczach malowało się pożądanie, kiedy na nią patrzył.

– Och, Sam! – Przycisnął ją, ostatni raz pchnął mocno i jęknął. – O cholera, o tak!

Osunął się na nią, a ona objęła go i mocno ścisnęła, czuła, że Jack również drży. Głowę miał wciśniętą w zagłębienie jej szyi, oddech szybki. Zamknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem rozchodzącym się po jej ciele, odprężyła się. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło do momentu, kiedy Jack się w końcu odezwał:

– Sam?

– Mmm?

– Mam w głowie pewien obraz – powiedział, a jego oddech się uspokajał.

– Podniosę cię, wezmę w ramiona i będziemy się przytulać, aż zaśniemy.

Uśmiechnęła się, leżąc pod nim.

– To całkiem ładny obraz.

– Niestety nie mogę się ruszać.

– Zauważyłam.

– Prawie mnie wykończyłaś. Zaśmiała się i pomasowała go po plecach.

– Przeżyjesz.

Zaśmiał się i otarł o nią. Starał się nie leżeć na niej całym ciężarem, opierał się na przedramionach. Skorzystała z okazji i pomasowała umięśnione przedramiona Jacka; wdychając jego zapach. Na pewno mogłaby się do tego przyzwyczać.

Odsunęła tę myśl od siebie.

Podniósł się i położył obok.

– Chodź tu, Samantha – poprosił i przyciągnął ją, oparł jej głowę na swojej piersi. Delikatnie trzymał rękę z tyłu jej głowy, zupełnie jakby chciał się upewnić, że się nie odsunie.

Jakby miała taki zamiar.

Głaskała jego gładki tors, a jej puls wracał do normalnego stanu. Nigdy nie była z takim mężczyzną jak Jack. Ani z tak hojnie wyposażonym przez naturę. Ani z kimś o tak silnym charakterze. Leżenie pod nim niesamowicie ją podniecało, była taka mała w porównaniu z nim, a on potrafił ją zaspokoić, i to nie raz. Bardzo jej się podobało, że prosta stylistka miała niegrzecznego chłopca, tak napalonego, że nie był w stanie się kontrolować. Uśmiechnęła się i przytuliła policzek do jego umięśnionego torsu.

– I jak? – spytał Jack i pocałował ją w czubek głowy.

– Świetnie, a u ciebie?

– Lepiej niż świetnie.

Jack był wspaniały i leżał obok. Był zupełnie inny niż Mitch. Jej eksmąż zawsze był w ruchu, między pracownią szkła a domem. Zwykle chodził zdenerwowany i zdarzały mu się niekontrolowane wybuchy złości. Miał jasną karnację, blond włosy, delikatną budowę ciała i naprawdę przystojną twarz. Najlepsze chwile przeżywała, kiedy obserwowała zafascynowana, jak dmucha szkło. Zawsze fascynowała ją jego skomplikowana praca. Była pod wrażeniem, gdy widziała go tak skupionego. Jak w tańcu, krążył i krążył, obracając długi metalowy pręt z bryłą rozgrzanego szkła na końcu. Wpychał ten pręt w palenisko i wyciągał go. Ekscytowało ją i podniecało, kiedy wyobrażała sobie, że kiedyś Mitch będzie i ją traktował z taką pasją. Ale nigdy się tego nie doczekała. Najwięcej namiętności przeznaczal na obróbkę szkła, Sam zawsze stała na dalszym planie.

– To było coś zupełnie innego. – Zorientowała się, że wypowiedziała tę myśl na głos.

– Hmm. Niekoniecznie nominacja do alei gwiazd. – W jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

– Wiesz, co miałam na myśli. Jesteś wspaniałym kochankiem, Jack, ale zaskoczyłeś mnie.

Poczuła, jak zatrzęsł się od bezdźwięcznego śmiechu.

– Zaskoczyłem sam siebie.

– Jak to?

– Och, no wiesz. Nie byłem do końca delikatny. Smakowałaś za dobrze, żebym taki był. I już dłuższy czas nie uprawiałem seksu.

Zaśmiała się.

– Tak?

– We wtorek będą trzy tygodnie.

– Mój Boże. Jak to przeżyłeś? Pomasował ją po ramieniu.

– Codziennie zadaję sobie to pytanie. Odetchnęła głęboko.

– Ja półtora roku, Jack.

– To bardzo długo, skarbie – wyszeptał.

– Co ty powiesz? A i wtedy tylko raz. Wychodzi na to, że uprawiałam seks raz na cztery lata.

Jack usiadł, ułożył za sobą kilka poduszek i przyciągnął Sam do siebie. Przytulił ją mocno, ale nic nie powiedział.

– Szczerze mówiąc – kontynuowała – te ostatnie lata, zanim zaszłam w ciążę z Dakotą, były raczej ubogie w seks. Mitch akurat wtedy zdał sobie sprawę, że jest gejem. I jakby odkrył swego penisa.

– Rozumiem.

– Więc on miał kryzys seksualności i mnie w to wciągnął. W ogóle nie uprawiałam seksu! To jest kryzys. – Sam spojrzała na Jacka badawczo. – Wiedziałaś, że mój mąż doszedł do wniosku, że jest gejem?

– Kara o tym wspominała.

– Zamienił się w heteroseksualnego ostatni raz tuż przed wyruszeniem w siną dal.

Jack położył swoją dłoń na jej biodrze.

– Przykro mi, Sam.

– Mnie też.

– Zaslugujesz naprawdę na wiele.

Zaśmiała się i delikatnie pokiwała głową. Zaslugiwała na wiele –pod każdym względem. I dlatego ta praca była dla niej niczym dar niebios.

– Myślę, że po wyborach znów będę mogła zacząć się umawiać, wiesz? Zainwestuję trochę czasu i energii w znalezienie mężczyzny, z którym mogłabym się związać. Jestem na to gotowa.

– Nie wątpię, że jesteś – powiedział Jack.

– Ale on musi polubić moje dzieci. Monté umawiała się z kilkoma interesującymi mężczyznami, jednak nie mogli pogodzić się z tym, że ona ma Simona. Odesłała ich z kwitkiem.

– Nie wątpię.

– Próbowwała umawiać się przez internet. Powiedziała mi, że to jest jak w hazardzie – człowiek jest pewien, że następnym razem trafi mu się wielka wygrana, ale nic z tego.

– Brzmi raczej ponuro.

– Ale nie wiem, co tam na mnie czeka. Nie miałam czasu w Indianapolis, żeby zwrócić uwagę, co pływa w basenie z wolnymi facetami po trzydziestce. A jeśli nie ma specjalnie w czym wybierać?

– Prawdopodobnie tylko rekiny i rybki przydenne, co?

– Może ty mnie przedstawisz komuś miłemu. Jack odchrząknął.

– Samantho, jesteś pierwszą kobietą, z którą spałem i która w czasie intymnych zwierzeń w łóżku poprosiła mnie, żebym znalazł jej kogoś, z kim mogłaby się umówić.

Sam zachichotała, podniosła głowę, którą opierała na jego torsie, i usiadła.

– Obydwoje wiemy, że to – wskazała na nich dwoje w łóżku i poklepała go po przykrytym kocem udzie – prowadzi donikąd.

Nic nie odpowiedział. Spodziewała się tego. Cóż można było powiedzieć? Obydwoje wiedzieli, że to chwilowe zauroczenie. Mijały sekundy. Uśmiechnęła się do siebie i rozejrzała po pokoju. Popatrzyła na ogień w kominku i świece i pomyślała, jakie to było głupie. Sceneria była naprawdę romantyczna, ale to, co się stało, nie miało nic wspólnego z romanssem. To był tylko seks. Niesamowity seks. Znakomity seks. Ale tylko seks.

– Chciałbym się z tobą umawiać, Sam. – Ciche słowa Jacka zabrzmiały, jakby ktoś wystrzelił z armaty obok jej ucha.

– Słucham? – Spojrzała na niego zaskoczona. Położył głowę na poduszkach i zerknął na nią spod w półprzymkniętych powiek. Delikatny uśmiech błąkał mu się po ustach.

– Chciałbym się z tobą umawiać. – Skrzyżował ręce na piersi. – Jestem pewien, że spełniam wszystkie twoje wymagania. Jestem mężczyzną. Lubię te

rzeczy. Jestem po trzydziestce. Myślę, że twoje dzieci są całkiem fajne. Chciałbym się z tobą umawiać.

Otworzyła usta i zauważyła, że Jack uśmiecha się, widząc jej reakcję.

– To niemożliwe.

– A niby czemu?

– Ponieważ jesteśmy zaręczeni, Jack. Zaręczyny są nieprawdziwe, ale nie możesz umawiać się z kimś, jednocześnie odgrywając zaręczonego z nim.

– Kto tak mówi?

– Myślę, że to łamie jakieś normy obyczajowe.

Jack pokręcił powoli głową, wyglądał, jakby przypominał sobie wszystkie przepisy dotyczące etyki.

– Nie, sędzę, że jest w porządku. Sam przyciągnęła kołdrę do piersi.

– Mówisz poważnie?

– Jestem poważny jak atak serca.

– Chcesz się ze mną umawiać?

Jack uśmiechnął się do Sam i wziął ją za rękę.

– Powiedziałaś, że to wszystko to najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałaś. Czemu miałbym nie chcieć się z tobą spotykać? Jesteś dowcipna i słodka, piękna i inteligentna, no i właśnie odkryłem, że jesteś świetna w łóżku.

– Ty też. – Przełknęła głośno, nie przestając na niego patrzeć.

– Dzięki. Ale może ty nie chcesz się ze mną umawiać. O to chodzi? –

Wyprostował się i skrzyżował nogi. – Jeśli tak, zrozumiem.

Zaskoczona odpowiedziała:

– Nie musisz się o to martwić.

Jack spuścił wzrok, a później zachichotał i znów na nią spojrzał.

– W takim razie spotykamy się?

Sam kiwnęła głową. Która kobieta nie chciałaby się umawiać z Jackiem? Ale to było zbyt skomplikowane.

– Załóżmy, że się spotykamy. Co się stanie za trzy miesiące, jeśli zechcesz się spotykać z Courtney lub Brittany? Wciąż będziemy mieli robotę do wykonania. Wciąż będziemy musieli paradować po mieście, udając szczęśliwą parę, i to wcale nie wydaje mi się śmieszne.

Jack pokiwał głową.

– Okej. W takim razie nie znudzę się tobą przez te trzy miesiące. Ale kto to jest Courtney i Brittany? Znam je?

– Widzisz? Będę szczęściarą, jeśli wytrzymamy trzy tygodnie.

Próbowała stworzyć jakiś dystans między nimi, ale wiedziała, że nie ma go na czym oprzeć. Poza tym Jack już widział ją nagą. Paradowanie nago przed mężczyzną sugerowało pewien rodzaj komfortu, którego nie czuła. Trudno jej było uwierzyć, że wszystko to działo się naprawdę.

– Spójrz na to w ten sposób, Sam. Jeśli nam nie wyjdzie, mogę być kimś, kto cię przygotowuje dla tych wszystkich trzydziestokilkulatków w Indianapolis, którzy będą tylko czekali, żebyś ze mną zerwała.

– Racja. – Musiała wstać z łóżka. – Proszę, zamknij oczy, ponieważ muszę iść do toalety.

Jack zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie ma prądu, a poza tym widziałem cię już nagą. Jesteś wspaniała.

Sam skubała frędzle poduszki, potem rzuciła poduszkę za siebie.

– Tak, no cóż, i tak to zrób, proszę.

– Postaram się.

Zerknęła na Jacka, ale postanowiła, że zbeszta go później. Był boleśnie przystojny. Szczególnie rozczochrany i zrelaksowany po seksie. Wyglądał tak

rozkosznie. Ale to był Jack Tolliver, facet, który rzucił niegrzeczną uwagę na temat tyłka jednej z nauczycielek. Poszukała w pamięci nagłówek ze „Star”, który znalazła w internecie: „Seksistowska gafa kończy kampanię Tollivera, kandydat do Kongresu jest zawstydzony”.

Przyjrzała mu się. Oto czym były dla niego kobiety – kawałkami tyłków. Dlaczego miałyby sądzić, że z nią będzie inaczej? Chyba zwariowała.

W mgnieniu oka zarzuciła narzutę na głowę Jacka i pobiegła do łazienki. Zdążyła jeszcze zobaczyć jego uśmiech, kiedy zamykała drzwi, co okazało się błędem, ponieważ nie było tam nawet odrobiny światła. Obróciła się w lewą stronę, wiedziała, że tam znajduje się biała półka z kutego żelaza, na której leżą ręczniki. Złapała pierwszą rzecz, na jaką natrafiły jej palce, i zasłoniła tym ciało. Niestety była to myjka.

– Ładna szata, aczkolwiek trochę krótka. – Jack czekał po drugiej stronie drzwi, kiedy je otworzyła. Zlustrował ją wzrokiem od stóp do głowy. – Pomyślałem, że może przyda ci się trochę światła.

– Dzięki. – Wzięła świeczkę, obróciła się i zasłoniła pupę ręcznikiem, kiedy szła na drugi koniec łazienki. Usłyszała jego śmiech, gdy biegła.

Kiedy odgrodziła się od Jacka, oparła się o drzwi i jęknęła. To nie było fair. Jack okazał się zabawny i miły, zupełnie nie tego się po nim spodziewała – i chciał się z nią spotykać. Jak pogodzić reputację podrywacza z tym wszystkim, czego właśnie doświadczyła. Kim był Jack Tolliver? Czy można mu ufać? Czy mówił serio? A może po prostu chce jej złamać serce? Sam postawiła świeczkę z tyłu toalety i usiadła. Może źle do tego podchodziła, co byłoby nietrudno zrozumieć, zważywszy na to, że w ciągu ostatnich lat nie umawiała się na randki. Może nie chodzi o miłość. Może chodzi o przyjemność, radość i seks. Może potrafiłaby umawiać się z Jackiem i

zachować dystans. Ile kobiet dałoby się zabić za taki układ – przystojny były gracz NFL poprosił, by mogli się spotykać, i jeszcze płaci za ten przywilej? Przecież chciała być utrzymanką, i tak się właśnie stało. W pewnym sensie Jack też będzie utrzymankiem, ponieważ ona zapewni mu rozrywkę i szczęście w ciągu sześciu miesięcy, które razem spędzą. Pestka. Spuściła wodę, umyła ręce i otworzyła drzwi.

Duża ręka objęła ją w talii. Zanim zdążyła krzyknąć, gorące wargi przylgnęły do jej ust. Nie było wątpliwości, że spośród facetów, z którymi miała do czynienia, całuje najlepiej. Był twardy, ale jednocześnie delikatny i nie potrzebował zachęty. Naprawdę świetnie całował. Poczowała drżenie kolan.

– Chodź ze mną.

Jack otworzył duże szklane drzwi do kabiny prysznicowej i Sam weszła do krainy jak z bajki. W czasie kiedy ona siedziała na sedesie i zastanawiała się, jak wykorzystać Jacka, on przygotowywał mokre, ciepłe gniazdko. Uśmiechnęła się, widząc świecek ustawione wzdłuż prysznic, z dala od wody tryskającej z sześciu miejsc.

– To naprawdę miłe, ale...

– Tutejszy zbiornik jest ogromny. Nawet gdyby kilka dni nie było prądu, woda wciąż byłaby gorąca.

Sam uśmiechnęła się. Patrzyła uważnie na to, co ukazywało chybotałe światło świec. Spojrzała na głowę Jacka i oceniła fryzurę.

Nowoczesne cięcie podkreślało delikatną falę w ciemnych włosach. To była zawadiacka fryzura, miała też idealną długość. Z pewnością potrzebował jakiejś bardziej konserwatywnej fryzury, jeśli zamierzał wygrać wybory.

– Jesteś zbyt seksowny – powiedziała Sam i przeczesła ręką jego wilgotne włosy.

– Mówisz tak, jakby to było złe. Zaśmiała się.

– Chodziło mi głównie o twoją fryzurę. Musisz podciąć włosy na czubku głowy, żeby nie podkreślać wyglądu niegrzecznego chłopca.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował, a później zaczął ją całować po wewnętrznej stronie mokrego nadgarstka. Zadrżała.

– To najmiłsza rzecz, jaką mi powiedziałaś, Samantho.

– Tak?

– Oczywiście poza tym, co w samochodzie. Serce Sam podskoczyło.

– Zawsze będziemy o tym pamiętali.

– Byłoby miło. – Przyciągnął ją i przytulił. – Naprawdę. Byłoby miło mieć kogoś, kogo po prostu lubisz, na kim możesz się oprzeć i z kim jest ci wspaniale w łóżku.

– Mmm. Brzmi nieźle. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie miałam nikogo takiego. A ty?

Jack zachichotał, ustawił Samanthę przed sobą i zaczął masować jej plecy.

– Wygląda na to, że zawsze było jedno albo drugie, ale nigdy oba naraz. Nie wiem, czemu tak jest. – Posłał jej diabelski uśmiezek. –No, chyba że weźmiemy pod uwagę dzisiejszy wieczór. Świetnie bawiłem się z tobą na koncercie, a później w tym wielkim łóżku.

Sam przełknęła ślinę.

– Ja też. – Dotknęła twarzy Jacka, poczuła kłujący zarost. –Naprawdę myślisz, że moglibyśmy się spotykać? Że to może się udać?

– Nie widzę przeszkód.

– Sądzę, że Kara i Stuart nie bardzo się ucieszą z tego, że... –wzruszyła ramionami, popatrzyła w pewnym kierunku – no wiesz...

– Że pieprzyliśmy się jak króliki?

Zaśmiała się.

– Wiesz, co jeszcze mniej ich ucieszy? To, że naprawdę cię lubię. To, że interesujesz mnie jako osoba i jako kobieta. Ponieważ to bardziej komplikuje sprawy. Jeśli to byłby tylko seks...

– To nie jest tylko seks?

Jack przechylił głowę – strumień wody spłynął mu po szyi.

– Nie dla mnie, skarbie.

– W porządku.

– A co to jest dla ciebie?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna. Położyła mu ręce na biodrach.

– Jesteś najseksowniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam.

Uśmiechnął się na te słowa.

– Ale nie jestem pewna, czy chcę się angażować uczuciowo. Nie marzę o tym, żeby teraz ktoś mi złamał serce. Być może lubisz mnie tylko dlatego, że jestem na miejscu i tylko koło mnie możesz się teraz kręcić.

– Nie ma żadnego ryzyka.

– Nie jestem taka pewna.

Jack zamyślony, znów ją przyciągnął i położył ręce na jej pośladkach. Pocałował ją w czubek głowy.

– Świetnie do mnie pasujesz, Samantho. Zauważyłaś?

– Zauważyłam.

– Dobrze się wpasowuję w ciebie. Zauważyłaś?

Zachichotała i przytuliła go mocno.

– Wydawało mi się czy dzieje się tam coś dziwnego?

Jack zaśmiał się i zaczął gładzić jej plecy, ramiona, pośladki i górną część ud. Sam poczuła, jak popycha ją lekko w tył, aż oboje znaleźli się pod strumieniem wody.

– Chcę sprawić, żebyś była mokra – powiedział.

– To nie powinien być problem.

Palcem podniósł jej podbródek i popatrzył jej w oczy. Spojrzenie miał szczere i ciepłe i to rozbroiło Sam. Naprawdę musi zachować trzeźwość myślenia, jeśli chodzi o Jacka. Absolutnie nie może zrobić niczego głupiego. Nie zakocha się w nim.

– Mam ochotę schrupać cię całą – wymruczał jej w ucho, jednocześnie głaszcząc ją po udach.

Sam przełknęła ślinę, kiedy zobaczyła, że Jack klęka pod prysznicem. Spojrzał na nią z dołu i posłał jej szelmowski uśmiech.

– Otwórz się dla mnie, Sam.

– Och.

Już zaczynała drżeć, a on mówił do niej i pieścił jej uda. Nie była trudnym celem. Nie była godnym przeciwnikiem dla casanowy z Indiany. Kiedy zaczął pocierać palcami wewnętrzną stronę jej ud i włosy łonowe, gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Nie zrobię ci krzywdy, maleńka.

Sam poczuła jego usta na swoich nabrzmiąłych wargach sromowych. Pomyślała, że doświadczyła tej szczególnej pieśczoły tylko raz w życiu i na dodatek trwało to tak krótko. Jaki żalotny żywot wiodła do tej pory.

– Spokojnie, maleńka – wyszeptał, kiedy zmienił trochę położenie i czubkiem gorącego języka dotknął jej lechtaczki. To było nieziemskie przeżycie. Sam oparła jedną rękę o ścianę kabiny, ponieważ bała się, że się

przewróci. Gorąca woda spływała jej po plecach i całym ciele. Pieścił ją językiem, całował, delikatnie podgryzał. Każda z tych pieszczot powodowała inną, wyjątkową przyjemność, a wszystkie stawały się coraz intensywniejsze.

Nagle Jack wsadził w nią palec i zaczął nim poruszać. Sam mogła myśleć tylko: to nie fair, to nie fair, to nie fair...

Ekspłodowała, objęła go za głowę, była zdziwiona blaskiem, który pojawił się pod jej zamkniętymi powiekami. Pojedynczy błysk światła! Wrota niebios otworzyły się na tak obezwładniającą jasność, że przez chwilę poczuła strach. Doznanie było tak silne, jakby znalazła się w innym wymiarze, choć nie wiedziała, czy to jest możliwe.

– To był jeden potężny orgazm – powiedział Jack, całując zewnętrzną stronę jej mokrych ud, brzuch i biodra. – Mogłabyś rozjaśnić nim Nowy Jork.

Sam jęknęła, otwierając niechętnie oczy i wciąż trzymając Jacka za głowę. Zamrugła zdziwiona tym, jak jasno się zrobiło pod prysznicem. Następnie zerknęła na dół, żeby zobaczyć w pełni oświetlonego nagiego mężczyznę, który przed nią klęczał.

– Światła są włączone!

Jack próbował przytaknąć.

– Och, przepraszam.

– Mamusiu, zmień mi pieluszkę!

Jack i Sam zamarli. Jack wyglądał na przerażonego. Sam zakłęła i przyłożyła palec do ust, dając tym znak Jackowi, by był cicho, później wskazała, żeby wstał i przesunął się na koniec kabiny, gdzie będzie miał większą szansę się ukryć. Jack stęknął przy wstawaniu i Sam po raz pierwszy zobaczyła jego lewe kolano. Wstrzymała oddech.

– Teraz, mamusiu!

Sam otworzyła zaparowane drzwi kabiny, wciąż kręciło jej się w głowie od widoku blizn Jacka. Wiedziała, że nie może pozwolić, by jej dziecko zobaczyło ich razem pod prysznicem. Jaką była matką? Dakota przyglądał jej się badawczo i marszczył brwi. Miał na sobie swój zwykły strój – T-shirt z rysunkiem Boba Budowniczego – i nic poza tym.

– Proszę, poczekaj na mnie w sypialni, kiedy będę się wycierać, dobrze, koteczku?

Odwróciła się, żeby zakręcić wodę. Głośny łoskot rozległ się w łazience.

– Przepraszam – wyszeptał Jack. – Uderzyłem o ścianę – powiedział bezgłośnie do Sam, ale było już za późno.

– Pan Jack tam jest? – Dakota otworzył szerzej oczy z podekscytowania.
– Cześć, panie Jack!

– Proszę, podaj mamusi ręcznik, dobrze?

Dakota sięgnął za siebie i wziął duży ręcznik z półki, który rozwinął się, kiedy go podawał. Sam przejęła go i podsunęła Jackowi stojącemu za nią.

– Dziękuję, koteczku, czy mogę dostać jeszcze jeden?

Dakota zmrużył oczy i sięgnął po następny ręcznik. Widziała, jak trybiki w jego główce pracują na pełnych obrotach. Sam owinęła się ręcznikiem i chciała złapać Dakotę, by go zanieść do pokoju, ale uchylił się i pomknął do drzwi kabiny prysznicowej.

– Panie Jack?

Dakota pokazał mu swoją pieluszkę nocną namoczoną do granic wytrzymałości. Patrzyła z niedowierzaniem, jak duża męska ręka pojawia się zza chromowanej krawędzi drzwi. Kciuk i palec wskazujący złapały pieluszkę za sam koniec.

– Zmień mi pieluszkę, panie Jack, i nie zapomnij użyć mokrych chusteczek.

RS

Rozdział dziewiąty

– Wygląda dobrze, pani DeMarinis. – Sam przedzieliła grzebieniem ciężkie, proste jak drut włosy Kary. – Powinno wystarczyć na miesiąc.

Kara odwróciła się do Sam z paniką w oczach.

– I będę mogła tu wrócić? W przyszłym miesiącu?

Sam uśmiechnęła się. Klienci byli niesamowicie marudni i wybredni, ale Kara miała wręcz obsesję na punkcie włosów. Przerazało ją to, że ktoś mógłby odkryć, że siwieje lub, co gorsza, farbuje włosy. Zawsze dwa razy sprawdzała mieszankę, którą Sam przygotowywała, zanim pozwoliła nałożyć ją sobie na odrosty. Musiał to być odcień popielaty numer pięć Avedy i złoty numer pięć z preparatem zwiększającym objętość włosów. Chciała mieć wszystko pod kontrolą.

– Z przyjemnością będę się zajmować twoimi włosami, jak długo nie będzie to przeszkadzało Jackowi.

– Nie przejmuj się mną. – Jack pojawił się w drzwiach pokoju kredensowego. Wciąż miał wymiętą koszulę i spodnie od smokingu z zeszłego wieczoru. Oparł się o framugę i skrzyżował ręce na piersi.

Sam całą siłą woli musiała się powstrzymać, żeby nie jęknąć na jego widok. Nie widziała go od czasu, kiedy powiedzieli sobie „dobranoc” w drzwiach jej sypialni, uważali, że nie powinien zostawać na noc w jej pokoju. Jack kilka razy pokreślił, że mieli szczęście, że nakrył ich Dakota, a nie Greg albo Lily.

– Myślisz, że Dakota może się wygadać? – spytał ją.

– Któż to może wiedzieć – odpowiedziała.

Sam zajęła się sprzątaniami powstałego bałaganu. Czowała na sobie wzrok Jacka, ale starała się na niego nie patrzeć. Bała się, że Kara może odgadnąć ich tajemnicę.

Kara wstała z krzesła i zdjęła pelerynkę nałożoną na sweter. Rozmawiała z Jackiem:

– Sam powiedziała, że światło się zaświeciło gdzieś tak około drugiej w nocy. W mieście jest dopiero od kilku godzin.

– Tak, mieliśmy szczęście zeszłej nocy – odpowiedział od niechcienia i Sam spojrzała na niego. Niefrasobliwie mrugnął do niej. Niewiarygodne.

– To dobrze – skwitowała Kara, przeglądając się w podręcznym lusterku.

– Sam mówi, że powinienem zmienić fryzurę, jeśli chcę zostać senatorem. Twierdzi, że potrzebuję jakiejś mniej seksownej fryzury. Zgadzasz się?

Kara zmarszczyła brwi i odłożyła lusterko. Przyjrzała się jego włosom.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała Sam.

Sam wykonała nieokreślony ruch ramionami, przypomniała sobie, jak Jack wyglądał poprzedniej nocy pod prysznicem; blask świateł oświetlał jego mięśnie, patrzył na nią błyszczącymi oczami, a rozczochrane włosy okalały jego przystojną twarz. Ten mężczyzna był bogiem seksu.

– Sądzę, że mógłby je trochę podciąć.

Jack w mgnieniu oka wyjął z kieszeni spodni portfel, kluczyki i komórkę i usiadł na wolnym krześle. Położył ręce na kolanach.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Sam spojrzała na Karę, szukając przyzwolenia, ale Kara tylko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: mnie nie pytaj.

– Pewnie. Ale żadnych drastycznych cięć. Niech głosującym nasuwa się skojarzenie z Oliverem Northem.

Jack zaśmiał się.

– Karo, jeśli chodzi o polityczne mądrości, jesteś prawdziwym skarbem. Co ja bym bez ciebie zrobił?

– Bóg raczy wiedzieć.

Przyniosła sobie krzesło z pokoju śniadaniowego i zajęła miejsce po prawej stronie Sam.

– Jak się spisał ostatniej nocy? – spytała Sam. – Czy możemy być z niego dumne?

Sam miała sięgnąć po nożyczki, ale jej ręka zawisła w powietrzu. Po chwili do niej dotarło, że Kara pyta o koncert.

– Nie wydaje mi się, żebym się przejęczyła. Jack prychnął.

Kara kontynuowała:

– Dziś rano nic nie było o was w gazetach. Gołoledź zdominowała wiadomości.

Przeczesała włosy i sięgnęła po kubek z kawą, który zostawiła na blacie.

– Więc co powiesz, Jack? Nie sądzisz, że nadszedł czas, żeby wyciągnąć klejnoty rodzinne?

Tylko dzięki temu, że Jack się głośno zaśmiał, nie było słychać, że Sam mało się nie zakrztusiła.

Rozległ się szcęk otwierania drzwi frontowych i głos Monté rozbrzmiewający w holu.

– Dzień dobry, słońce! – zawołała, a oni usłyszeli stukot jej obcasów na parkiecie i Simona, który pokonywał frontowe schody po dwa naraz.

– Hop–hop! Co słychać dziś w wielkim domu?

– Tu jesteśmy! – krzyknęła Sam.

– Co robicie? – spytała Monté, pojawiając się w drzwiach pokoju kredensowego. Miała na sobie czerwone spodnie ze stretchem i zielony trykotowy sweter. W uszach kołysały się kolczyki, które wyglądały jak złote, miniaturowe ozdoby choinkowe. Zmarszczyła brwi, kiedy zobaczyła Jacka na krześle.

– Nie sądzę, żeby ten facet potrzebował odmiany. Kara wyprostowała się.

– Absolutnie nie! Wynajęliśmy specjalistę od kreowania wizerunku i zrobiliśmy serię badań fokusowych, idealnie się mieścił w przedziale pozytywnych opinii.

– Tylko skracam mu włosy – wyjaśniła Sam. – Baki na wysokości linii ucha.

Monté przyniosła krzesło z pokoju śniadaniowego i usiadła po drugiej stronie Sam.

– Tak, to dobry pomysł. Dłuższe włosy kojarzą mi się raczej z surferem niż z senatorem.

– Właśnie tak pomyślałam.

– Ale nie przesadzź ze skracaniem, bo będę wyglądał jak żołnierz piechoty morskiej lub coś w tym rodzaju.

Kara uśmiechnęła się.

– Widzisz? Mówiłam ci.

– Mmm... mmm – mruknęła Monté, oglądając wymięte spodnie Jacka. – Nieźle się ubiera.

Wszyscy prócz Jacka zachichotali. On odchrząknął i powiedział: – Wiecie, że jest coś poniżającego w tym, kiedy trzy kobiety rozmawiają o mnie tak, jakby mnie nie było w tym pomieszczeniu. Czuję się taki bezwartościowy.

– Ale mówimy o tobie. Polityczna śmierć następuje wtedy, kiedy o tobie nie mówią. – Kara upiła łyk kawy. – Zupełnie jak dziś rano. Wcale nie jestem zadowolona, że nie wspomniano o was, gołąbeczki, w sekcji Style. Dlatego myślę, że czas na biżuterię.

– Zawsze jest czas na biżuterię – powiedziała Monté. – Od tygodni próbowałam mu na to zwrócić uwagę.

– Dni – wymamrotała Sam.

– Jak myślisz, możemy coś pożyczyć? – Kara spytała Jacka.

– Jest tego tyle, że nawet nie zauważy, że czegoś brakuje. Kara zaśmiała się.

– Oszalałeś? Ta kobieta pamięta wszystko – każdy najdrobniejszy szczegół z pierwszej kampanii twojego ojca na fotel gubernatora, co nosiła żona Allena Ditto, kiedy pierwszy raz składał przysięgę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Ona jest niesamowita.

– Kto jest niesamowity?

– Moja matka – Jack wyjaśnił Monté. – Wybiorę klejnot rodzinny i każe zrobić pierścionek zaręczynowy. Będzie jedyny w swoim rodzaju.

– Jeśli będzie duży.

– Przez cały czas myślałem, że rozmiar nie jest ważny – powiedział Jack, wyraźnie rozkoszując się wymianą zdań z Monté.

– To kłamstwo – odparła. – Po prostu zbyt wiele czasu spędzałeś z kobietami, które nie miały odwagi powiedzieć ci prawdy.

Jack przytaknął.

– Może mieć pani rację, pani McQueen.

– Trzymaj głowę prosto, proszę, albo twoja fryzura nie zbierze u nikogo pozytywnych ocen – powiedziała Sam.

– Może Christy wspomni o waszej dwójce w *Capitol Update* dzisiejszego popołudnia – rzuciła Kara i nagle rozjaśniła się. – Podeszłam do niej wczoraj na koncercie, była bardziej zbikowana niż zazwyczaj, przysięgam.

– Tak, któregoś dnia wpadła do salonu i rozmawiała z Marcją. Nigdy jej nie lubiłam.

– Ja jej prawie nie znam – powiedziała Sam.

– Ja też nie – przyznała Monté. – Ale też nigdy nie wydawała mi się kimś, kogo warto poznać.

Kara przytaknęła.

– Prawdopodobnie była w Le Cirque, żeby dokopać się do jakichś brudów na temat Sam. Christy myśli, że coś ukrywamy.

– No bo tak jest – wtrącił Jack.

– Ona węszy na mój temat? Tak? – upewniła się Sam i przeczesала ręką włosy Jacka, żeby sprawdzić, czy równo je przycięła. – To trochę przerażające.

– Jesteś bez skazy, Sam, więc się nie przejmuj. Christy to jedna z kobiet, którymi wzgardził Jack, i teraz pragnie urwać mu jaja.

– Au – syknął Jack.

– Skaleczyłam cię?

– Nie, kochanie, to była reakcja na komentarz o moich jajach.

W pokoju zaległa cisza, Kara i Monté posłały zdziwione spojrzenia Sam. Już miała je spytać, o co chodzi, ale zdała sobie sprawę z tego, że Jack powiedział „kochanie”. Musiała to zatuszować.

– Cóż, kochanie, nie dopuszczę tej okropnej kobiety w pobliże twoich jaj.

– Machnęła nożyczkami w powietrzu, a później wykonała kilka cięć jak szpada. – En garde!

Kara i Monté zaśmiały się.

– Nieźle wam idzie – oceniła Kara. – Teraz musimy to pokazać ludziom.

Zapach biura ojca zawsze działał na Jacka. Był to zapach starych książek, starych pieniędzy, skóry i lnu. Zapach jego dzieciństwa i samotności, bo wiedział, że nigdy nie był wystarczająco ważny, by ojciec poświęcił mu swój czas. Fakt, że to sanktuarium jest teraz jego biurem, sprawiał, że Jack nigdy nie czuł się tu za dobrze. Miał wrażenie, że duchy jego ojca i dziadka unoszą się gdzieś między starymi dziełami prawniczymi i błyszczącymi mahoniowymi meblami i obserwują go w pełni świadome tego, że Jack nie wkładał w tę pracę serca, i wcale nie były zadowolone z tego stanu rzeczy.

Kiedy Jack zmagał się z zamkiem rodzinnego sejfu, uzmysłowił sobie po raz któryś, że jeśli chodzi o politykę, to nie podchodził do niej z zapalem, nie była jego pasją, tak jak futbol. Mimo to nie unikał podejmowania kluczowych kwestii ważnych dla swojego stanu czy dla państwa. Starannie rozważał opinie i rozumiał naturę największych wyzwań, przed którymi stali Amerykanie – bezpieczeństwo narodowe i polityka zagraniczna, deficyt budżetowy, edukacja, praca i handel, przestępczość, środowisko, opieka socjalna i zdrowotna.

Nigdy nie studiował tomów raportów i analiz, dostarczanych mu przez Karę i Stuarta przed spotkaniami z ustawodawcami, podczas których należało rozstrzygać różne kwestie. Jednocześnie nie unikał wystąpień publicznych i spotkań.

Zastanawiał się, po co w ogóle zawraca sobie tym wszystkim głowę. Wiedział, że jego praca może mieć wpływ na życie wielu prostych ludzi, ale z jakichś powodów nie czuł się związany z tymi ludźmi. I z pewnością nie chodziło tylko o to, że on dorastał w dobrobycie. Brak tych więzi go zawstydział. To była jego największa tajemnica. Ale nie zdawał sobie sprawy z

tego aż do dnia, kiedy pogruchotał sobie nogę. Czasem zastanawiał się, czy tego dnia także jego dusza nie została zgruchotana.

– Pamiętasz kombinację? – Kara stanęła tak blisko, że niemal czuł jej oddech na swojej szyi.

– Oczywiście. Czemu nie usiądziesz i nie odpoczniesz? – Wskazał Karze miejsce na kanapie.

Odwrócił się i ujrzał trzy kobiety siedzące teraz na brzegu antycznej skórzanej sofy, niczym pilne uczennice, z rękami ułożonymi na kolanach. To było zadziwiające damskie trio. Kara i jej elegancka, chłodna postawa, Monté z wymalowaną na twarzy szczerością, pełną radości wiarą w siebie i lojalnością w stosunku do Sam i Samantha – malutka, słodka i ciężko pracująca, ale podejrzewał, że za tym obrazem kryje się znacznie więcej i że całe życie zajęłoby mu poznanie jej osobowości.

– Pamiętasz kombinację? Myślę, że minęły lata od czasu, kiedy otwierałeś sejf, nie mam racji?

Jack zaśmiał się. Kara już tak długo była obecna w jego życiu, że traktował ją jak siostrę – wymagającą, skłoną do intryg i niesamowicie błyskotliwą siostrę. Była jego przyjaciółką niemal od dwudziestu lat. Doprowadzała go do szału i jednocześnie ją uwielbiał. Znał jej humory i słabe strony. Wiedział, że tylko dzięki niej może kandydować do senatu – to był tak samo jej wyścig jak jego. Czasami myślał, że powinni zamienić się rolami i to ona powinna być senatorem.

– Zaraz sobie z tym poradzę, szefie – powiedział do Kary. Zastanowił się, czy za chwilę nie okaże się, że się mylił, kiedy twierdził, że zna kombinację. Formalnie rzecz biorąc, znał ją. Kłopot sprawiała jedynie kolejność cyfr. Na tym etapie wyczerpał już prawie wszystkie możliwości.

– A może po prostu wysadźmy go w powietrze – zaproponowała Monté.

Jack zerknął przez ramię i uśmiechnął się. Chichotał za każdym razem, kiedy przypominał sobie, jak Sam i Monté oraz ich latorośle zjawiły się w jego życiu. Nie uświadamiał sobie, jak był znudzony, dopóki nie pojawili się w jego życiu. Gdyby nie wyraził zgody na intrygę Kary, nie poznałby Sam, a tej możliwości nie chciał rozważać. Chociaż znał Sam zaledwie od kilku tygodni, zdążył się już do niej przywiązać. Nie lubił dni spędzonych bez niej.

Sam był zdziwiony, jak do tego doszło.

– Mam! – Wewnętrzny mechanizm zaskoczył, Jack przekreślił dźwignię i otworzył ciężkie drzwi. Sejf nie miał więcej niż metr dwadzieścia wysokości i metr szerokości, ale po brzegi był wypełniony rupieciami związanymi z historią Tolliverów, skarbami, których MDT, nie wiadomo z jakich powodów, zdecydowała nie oddawać do depozytu w banku. Jack wyjął czarne aksamitne pudełko wielkości słownika w twardej oprawie.

– Tylko raz widziałam, co jest w środku – wyszeptała Kara z nabożnym skupieniem.

Jack obrócił pudełko i podniósł wieczko. Trzy kobiety wstały jak zahipnotyzowane z kanapy i niemalże się skłoniły.

– Jasna cho... – Sam zasłoniła dłonią usta.

– Musisz nam pozwolić to przymierzyć – powiedziała Monté, nachylając się nad pudełkiem. – Każda dziewczyna przynajmniej raz w życiu powinna poczuć, jak to jest być księżniczką.

Jack uśmiechnął się.

– Nie krępujcie się, panie, wybierzcie coś, co będzie mogło posłużyć za pierścionek zaręczynowy. W końcu o to nam chodziło, prawda?

– Mój Boże, spójrzcie na to! – Kara trzymała naszyjnik z trzech sznurów pereł z kameą i diamentem.

– Mam nadzieję, że to wszystko jest ubezpieczone – powiedziała Monté, dotykając naszyjników, bransoletek, kolczyków, naszyjników z wisiorami, szpilek i całej reszty, którą MDT tutaj przechowywała.

– Oczywiście – potwierdził. – Przepraszam na kilka minut.

Jack usiadł przy biurku i zadzwonił do Stuarta. Rozmawiając, przyglądał się, jak kobiety śmieją się, wstrzymują oddech, pomagają sobie zapiąć naszyjniki, krzyczą z zachwytem. Kara pobiegła do pokoju kredensowego po podręczne lusterko, żeby mogły się przejrzeć. Jack musiał przyznać, że onyksowa bransoletka wyglądała naprawdę ładnie na Karze i że Monté wyglądała jak diwa w diamentowych kolczykach, które najprawdopodobniej należały do którejś z ciotek MDT. Kiedy Sam zapięła obrozę z rubinów i diamentów i podniosła loki, Jackowi zapało dech.

– Cholera, Sammy! Jesteś pewna, że nie podmieniono cię w szpitalu po porodzie? To wygląda, jakby było stworzone dla ciebie!

– Naprawdę wygląda idealnie – przyznała Kara. – Tylko nie z džinsami.

– Znów dylemat niezobowiązującego stroju – wymamrotała Monté, a Sam się zaśmiała.

Jack słuchał Stuarta, który analizował końcowe punkty mowy, którą Jack miał wygłosić w delfinariu, ale nie mógł oderwać wzroku od Sam. Znów zobaczył Sam w czerwonej bieliźnie, ale tym razem miała na szyi ten czerwony rubinowy naszyjnik i tylko siłą woli powstrzymywał się, żeby nie doskoczyć do niej i nie całować jej, aż będzie błagała, żeby przestał.

Z prawdziwym rozczarowaniem patrzył, jak Sam zdejmuje naszyjnik i odkłada do pudełka na biżuterię. Zamyśliła się.

– Ojej. To jest naprawdę piękne. – Sam trzymała lewą dłoń przed sobą, z palcami rozstawionymi szeroko, żeby Kara i Monté mogły podziwiać. Nie mógł widzieć, co wybrała, dostrzegł tylko cienką złotą obrączkę.

– Hola – powiedziała Monté – to jest ładne i duże, ale nie duże w stylu Lil'Kim.

– Ten pierścionek jest wspaniały – powiedziała Kara i ujęła rękę Sam, żeby lepiej się przyjrzeć klejnotowi. – Wygląda na wiktoriański. – Obróciła rękę Sam tak, żeby Jack mógł zobaczyć.

Pokiwał głową z uznaniem, wciąż słuchając, co Stuart ma do powiedzenia na temat kampanii Jacka. *Bardzo ładny* – poruszył bezgłośnie ustami do Sam, patrząc na diamentowo–szmaragdowy pierścionek, którego, był tego niemal całkowicie pewien, nie widział nigdy wcześniej. *Idealny*.

Obserwował, jak Sam uśmiecha się na widok pierścionka i porusza palcami. Naprawdę cieszył się, że widzi Sam z pierścionkiem. Sprawiało mu to wielką radość.

Skończył rozmowę ze Stuartem i dołączył do kobiet stojących po drugiej stronie biurka.

– Mogę się wtrącić? – Utorował sobie drogę między Karą i Sam, złapał Sam za rękę i zsunął jej pierścionek z palca.

– Najszybsze zaręczyny w historii – skomentowała Monté.

– Po prostu chcę, żeby było jak należy. – Jack stanął przed Sam, spojrzała na niego z ciekawością spod przymrużonych powiek. Wsunął jej pierścionek na palec i powiedział:

– Samantha Monroe, czy zechcesz udawać, że wyjdiesz za mnie?

– Tak, Jack. – Sam uśmiechnęła się. – Z przyjemnością będę udawać, że planuję wyjść za ciebie.

– Jakie to romantyczne – zauważyła Kara.

– Hej – rzekła Sam ze śmiechem – to jest znacznie bardziej romantyczne niż za pierwszym razem, uwierzcie mi,

– To smutne – powiedział Jack.

– Tak było. Podstawiłam Mitchowi test ciążowy pod nos. Obydwoje spojrzeliśmy na niego i paf! Jesteśmy zaręczeni.

– Halo?

– Jack obrócił się na dźwięk głosu i zobaczył małego Dakotę Benjamina w otwartych drzwiach z komórką przyciśniętą do ucha.

– Halo? Proszę pani, jest pani tam? – mały wykrzywił buzię, słuchając tego kogoś po drugiej stronie.

Jack podszedł do dziecka i wyciągnął rękę.

– Wezmę to, dziękuję ci, Ben.

– Pan Jack dał mi swój telefon wczoraj w nocy, zanim poszedł pod prysznic, mówiłem ci już? – Dzieciak uśmiechnął się szeroko i dalej mówił do telefonu: – Do widzenia, pani. – Oddał telefon Jackowi.

Jack z niepokojem przyłożył telefon do ucha.

– Mówi Jack Tolliver.

– A tu twoja matka. Czy nie kontaktowaliśmy się ze sobą tak długo, że w tym czasie zdążyłeś splodzić dzieci?

Cudownie.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Co to było za dziecko? Brzmiało, jakby było w wieku przedszkolnym. Gdzie ty się podziewasz?

– Jestem w Sunset Lane. – Straszna myśl przyszła Jackowi do głowy: MDT dzwoni, żeby ją zabrać z lotniska w Indianapolis! –Gdzie jesteś, Marguerite?

– W Naples.

Jack odetchnął.

– Ale już niedługo.

Odetchnąć.

– Rozumiem. Jakie masz plany na święta?

– To zależy głównie od ciebie. Pomyślałam, że spędzę kilka dni z tobą, zanim zaczniesz się przygotowywać do prawyborów. Zgłaszasz swoją kandydaturę, prawda? Kara powiedziała, że uzyskałeś odpowiednią liczbę podpisów z głosujących okręgów i że badania fokusowe wyszły dobrze. Więc kandydujesz?

– Taki jest plan. – Szybko spojrzał na Karę, która wysyczała kilka przekleństw.

Matka kontynuowała:

– Nienawidzę ponownie poruszać tej kwestii, ale nie sądzę, żebyśmy osiągnęli cel, jeśli jakiś przedszkolak odbiera twoje telefony w Sunset Lane.

– Przedszkolak? – Jack spojrzał na Sam, której usta ułożyły się w bezgłośnie „przepraszam”. Wzruszył ramionami – teraz już nic nie można było na to zaradzić. To jego wina, że zostawił komórkę w pokoju kredensowym. Dakota nie zrobił nic złego, odbierając telefon.

– Nazywa się Benjamin Monroe...

– Ma na nazwisko Bergen – Sam poprawiła go natychmiast.

– To znaczy Benjamin Bergen – sprostował Jack, odnotowując wyraz niezadowolenia na twarzy Sam. – W porządku, tak naprawdę nazywa się

Dakota Benjamin Bergen, ale pomyślałem, że jeśli będzie się używać jego drugiego imienia, może to zwiększyć jego szanse na to, że zacznie sikać do nocnika, zanim wyrosną mu wąsy.

MDT zamilkła, a później wypaliła:

– A czyj dokładnie jest ten osobnik o imieniu Dakota?

– To najmłodsze dziecko Samantha Monroe.

Nastąpiła błogosławiona cisza i przez krótką chwilę Jack modlił się, żeby bateria w telefonie niepostrzeżenie się wyładowała. Albo ziemia się rozstąpiła i pochłonęła go.

– Tej kelnerki ze zdjęcia?

– Jest stylistką włosów na urlopie naukowym.

– Bezrobotna stylistka, która nie nosi tego samego nazwiska co jej najmłodsze dziecko? Ile jest tych dzieci? Ile nazwisk, Jack? To jest kobieta, z którą pokazujesz się na mieście przed kampanią.

Jack potrząsnął głową. Od dawna wiedział, że jego matka zdobyła laury w Marie Antoinette School of Public Policy. Ale to, w jaki sposób zadzierała nosa, nigdy nie przestawało go zadziwiać.

– Cała trójka dzieci Sam nosi nazwisko jej byłego męża.

– Rozumiem. Bezrobotna, rozwiedziona matka z trójką dzieci.

– To niedokładnie tak...

– Czy Kara o tym wie? Jack zaśmiał się.

– To doskonałe pytanie. Pozwól, że sprawdzę. – Nie trując się, żeby zasłonić małutką słuchawkę, krzyknął do Kary: – Sam Monroe ma trójkę dzieci? Słowo daję. Wiedziałaś o tym?

– Co na miłość boską tam się dzieje, Jack? – MDT udawała, że jest spokojna. – Nalegam, żebyś mi powiedział prawdę, i to zaraz.

Jack niemalże kipiał, tak było zawsze w czasie rozmowy z matką.

– Dobrze, Marguerite. Prawda jest taka, że zatrudniliśmy Sam Monroe, by udawała moją narzeczoną w czasie wyborów. Pokazujemy się na mieście, żeby nikogo nie zaskoczyło, że kiedy w przyszłym miesiącu zgłoszę swoją kandydaturę, Sam i jej dzieci są ze mną. – Jack zignorował wyraz zaskoczenia u Monté, Sam i Kary i brnął dalej: – Zasadniczo uważamy, że ich obecność może spowodować, że część opinii publicznej przestanie mnie uważać za pretensjonalnego, zapatrzzonego w siebie, mizoginistycznego palanta. Nie twierdzę, że te cechy osobowości nie pasują do ludzi pracujących w Senacie Stanów Zjednoczonych lub w jakimkolwiek biurze.

Znów nastąpiła błogosławiona cisza. Niestety, krótka.

– Żartujesz – powiedziała Marguerite.

– Nie.

– Spodziewaj się mnie za cztery dni. Rozłączyła się.

Odnalazła go. To o tym mogła teraz tylko myśleć Christy, kiedy szła korytarzami biur Kanału Dziesiątego z podkładką do pisania.

Zrobiła to, czego nie udało się dokonać biuro prokuratora i jego detektywom przez długie trzy lata. Odnalazła Mitchella J. Bergena, byłego męża tego zdzirowatego elfa. Znalazła go po jakichś dwóch godzinach. Krótkie poszukiwania w materiałach „Star” i natrafiła na artykuł o Bergenie sprzed sześciu lat, artykuł był uzupełniony zdjęciami mężczyzny i najrozmaitszych, najdziwniejszych szklanych rzeźb. Później weszła na eBay i ujrzała trzy podobne i równie dziwne rzeźby. Ten ślad z kolei poprowadził ją do sklepu w Wetumpka w Alabamie. Okazało się, że prowadzi go Mitchell Bergen, i voilà! Tatuś nierób się znalazł!

Oczywiście Bergen upierał się, że to pomyłka, i rozłączył się, ale Christy przez lata rozmawiała z tyloma różnymi osobami, że potrafiła rozpoznać ciężki oddech złapanego w pułapkę zwierzęcia. Teraz trzeba nakłonić tę kanałkę, żeby wyszła z ukrycia i wróciła do Indianapolis. Musiało mu się to opłacić.

Jeśli mogłaby mu zagwarantować, że ludzie z biura prokuratora nie zgarną go z ulicy, mogłaby go zanęcić dziećmi. Nie było na ziemi faceta z tak zimnym sercem, żeby nie chciał się zobaczyć ze swoimi dziećmi po trzech latach rozłąki. Bergen z pewnością poczuje wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił. Jak mógłby ich nie czuć?

– Pięć minut, Christy.

Przyjaźnie skinęła głową asystentowi producenta i powiedziała, że już idzie. Dziś był sto pięćdziesiąty program *Capitol Update* z Christy jako gospodynią programu. Czuła dumę z tego, że przez trzy lata prowadziła polityczny program na tak wysokim poziomie. Była też dumna z tego, że program emitowano nie tylko na żywo w niedzielę, ale powtarzano go trzy razy w tygodniu na dwóch innych kanałach. Pamiętała profesora od komunikacji w Purdue, który powiedział, że ma ptasi mózdzek i nie nadaje się do dziennikarstwa telewizyjnego. Cóż, w zeszłym roku stary, wyjątkowo durny profesor przesłał jej list z gratulacjami. Odpowiedziała standardowym liścikiem, którym odpowiada wszystkim swoim fanom. Dołączyła zdjęcie i kolorowy podpis.

– Dwie minuty!

Christy popukała w mikrofon i pogawędziła z gośćmi – kilkoma stałymi i Brandonem Miliewskim, występującym po raz pierwszy. Tylko tyle mogła dla niego zrobić. Zastanawiała się, dlaczego jest taki chętny do pomocy, potrzebowała kogoś, kto zastąpiłby Karę DeMarinis, która zdecydowała się nie

wypowiadać na temat kampanii Jacka. Nie przeszkadzało to Christy. W najbliższym czasie zamierzała wykorzystać dumne oddanie, jakie okazywał jej Brandon. Nic nie dzieje się bez powodu.

Tematy, które mieli poruszyć, dotyczyły funduszu szkolnego, ewentualnych klęsk żywiołowych w stanie i ustawy związanej z wideopokerem, bo ta sprawa utknęła w Komitecie. Oczywiście wspomną o prawyborach do senatu i wtedy przedstawi swoje wątpliwości co do publicznych schadzek Jacka: są prawdziwe czy to tylko polityczny wybieg. Zapowiadał się dobry show.

Christy skrzyżowała nogi i poprawiła marynarkę z tyłu, układając ją pod pośladkami, tak żeby ramiona utworzyły elegancką, prostą linię na ekranie. Myślała gorączkowo, zastanawiała się, w jaki sposób wykorzysta Mitchella Bergena, żeby wydobyć prawdę ze zdzirowatego elfa. Zastanawiała się też, jak pomocny okaże się Brandon Miliewski. Wszystko się jakoś ułoży, jeśli pozwoli wydarzeniom toczyć się własnym torem. Na ogół miewała przebłyski, kiedy była zrelaksowana i pozwalała sprawom toczyć się własnym torem.

Kątem oka zobaczyła, że Brandon wpatruje się w nią z uwielbieniem. Posłała mu nieznaczny uśmiech i zauważyła, że od razu dostał wytrzeszczu.

Ten mężczyzna naprawdę zapowiadał coś obiecującego.

Mitchell przyjrzał się sobie badawczo w lustrze w łazience w swojej dwupokojowej pracowni szklarskiej, która mu służyła za dom. Ledwo mógł sobie przypomnieć, jak wylądował w tej dziurze na południu i jak długo tu przebywał. Ostatnie lata to był zjazd z samego szczytu na sam dół, a teraz tu się ukrywał. Znów.

Mitch wiedział, że któregoś dnia odnajdą go, ale mimo wszystko był zaskoczony. Nie wiedział nawet, dla jakiej agencji pracowała ta kobieta – nie powiedziała. Czy była z policji? Biura prokuratora?

Prywatnej agencji detektywistycznej? Zastanawiał się, ile możliwości wypróbowała Sam, żeby sprowadzić z powrotem jego żaloszny tyłek, i czy teraz czuła jakąś satysfakcję z tego, że go namierzyła.

Chciałby mieć pieniądze. Gdyby je miał, mógłby wrócić do Indianapolis z godnością, zapłacić zaległe alimenty i błagać dzieci, by mu wybaczyły. Ale nie próbowałby powrócić do Sam. To nie miałyby sensu.

Mitch pomasaował skórę pod oczami, podrapał się po zapuszczonej brodzie. Wiedział, że nie może wrócić tak zaniedbany.

Miał dwie możliwości i żadna z nich nie przedstawiała się zachęcająco. Mógł oddać się w ręce policji i iść do więzienia lub znów się przeprowadzić. Ale był zbyt wyczerpany, by pożyczyć od kogoś ciężarówkę i po raz kolejny prosić o pomoc przy transportowaniu pieców i przyrządów. Nie chciał też szukać jeszcze mniejszego miasteczka w innym stanie, gdzie mógłby uchodzić za ekscentrycznego artystę, który pragnie, by zostawiono go w spokoju. To było kłamstwo. Wcale nie chciał, by zostawiono go w spokoju. Chciał zobaczyć dzieci i wrócić do domu, ale popełnił za dużo błędów, żeby to było możliwe.

Mitch położył się na starym pojedynczym łóżku na tyłach budynku i zasłonił rękami oczy. Trzy lata temu dusił się, żyjąc w kłamstwie. Porzucił Sam, żeby wyruszyć w swoją wielką podróż. Ale wszystko zrobił źle. Zranił wielu ludzi. Teraz – pięć stanów dalej i sześciu, wcale nie takich wspaniałych, kochanków później – miał siedemdziesiąt dolców w gotówce, komórkę na kartę z doładowaniem, dostęp do komputera w bibliotece publicznej, krótko

mówiąc, brakowało zachęty, by dalej żyć. Kokaina nie była już najważniejsza –zadziwiające, jak brak pieniędzy i dojścia do towaru mógł wyleczyć z nałogu.

Niemalże chciał, żeby ta kobieta z zastrzeżonym numerem telefonu zadzwoniła ponownie. Wtedy przynajmniej wiedziałby, co go czeka. Westchnął. Doszedł do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli poleży, poczeka i przygotuje się na pukanie do drzwi; nieważne, kto będzie po ich drugiej stronie.

RS

Rozdział dziesiąty

Grupa świętowała pierwszy dzień przerwy świątecznej w jednej z ulubionych restauracji. Dakota jako jedyny z całego towarzystwa był podekscytowany ludźmi otaczającymi ich stół i śpiewającymi serenadę. Restauracja El Sol znana była z dobrego, taniego jedzenia i kiepskiej muzyki. Maluch podskakiwał na krześle i klaskał z zapamiętaniem, kiedy trzyosobowy zespół przedstawiał własną interpretację *La Cucaracha*.

– Naprawdę, mam wrażenie, że twój narzeczony się w tobie durzy – powiedziała Monté, zniżając głos do szeptu. – Lepiej uważaj na niego. Myślę, że nie starczy ci sił, żeby odpierać ataki takiego faceta.

Sam niemal zachłusnęła się mrożoną herbatą.

– O co ci chodzi? – Upewniła się, że Greg, Lily i Simon są zajęci własnymi sprawami, a później wyszeptała: – Sugerujesz, że nie mam na tyle silnej woli, żeby odmówić Jackowi Tolliverowi?

Monté odchyliła się na jaskrawo pomalowane krzesło i mrugnęła. Milczała, ale jej oczy mówiły wszystko.

– Naprawdę, Monté. To masz na myśli?

– Owszem. Uważaj na siebie.

Sam pociągnęła łyk mrożonej herbaty, by zyskać na czasie. Przez wszystkie lata, od kiedy się poznały, nie miała sekretów przed swoją najbliższą przyjaciółką. Monté wiedziała wszystko o jej życiu, nawet o jednorazowej przygodzie z architektem Billem. Bolało Sam, że nie może jej wyjawić, co się dzieje między nią a Jackiem. Że pierwszy ich pocałunek był niesamowity i że pierwszy raz w wieku trzydziestu sześciu lat seks sprawiał jej tyle radości. Rozmawiali o tym długo z Jackiem i doszli do wniosku, że swoje schadzki

utrzymają w tajemnicy. Tak, żeby mogli się sobą nacieszyć i zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie, nie martwiąc się przy tym, kto wie, kto komu co powiedział i kto potwierdził lub zaprzeczył. Poza tym nie chciała, żeby dzieci uważały, że ją i Jacka łączy coś poważnego, co nie minie po sześciu miesiącach. Chciała im zaoszczędzić późniejszego rozczarowania. Postanowili z Jackiem, że jednym ludziom pozwolą myśleć, że naprawdę się kochają, innym, że jest to gra, a sami postarają się czerpać z tego jak dwoje dorosłych ludzi.

– Poradzę sobie z Jackiem Tolliverem – powiedziała Sam i próbowała uśmiechnąć się, żeby ukryć fakt, iż to nieprawda. Oczywiście Monté miała całkowitą rację, Sam była za słaba, żeby odierać zaloty tego mężczyzny, i szczerze mówiąc, nawet nie chciała próbować.

Był zabawny, czarujący, seksowny i interesujący. Był i miała sześciomiesięczną gwarancję, że pozostanie. Na kogoś takiego z pewnością poleciałaby niejedna samotna kobieta.

– Po prostu nie chcę, żeby cię skrzywdził, Sammy. Ten facet całym sobą woła, że jest pożeraczem damskich serc.

– Dziękuję ci.

Monté zmieniła temat, zadowolona, że przestrzegła Sam przed bolesnym doświadczeniem.

– Jaki masz plan na czas przyjazdu żoły? Zamierzacie zostać w domu?

Greg i Simon zaśmiali się i Sam uświadomiła sobie, że dzieci się przysłuchiwały ich rozmowie. Sam wyciągnęła i podała gitarzyście pięciodolarówkę, życzyła kapeli wesołych świąt i miała nadzieję, że zrozumieją aluzję.

– Czy nazwałaś matkę Jacka żołą? – spytała zaskoczona Lily.

– Wydaje mi się, że ona i Jack nie są z sobą blisko – zauważyła Monté.

– Nie sędę nawet, żeby ją lubił – powiedział Simon – ale nie rozumiem, jak mężczyzna może nienawidzić własnej matki, choćby doprowadzała go do szału.

– Dobrze cię wychowałam – odparła Monté.

Po lunchu zapakowali się do vana Sam i pojechali na plac z choinkami niedaleko centrum handlowego na Lafayette Square. Wybrali wysoki – prawie metr osiemdziesiąt – świerk niebieski i wrzucili go do bagażnika. Kiedy wrócili do Sunset Lane, zobaczyli, że Jack ustawił stojak w salonie, tak jak obiecał. Razem osadzili choinkę. W tym czasie Dakota, na którego nikt nie zwracał uwagi, otworzył pudełka z ozdobami choinkowymi i usunął wszystkie zaczepy, które znalazł na ozdobach, po czym z dumą oświadczył:

– Pomagam, mamusiu! Widzisz?

Spędzili popołudnie, pływając w basenie, słuchając świątecznej muzyki, pakując prezenty i układając je pod drzewkiem. Monté zrobiła swojego słynnego kurczaka i kluski, a na deser czekoladowe ciasto. Rozpalili ogień w wielkim kominku. Dzień upłynął Sam pod znakiem błogostanu i bezpieczeństwa; popatrzyła na twarze dzieci oświetlone lampkami choinkowymi. Dale leżał pogrążony w psich snach przy kominku. Chciała namalować to, co widzi.

– Po świątach zamierzam wrócić do malowania – powiedziała głośno. – Gdy tylko znajdę miejsce na sztalugi.

Monté pociągnęła łyk kawy bezkofeinowej i uśmiechnęła się.

– Zastanawiałam się, kiedy to nastąpi.

– A to oznacza, że ty znów musisz zacząć śpiewać – droczyła się z nią Sam.

– Hmm, no cóż, nie wiem, jak duże jest zapotrzebowanie na wokalistki z zespołem cieśni nadgarstka i żyłakami.

Zaśmiały się, doskonale wiedząc, jak może odbić się na kobiecie trzynaście lat pracy za krzesłem do stylizacji.

– Po prostu ciesz się, że możesz odpocząć od tego, Sammy.

– Och, cieszę się. – Spojrzała na Monté z uwagą i miłością. – Nie mogę się doczekać, kiedy jutro wieczorem otworzysz swój prezent.

Głęboki głos Jacka rozległ się po pokoju:

– Och tak? Masz dla mnie coś fajnego?

Puls Sam natychmiast przyspieszył i zerwała się na równe nogi.

– Pan Jack! – Dakota w podskokach pobiegł do Jacka. Zanim Sam zdążyła go zatrzymać, wskoczył na ręce Jacka, ten go złapał, szybko uściskał i postawił z powrotem na ziemi.

– Cześć, Ben, jak leci?

Monté zmarszczyła brwi, a Sam odpowiedziała wzruszeniem ramion. Przekonanie Jacka, że z powodu imienia Dakota nie chce sikać do nocnika, było śmieszne. Dziecko zdawało się nie zwracać uwagi na to, że mówi do niego Benjamin, więc chyba nie było w tym nic złego.

Dale zaczął szczekać i Sam podniosła się z kanapy, żeby zaprowadzić go do pokoju Floryda, jego oficjalnego więzienia. Kiedy mijala Jacka, mrugnął do niej i wyszeptał:

– Cześć, słodziutka.

Jack został przez większość wieczoru i bawił się ze starszymi dziećmi. Wspomniał Sam, że jutrzejszego dnia będzie pracował na górze w południowym skrzydle. Sam doszła do wniosku, że ma to coś wspólnego z przyjazdem Marguerite.

– Jesteś pewien, że twoja matka nie będzie miała nam za złe, że tutaj spędzimy święta?

Jack pokręcił głową i uśmiechnął się do Sam.

– Prawdopodobnie pokaże się na chwilkę, pogada i wyjdzie. Na ogół w Wigilię uczestniczy w nabożeństwie w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim, a potem idzie na mały toast do burmistrza.

– Po prostu nie chcę się narzucać.

– Sam, to jest wasz dom do maja.

Pół godziny później odprowadziła Monté i Simona do drzwi, położyła Dakotę do łóżka i wysłała Lily i Grega na górę. Kiedy wróciła do pokoju, Jack pałaszował ciasto czekoladowe.

– Potrafisz też piec? Mój Boże. Wyjdiesz za mnie? Sam uśmiechnęła się i usiadła na kanapie obok niego.

– Monté upiekła ciasto. Przekażę jej twoją ofertę.

– Tęskniłem za tobą – powiedział i odstawił talerzyk na szklany stolik do kawy. – Dziwnie się czułem przez kilka dni, kiedy nie było cię przy mnie.

Sam wiedziała, co miał na myśli. Czuła to samo, więc pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Naprawdę chciałbym dziś iść z tobą na randkę – powiedział z uśmiechem. – Cały dzień myślałem o tym, jak bardzo chcę iść z tobą na randkę.

Sam zaśmiała się i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po ramieniu. Jack miał na sobie džinsy i czarny kaszmirowy sweter pod szyję. Był odprężony i pociągający.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę iść dziś na randkę – wyszeptała. – Nie mogę przestać myśleć o naszej ostatniej randce.

Nagle znalazła się na jego kolanach i zanim zdążyła pomyśleć, co się dzieje, wziął ją w ramiona i pocałował. Przyjemność i żar rozpląnęły się po jej ciele, oładnęło ją poczucie przynależności do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Jego ręce błądziły po jej włosach i ciele. Oparł je na jej biodrach, przejechał po brzuchu i zaczął się dobierać do guzików niebieskiego sweterka.

– Mam dla ciebie prezent i chciałbym, żebyś otworzyła go dziś, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Sam odsunęła się, by spojrzeć mu w twarz. Zamrugła zdziwiona. Nawet nie przyszło jej do głowy, że Jack może jej coś ofiarować na święta.

– Ale ja nic nie mam...

Znów ją pocałował, ułożył wygodnie i zaczął całować po szyi. Delikatnie ją ugryzł.

– Ten prezent właściwie jest bardziej dla mnie niż dla ciebie. –Po tych słowach sięgnął za jedną z poduszek leżących na sofie i wyciągnął pudełko elegancko zapakowane w srebrno–złoty papier ze znakiem wodnym, owinięte szeroką srebrną kokardą.

– Teraz?

– Jeśli chcesz. Miałem nadzieję, że włożysz to na dzisiejszą randkę.

Sam położyła pudełko na kolanach i przez chwilę mu się przyglądała. Nie miała pojęcia, czy to myślenie życzeniowe, czy złudzenie, ale zastanawiała się, jak ktokolwiek mógł uważać Jacka za palanta. Był dla niej słodki i szczodry. Jego spojrzenie nie wskazywało, by traktował ją jako chwilową rozrywkę. Lekko przechylił głowę, kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu, a oczy złagodniały – to wszystko niemalże sugerowało, że się w niej zakochuje.

– Wszystko w porządku, Sam?

– Hmm? Och, oczywiście. Zaraz otworzę.

Pakunek niewiele ważył i niemal była pewna, co znajdzie w środku. Odwinęła papier, otworzyła pudełko i odsłoniła chustę, pod którą skrywała się czerwona satyna i koronki. Musnęła palcami tkaninę i zauważyła, że jest droga i skąpa.

Jack dotknął jej ręki.

– To będzie równie wygodne, jak ładne. Widzisz? Nie ma żadnych szwów, żeby nie obcierały.

Sam patrzyła zafascynowana, jak Jack delikatnie pogładził wnętrze stanika.

– Chciałem, żebyś czuła się tak piękna, jak jesteś.

Kropelka wody pojawiła się na majtkach i Sam uświadomiła sobie, że płacze. Dotąd żaden mężczyzna nie kupił jej bielizny. A ściśle rzecz biorąc, żaden mężczyzna do tej pory nie troszczył się o to, czy szwy w staniku obetrą jej skórę. Ten mężczyzna był naprawdę darem niebios dla kobiet albo wyjątkowo sprytnym kombinatorem. Kto pomógłby jej wybrać, która z tych opcji jest prawdziwa? Nie powinna mieć sekretów przed Monté, ale teraz już na to za późno.

– Kochanie, jesteś jak ferrari ze sprawnymi tylko dwoma cylindrami. – Stał łyż z jej policzka. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak twoje krągłości uwalniają się dla mnie.

Sam przytaknęła. Wstała z kanapy i poszła do damskiej toalety. Zdjęła dzinsy i sweter, a także bieliznę, żeby włożyć tę od Jacka. Jeszcze raz musiała to przyznać. Stanik i stringi leżały idealnie. Piersi jej się uniosły, a sutki niemal wystawały zza brzegów stanika. Trójkąt majtek ledwo zasłaniał wzgórek

lonowy. Obróciła się, żeby obejrzeć się w lustrze. Zobaczyła cienki paseczek satyny, który niknął między pośladkami.

Westchnęła z zadowoleniem, poprawiła włosy i wróciła do salonu, uśmiechając się, ponieważ wiedziała, że jest piękna, jest seksbombą. Lub w najgorszym razie chwilową dziewczyną Jacka Tollivera, ale przynajmniej miała świetny tyłek. I w zasadzie tylko to ją interesowało.

Powoli przeszła na swoje miejsce, nie odrywając wzroku od Jacka. Obliznął z niecierpliwością usta. Podeszła do kanapy, usiadła mu na kolanach i przesunęła ręką po jego przyciętych włosach. Zaczęła się o niego ocierać. Patrzyła, jak odchylił głowę do tyłu i oparł na poduszkach.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał.

– Dziękuję. Cieszę się, że podoba ci się twój prezent.

Czuła na sobie jego palące spojrzenie. Kiedy wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej piersi, Sam poczuła rozkosz rozchodzącą się po ciele. Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła.

– W tym roku byłem bardzo grzecznym chłopcem – powiedział.

Jakiś głośny bliżej nieokreślony dźwięk zmusił ich do tego, by podnieśli głowy i odwrócili się zaskoczeni. Zeskok z kolan Jacka i schowanie się za wielką choinką zajęło Sam dokładnie sekundę. W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że właśnie w towarzystwie matki Jacka przeżywała najseksowniejszy moment w życiu.

Pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć.

To niemożliwe. Jack zacisnął powieki, ponownie je otworzył. Tak, była tam MDT, w całej swojej okazałości, wyprostowana, w futrze z norek, z twarzą bez wyrazu i ściągniętymi ustami. Dwie duże walizki Luisa Vuittona stały przy stopach jej kierowcy.

Jack martwił się o Sam. Przez gałęzie choinki widział bosą stopę i kostkę, reszta była dobrze ukryta. Może Marguerite pomyśli, że jej się przywidziało.

- Przepraszam, że przeszkadzam.
- Miałaś przyjechać jutro rano.
- Złapałam wcześniejszy samolot.

Jack zobaczył, jak stopa Sam porusza się niespokojnie. Prawdopodobnie było jej zimno i na pewno była zażenowana. Wstał.

- Odprowadzę cię do twojego pokoju.

– Nie ma potrzeby. – Marguerite wskazała kierowcy, żeby za nią poszedł po schodach na górę. Jack patrzył na matkę. Chociaż raz w życiu chciałby zobaczyć jej prawdziwe oblicze. Chciałby zobaczyć, jak pęka, krzyczy na niego i wyzywa go od najgorszych. Nigdy – nawet wtedy, kiedy umarły bliźniaki – nie zauważył, by wypadła z roli. Nigdy nie podzieliła się z nim swoją wściekłością czy bólem. Miłością też nie. Zawsze miał do czynienia z jej spokojną wyniosłością i cierpkim osądem. I nienawidził tego.

– Powiedz panie Monroe, że rano spodziewam się bardziej oficjalnej prezentacji – powiedziała.

Sam udało się uniknąć spotkania z Marguerite w Wigilię. Rano obudziła dzieciaki i zabrała je na śniadanie do City Market. Później poszli do małego centrum handlowego, w którym Lily i Greg robili jakieś zakupy, a Sam długo stała z Dakotą w kolejce do Świętego Mikołaja. Potem wybrali się do kina. Lily i Greg obejrżeli jakiś film akcji, a ona z Dakotą kreskówkę Disneya. Następnie udali się na kręgle i na obiad.

– Mamo, o której mają przyjść Monté i Simon? – spytała Lily, jedząc chińszczyznę. – A jeśli się pojawiają, zanim wrócimy? Czy mama Jacka ma dziś przyjechać?

– Ona już jest – powiedziała Sam od niechcienia, jakby teraz przypomniała sobie o tym drobnym szczególe. – Przyjechała wczoraj późno w nocy.

– Och! – Greg odłożył widelec. – Czyli już poznałaś żołą? Sam pochyliła się w stronę Dakoty, który dobierał się już do piątego ciasteczka z życzeniem.

– Nie poznałam jeszcze pani Tolliver. Zerknęłyśmy na siebie, zanim poszła się rozpakować. Ale nie rozmawiałyśmy.

– Aha, to dlatego mamy dziś taki rodzinny dzień. – Lily uśmiechnęła się znacząco.

Na koniec Sam wstąpiła do sklepu spożywczego. Wzięła ostatnią butelkę ajerkoniaku i ostatnie opakowanie ciasteczek świątecznych, które wyglądały na połamane, i pojechali do domu. Samochód Monté stał na podjeździe. Sam modliła się, żeby okazało się, że Marguerite poszła do kościoła.

Weszli do domu przez garaż i od razu skierowali się do kuchni, gdzie zastali tylko Monté, Jacka i Simona. Jack uśmiechnął się szeroko, kiedy ich zobaczył.

– Wesołych świąt! – powiedział.

– Przepraszam za niewielkie spóźnienie.

– Nie chcieliśmy zobaczyć podstarzałej pani – dodał Dakota. Dokładnie w tym momencie do kuchni weszła pani Tolliver. Sam zapragnęła zwinąć się w kłębek i umrzeć.

– Wygląda na to, że zawsze przychodzę w czasie zabawy.

Matka Jacka skierowała świdrujące spojrzenie na Sam. Marguerite miała zielone kocie oczy Jacka, ich kształt wskazywał, że odbyła o kilka wycieczek za dużo do chirurga plastycznego. Była chuda, nosiła ubrania od znanych

projektantów za tysiące dolarów, to samo dotyczyło butów i dodatków. Sam próbowała sobie przypomnieć, co dziś na siebie włożyła – które džinsy i który sweter – i zaczęła prezentację. Dzieci na szczęście potraktowały Marguerite z szacunkiem. Ale kiedy doszło do przedstawienia Monté i Simona, Sam trudno było zachować kamienny wyraz twarzy. Doskonale wiedziała, co się dzieje w głowie jej przyjaciółki. He razy z tego żartowały w Le Cirque?

Marguerite śmiała się w duchu z fryzury Monté, którą radośnie nazwała „paź z piekła rodem lub na bogatą dziwkę”. Włosy z tyłu miała krótko przycięte, te z przodu odgarnięte z czoła sterczały do góry w sposób zaprzeczający wszelkim prawom fizyki. Wyglądały, jakby były przytrzymywane kilkoma warstwami poliuretanu. Natomiast Sam i Monté zawsze się dziwiły, jak kobiety, które mają pieniądze, niemal obsesyjnie trwają przy złych fryzurach, odmawiają jakichkolwiek zmian.

Fryzura Marguerite była wprost okropna, a włosy zniszczone. Była wypłowiałą blondynką, a jej włosy przez tyle lat wybielane wyglądały jak wysuszone w suszarce kłaczki. Ta kobieta potrzebowała natychmiastowej pomocy.

– Bardzo miło panią poznać – powiedziała Monté do Marguerite, starając się nie patrzeć na Sam.

Rozległo się echo dzwonka przy drzwiach frontowych i Marguerite powiedziała:

– To powinien być mój kierowca. Miło było poznać was wszystkich. Samantho, czy możesz mnie odprowadzić do drzwi?

– Z przyjemnością to zrobię – szybko zaproponował Jack.

– Nie, nie. Chcę chwilę побыć sam na sam z Samanthą, zanim zajmujemy się naszymi spotkaniami. – Marguerite skierowała swoje spojrzenie na Sam. – Możemy?

– Mamo, naprawdę nie ma potrzeby, żeby...

– Zajmę się tym, Jack – powiedziała Sam. – Z przyjemnością odprowadzę twoją mamę.

Nic dobrego z tego nie wyniknie, Sam to wiedziała i wiedziała też, czemu Jack próbował ją przed tym chronić. Ale Sam nastawiła się psychicznie i poszła za Marguerite do wielkich, łukowatych drzwi frontowych. Matka Jacka oznajmiła kierowcy, że zaraz przyjdzie, i odwróciła się do Sam z lodowatym uśmiechem.

– Więc jak to jest, panno Monroe? Jesteś oblubienicą Jacka czy jego pracownicą? Muszę przyznać, że trudno mi się w tym rozeznąć.

Sam otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie Marguerite zerknęła na jej dłoń, zobaczyła pierścionek i wzdrygnęła się. Powoli podniosła wzrok na Sam i posłała jej piorunujące spojrzenie.

– Mam ci tylko jedną rzecz do powiedzenia, Samantho, i wysłuchaj mnie uważnie. Nie nabijaj sobie tej pustej główki marzeniami o tym, że w jakiś sposób zastawisz sidła na mojego syna. To tylko przejściowy układ. Nie przyzwyczajaj się. Zrozumialiśmy się?

Sam zamrugała oszołomiona. W pracy miała do czynienia z kobietami takimi jak Marguerite. Wierzyły one, że pieniądze i pozycja dają im prawo do traktowania ludzi jak służących. A to była tylko rozgrzewka przed pojedyńkiem. Marguerite Dickinson Tolliver była bestią i Sam uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, od razu stało się jasne, dlaczego Jack miał tyle kobiet, a po drugie, to cud, że zachował jeszcze jakiegokolwiek dobre cechy.

– Masz mi coś do powiedzenia, panno Monroe? Cokolwiek to jest, posłucham.

Sam odchrząknęła. Pewnie, że miała kilka rzeczy do powiedzenia. Chciała przeprosić za to, że tak niefortunnie rozpoczęła się ich znajomość. Chciała jej powiedzieć, że nie ma prawa traktować jej tak protekcyjnie. Chciała też powiedzieć, żeby trzymała się z daleka od jej dzieci, albo inaczej skopie jej tyłek. Ale najbardziej chciała powiedzieć Marguerite, że to, co jest między Jackiem i Sam, nie jest jej sprawą.

Powiedziała tylko:

– Ktokolwiek zajmował się pani włosami, powinien za to odpowiedzieć.

– Co jej powiedziałaś?

Jack usiadł ze skrzyżowanymi nogami i przyglądał się Sam z namysłem. Od początku się nie pomylił w ocenie jej osoby. Była twarda. Każdy, kto stawał oko w oko z MDT, powinien dostać sowitą nagrodę albo medal.

– Wiem, że mogłam zachować się bardziej dorośle, w końcu to twoja matka i to jest jej dom, ale nie mogłam się powstrzymać. Wkurzyła mnie.

Jack się uśmiechnął. To były najlepsze święta, jakie do tej pory spędził. Świetnie się bawił, patrząc, jak dzieciaki rozpakowują prezenty, przyglądają się sobie, zdejmują opakowanie z komputerów, iPodów, ubrań, rozpakowują płyty i zabawki. Wszystkie podziękowały uprzejmie Jackowi za bony dużej wartości. Simon uściskał mu rękę i powiedział:

– To było miłe z pana strony. Dziękuję.

Greg serdecznie poklepał Jacka po ramieniu, a Lily uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Benjamin i Monté uściskali go i dali mu po buziaku, chociaż ten od Benjaminą był znacznie bardziej mokry niż od Monté.

Najlepszy moment wieczoru nadszedł, kiedy Monté otworzyła prezent od Sam. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy trzymała numer „Indianapolis Monthly” z nagłówkiem: „Gdzie są mężczyźni: dziesięciu najgorętszych samotnych facetów w mieście, z którymi można się umówić!”.

– Kupiłaś mi magazyn sprzed dwóch miesięcy pod choinkę? – spytała Monté z niedowierzaniem. – A może zwinęłaś go z salonu?

Sam zaśmiała się i powiedziała, żeby otworzyła magazyn na zaznaczonych stronach. Wszyscy patrzyli, jak Monté czyta, śmieje się, a później otwiera kopertę, wetkniętą do środka. Przetarła oczy i westchnęła.

– Co dokładnie chcesz, żebym zrobiła? Mam wreszcie zająć się sobą? Czy mam użyć tego karnetu do ekskluzywnego klubu fitness, żeby poderwać tam jakiegoś seksownego wolnego faceta?

– Wszystkie rzeczy, które wymieniłaś, kochana – odpowiedziała Sam. Objęły się i płakały przez jakieś dziesięć minut. Jack wykorzystał ten czas, żeby pomóc dzieciom uruchomić komputery.

Jack zostawił wręczenie prezentu Sam na tę chwilę, kiedy wszyscy poszli spać na górę do północnego skrzydła. Monté i starsze dzieci podpowiedziały Jackowi, co sprawi przyjemność Sam. Ale nie udało mu się tego przygotować bez pomocy Monté. Teraz wszystko było gotowe i Jack nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć wyraz twarzy Sam.

– Jesteś gotowa na przyjęcie prezentu? – spytał. Sam zmarszczyła czoło zaskoczona.

– Dostałam prezent wczoraj.

– Nie. To była tylko przystawka, poza tym bardziej dla mnie niż dla ciebie. Ten prezent jest wyłącznie dla ciebie. Chodźmy go obejrzeć.

Wstał i wyciągnął rękę do Sam. Kiedy weszli głównymi schodami, chciała skrócić do skrzydła dla gości, ale poprowadził ją gdzie indziej.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Zamknij oczy, Samantho – powiedział, kiedy dotarli do holu w południowym skrzydle. – Powiem ci, kiedy będziesz mogła je otworzyć.

Drzwi zaskrzypiały ciężko i Jack zanotował w pamięci, żeby naoliwić zawiasy. Zapalił światło i rozejrzał się. Miał nadzieję, że jej się spodoba. Monté zapewniła go, że z pewnością.

– Nie patrz jeszcze przez chwilę. Bez podglądania.

Jack zapalił jeszcze dwie lampy o dużej mocy, które kupił w sklepie z przyborami do malowania, później upewnił się po raz ostatni, że wszystko jest na swoim miejscu. Odwrócił się do niej i złapał ją za rękę.

– Wesołych świąt, Sam, możesz już otworzyć oczy.

To nie była reakcja, której się spodziewał. Sam stała bez ruchu, na jej twarzy malował się ból, a łzy płynęły po policzkach. Potrząsnęła głową i wymamrotała:

– Nie, nie, nie...

– Nie podoba ci się? Miałem nadzieję, że...

– Mój Boże, Jack. – Przeszła na środek pokoju, wciąż kręcąc głową z niedowierzaniem. Patrzył, jak dotyka sztalug i stołu do pracy i podchodzi do zlewu. Później zauważyła, że podłoga jest pokryta wodoodpornym płótnem. Zerknęła na trzy kozły do cięcia drewna, każdy długości dwóch metrów. Podeszła do każdego z trzech okien bez zasłon, zatrzymała się przy ostatnim, oparła ręce na parapecie i wyjrzała w mrok nocy.

Jack zorientował się, że ona wciąż płacze, ale miał nadzieję, że są to łzy zaskoczenia i szczęścia. Nie chciał jej urazić. Chciał jedynie, żeby jak najlepiej wykorzystała nadchodzące miesiące.

W końcu Sam odwróciła się. Patrzyła na niego ze złością. Skrzyżowała ramiona na piersi i podeszła do niego. Stał przy drzwiach.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ja... Co masz na myśli?

Ruchem ręki wskazała wszystko to, co ich otaczało.

– To wszystko! To jest niepotrzebna rozrzutność. Mogłabym sobie znaleźć jakiś kącik i...

– Monté powiedziała, że masz zamiar pracować na dużych płótnach. Chciałem ci zapewnić wystarczająco dużo przestrzeni i światła.

Sam otworzyła szerzej oczy ze zdumienia.

– Znalazłem te kozły w komórce w ogrodzie i uznałem, że mogą się przydać. To był pokój mojego taty, kiedy był dzieckiem, dlatego jest tu zlew i łazienka. Pomyślałem, że świetnie się nadaje na pracownię.

– Czy Marguerite o tym wie?

– Nie.

Sam zaśmiała się i potrząsnęła głową.

– Lubisz to, prawda? Wykorzystujesz mnie i dzieciaki do utarcia jej nosa.

Jack popatrzył uważnie na Sam.

– Być może masz rację. Ale nie zrobiłem tej pracowni, żeby wkurzyć MDT. Zrobiłem to dla ciebie. Proszę, uwierz mi.

Sam kiwnęła głową.

– To po prostu za wiele.

– Wcale nie za wiele. – Jack przytulił Sam. Pocałował jej włosy. – Zaslługujesz na to, Sam. To coś, o czym marzyłaś od dawna, i ja mogę ci to dać. Proszę, przyjmij prezent.

Przytuliła go mocno i oparła twarz o jego pierś. Stali tak objęci, a on czuł, jak jej oddech powoli się uspokaja.

– Boję się – powiedziała, jej głos był przytłumiony przez sweter. Odsunęła się trochę i spojrzała mu uważnie w oczy.

– Boję się ciebie, Jack. Jesteś tak dobry i tak działasz na mnie – niesamowity seks, urocza troskliwość, uwaga, romantyzm, dbanie o moje szczęście. – Zaśmiała się i potrząsnęła głową. – Znam cię niecałe dwa miesiące i zaczynam tracić grunt pod nogami, Jack. Jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać, będziemy mieli naprawdę duży problem. Zakocham się w tobie.

Jack poczuł, jak jego serce zamiera. Przechodził przez to wiele razy i to był sygnał, że czas odejść. Nigdy nie chciał, żeby jakaś kobieta go pokochała. Nie ufał tym, które zarzekały się, że go kochają. Nie chciał miłości, zaangażowania i całego towarzyszącego temu ryzyka. Ale z jakiegoś powodu tym razem było inaczej. Nie chciał uciekać od Sam Monroe. Ani trochę.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Uświadomił sobie, jaką ogromną przyjemność sprawiło mu jej wyznanie.

Kolejna tajemnica.

– Nie musisz się bać, Sam. I wcale nie dam ci tego wszystkiego, ponieważ jestem dobry. Szaleję za tobą i nie wiem, jak to się stało, że znalazłem szczęście.

Pocałował ją. Było cudownie trzymać Sam w ramionach i całować w usta. Pasowała idealnie. Zrozumiał, że coś się w nim zmieniło. Poczuł, że to

wszystko, co się z nią wiąże, jest takie rzeczywiste. Miał przemożną chęć uszczęśliwić tę kobietę i sprawić, żeby była jego kobietą.

– Chodź ze mną do łóżka, Jack – wyszeptała. – Pozwól, że podziękuję ci za prezent.

Zgasili światła, zamknęli drzwi i w milczeniu poszli do pokoju Sam. Zamknął podwójne drzwi, rozpałił w kominku i zgasił światła. Przypomniawsobie noc podczas gołoledzi. Noc, kiedy jego serce zaczęło mięknać.

Zaniósł Sam do łóżka i powoli zaczął ją rozbierać, malutkie guziczki wcale nie były tak trudne do rozpięcia, jak mu się wcześniej wydawało. Gwałtownie wciągnął powietrze. Pod prostym sweterkiem Sam miała jego prezent. Widok wspaniałych piersi wystających spod czerwonej satyny był niesamowity. Ściągnął jej dzinsy, a następnie swoje ubranie, przesunął się na krawędź łóżka i spoglądał na nią, zastanawiając się, czy jego marzenie się urzeczywistni. Sam ugięła nogę w kolanie, oparła głowę na rękach i uśmiechnęła się do niego. Jej loki spływały na poduszki. Poczul się jakoś dziwnie, ale nie przejął się tym. Podczołgał się do niej i przykrył ją swoim ciałem. Wiedział, że nie może ukryć łez, ponieważ spływały po jej szyi.

– Nie dałam ci żadnego prezentu.

– Och, kochanie. Owszem, dałaś.

Christy leżała w łóżku, ponownie przeżywając zaskakujące wydarzenia wieczoru. Czekwała, aż ibuprom zacznie działać – ząb mądrości mocno dokuczał.

Na przyjęciu u burmistrza pojawiła się Marguerite Tolliver! Tak, ta kobieta umiała zachować spokój. Ale tylko dlatego, że kiedyś była żoną polityka. Wszyscy wiedzieli, że wciąż nie wypadła z tej roli, prawdopodobnie tak samo jak wtedy, kiedy rządził Gordon Tolliver.

Marguerite przysłała z Allenem Ditto! Ktoś, kto nie wiedziałby, że ci starsi państwo są przyjaciółmi od lat, mógłby sądzić, że są na randce. Był na każde jej zawołanie. Dbał o to, żeby miała pełny kieliszek, mimo że było mnóstwo ludzi z katering, którzy mogliby się tym zająć. I nie odstępował jej na krok.

Christy nie mogła się powstrzymać, żeby i tu nie zbierać informacji, nawet gdyby nigdy więcej miała nie dostać zaproszenia na przyjęcie do burmistrza. Istniała niepisana zasada, że na tego rodzaju spotkaniach należy zapomnieć o polityce. Jednak Christy uważała, że człowiek nie dojdzie do niczego w życiu, jeśli nie wykorzysta każdej nadarzającej się okazji.

Marguerite sprawiała wrażenie trochę chłodnej. Wyglądało to tak, jakby potrzebowała kilku chwil, żeby przypomnieć sobie Christy oraz to, że kiedyś zaprosiła ją na babskie zakupy do Chicago. Allen był jak zwykle sobą, szczery, uprzejmy, operował ogólnikami. Wydawało jej się, że właśnie dzięki temu przetrwał tak długo w senacie.

Zdecydowała, że pokręci się blisko Marguerite i może dowie się, co sądzi o przyszłej synowej. Warto było na to poczekać. Zastrzyki z botoksu nie zdołały zamaskować naturalnej reakcji na to pytanie. Jej twarz zastygła w maskę i Christy zauważyła, jak skoczyło jej ciśnienie, co dało się zauważyć na napiętej skórze szyi starszej pani.

Po przedłużającej się ciszy, w czasie której Allen dwa razy chrząknął, Marguerite uśmiechnęła się do Christy i odpowiedziała:

– Tolliverowie zawsze mieli doskonały gust, jeśli chodzi o kobiety.

Po tych słowach starsi państwo oddalili się, zostawiając Christy z dylematem, czy to był komplement, kiedyś i ją Jack wybrał, czy może zniewaga, bo przecież ją rzucił.

Christy przykryła się pod brodę i zamknęła oczy, uśmiechając się do siebie w ciemności. Wiedziała, że coś jest na rzeczy, ponieważ Marguerite wyraźnie nie czuła się pewnie, komentując informację o domniemanej narzeczonej Jacka. A Marguerite Tolliver nie unikała żadnych tematów.

Na pewno było coś na rzeczy i Christy dowie się tego, nawet jeśli miałyby to być ostatnia sprawa w jej życiu.

RRS

Rozdział jedenasty

Nastał dzień konferencji prasowej i Samantha była bardzo zdenerwowana. Dzieci zachowywały spokój. Jack zabrał Grega do swojego krawca, żeby kupić mu jego pierwszy garnitur. Chłopak wyglądał w nim dorośle. Lily zgodziła się włożyć „ubranie normalnych ludzi”. Nawet obiecała, że zrezygnuje ze srebrzystobiałego proszku antymonowego. W ciągu ostatniej półgodziny Sam już trzy razy odwiedziła łazienkę z Dakotą. Modliła się, żeby nie doszło do jakiejś wpadki ze zdejmowaniem spodni. Dakota przysiągł, że powie jej, kiedy będzie chciał siusiu, i wtedy zejda ze sceny.

– Nie ma problemu, mamusiu – zapewnił.

Kara ostrzegła ich, że reporterzy będą na nich czyhać wszędzie. Nawet kiedy pójda się napić czy skorzystać z toalety. I było dokładnie tak, jak mówiła. Sam i dzieci zachowywali się zgodnie z instrukcjami. Wiedzieli, że Jack zabrał ich, żeby obejrze delfinarium, a kiedy media go dopadną, by zapytać o polityczne plany, wspomni, że zdecydował się ubiegać o fotel senatora, a gdy nadarzy się okazja, wciągnie Sam i dzieci na scenę.

Stali niedaleko podium, nie kryjąc się, ale też nie wystawiając na widok. Marguerite siedziała w pierwszym rzędzie i Sam od czasu do czasu czuła na sobie jej mordercze spojrzenie. Z powodzeniem udało im się nie wchodzić sobie w drogę przez te dwa tygodnie, kiedy Marguerite w święta przeniosła się do hotelu, nie pokazując się, ku uldze wszystkich, w Sunset Lane.

Sam zerknęła na Grega i Lily i zauważyła, że zaczynają się denerwować. Marzyła, żeby już było po wszystkim. Kiedy kilka minut temu Jack przeciął wstęgę nowego delfinarium, rozpoczął się ogromny spektakl. Otoczyły ich światła kamer, reporterzy i flesze. Jack stał teraz na scenie i przemawiał,

opowiadał o zoo w Indianie, a potem dowodził, że współpraca sektora prywatnego i społeczeństwa może być podstawą rozwoju ekonomicznego.

Jak dotąd wszystko przebiegało według ustaleń. Sam patrzyła, jak Jack odpowiada na pytania z wdziękiem i humorem, nie zwracając uwagi na błyski fleszy i sporadyczne niegrzeczne okrzyki. Stał na podium w prostym czarnym garniturze, białej koszuli i ślicznym krawacie w abstrakcyjne niebiesko-zielone wzorki. Kara kilka dni zastanawiała się nad wyborem ubrania. Sam wydawało się to głupie, choć podejrzewała, że diabeł tkwi w szczegółach.

W końcu Jack ogłosił swoją kandydaturę. Reporterzy zaczęli się przekrzykiwać, Jack odpowiedział na kilka pytań, a później przypomniał, że to właściwie dzień zoo, a nie jego kampanii, i życzył wszystkim, by się dobrze bawili. W pewnej chwili ktoś krzyknął:

– Przedstaw nam chociaż swoją narzeczoną!

Jack zaśmiał się i zaprosił Sam i dzieci na podium. Wyciągnął rękę do Sam, kiedy szła po schodkach.

– To jest Samantha Monroe i jej dzieci, Greg, Lily i Dakota Benjamin.

Kolana Sam zaczęły drżeć. Starła się uśmiechać naturalnie, ale nie stała na scenie od czasów występu w drugiej klasie szkoły średniej, kiedy wystawiali *Bye Bye Birdie*. Wspomnienie tamtego występu sprawiło, że najchętniej by się przytrzymała czegoś, by nie zemdleć. Reporterzy nie przestawali krzyczeć. Sam była tak zaabsorbowana tym, co się dzieje, że ledwo zauważyła, że Dakota ciągnie ją za rękę.

Poczuła, jak Jack obejmuje ją, i była mu wdzięczna za wsparcie. Nie przestawała się uśmiechać.

– Jesteśmy zaręczeni.

Pytania posypały się lawinowo: *Jak się poznali? Kiedy planują ślub? Czy Jack zamierza adoptować dzieci?* Sam pomyślała, że chyba nie jest z nią wszystko w porządku, skoro się zgodziła na taki stres. I wtedy Greg wyszeptał jej do ucha ponaglająco:

– Mamo! Weź Ddakotę!

Tłum wybuchnął śmiechem, widząc, jak Sam próbuje zaradzić nieszczęściu. Jednym ruchem szarpnęła zapięcie w spodenkach Dakoty, poczuła mokrą pieluszkę, więc migiem sprowadziła go po schodkach i do łazienki.

Komentarz Jacka rozszedł się echem i wywołał ciepły, serdeczny śmiech tłumu zgromadzonego przy delfinarium.

– To czas nauki korzystania z nocnika, myślę, że jakoś sobie radzimy. Ci z państwa, którzy są rodzicami, z pewnością wiedzą, co mam na myśli.

– Mój Boże, to było genialne! Jesteś pewna, że nie mogę zrobić soft biospotu z Jackiem?

– Łagodnego czego?

Kara zaśmiała się. W ogóle dużo się śmiała tej nocy: kiedy wracali z zoo, kiedy dzieci pływały i gdy siedzieli teraz nad pizzą w kuchni. Kara zarzekała się, że Sam i jej gromadka zaczarowała tłum w Indianie. Sam potrząsnęła głową z niedowierzaniem – dotąd sądziła, że praca w salonie to dziwaczny sposób na życie!

– Czy to nie jest coś w rodzaju soft porno? – spytała Monté.

– Mniej więcej. Soft biospoty są zazwyczaj trzydziestosekundowymi telewizyjnymi reklamówkami, które nie mówią nic konkretnego. Raczej pokazują kandydata i jego charakter. Wiesz, jaki jest wrażliwy i uczuciowy. – Kara znów skoncentrowała się na pizzy i dalej ciągnęła z pełnymi ustami: –

Już wydaliśmy prawie milion dolarów, ale moglibyśmy jeszcze wydać trochę na takie spoty przed wyborami.

– Milion dolarów? – spytała zaskoczona Sam.

– Na przykład Jack jeździ z dziećmi na sankach. Albo rzuca fris-bee Dale'owi, albo chodzi z tobą na piesze wycieczki po Eagle Greek lub włóczy się po Brown County Park.

– Dlaczego nie sfilmujesz, jak Jack zmienia Dakocie dużą, śmierdzącą pieluchę?

– Mój Boże! To genialne! – Kara pociągnęła łyk dietetycznej coli z puszki. – Powinnaś zająć się polityką.

Monté powoli pokręciła głową.

– Jesteś szurnięta – powiedziała.

Kiedy przestali się śmiać i dzieci ulotniły się z kolejną porcją pizzy, Sam postanowiła, że upewni się, czy Kara ją usłyszała i dobrze zrozumiała.

– Mówię serio, dzieci nie wystąpią w żadnych reklamówkach. Wystarczy, że dziś były w telewizji. Teraz wszyscy wiedzą, że istniejemy. Dzieci nie muszą więcej paradować przed kamerą.

– Ale rozważysz taką możliwość?

Sam westchnęła. Wiedziała, że zgodnie z umową powinna występować w reklamówkach, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Tak. Ale chciałabym móc decydować o końcowym produkcie, ponieważ spoty będą leciały w telewizji po naszym rozstaniu z Jackiem i nie chciałabym, by były ckliwe i niedorzeczne.

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała jej rację Kara, kiwając zyczliwie głową. – W takim razie postaramy się, by było to dyskretne, ale o dużej sile rażenia. Zaczniemy za kilka tygodni.

Naturalne światło wpadające przez okna w pracowni było niezwykle i czasem Sam wyobrażała sobie, jak tu było w latach 30. dwudziestego wieku, kiedy ojciec Jacka był dzieckiem. Prawdopodobnie ściany wyłożono elegancką tapetą, w oknach wisiały ciężkie zasłony, a meble były bogato zdobione. Teraz pokój przeszedł całkowitą metamorfozę – ściany były białe, gołe okna, a podłogę zakrywało wodoodporne płótno. Jednak korzystanie z tego pokoju wydawało się Sam czystą ekstrawagancją. To była jej przestrzeń, wypełniona jej rzeczami. Tu przychodziła rozmyślać, odczuwać, marzyć i malować. Nie wiedziała, czy ten pokój był tak magiczny, czy ona była tak podekscytowana, w każdym razie to studio stało się błogosławionym azylem, do którego uciekała każdego popołudnia w czasie drzemki Dakoty i w ogóle, kiedy tylko mogła.

Od świąt Sam malowała kilka prostych obrazów i czuła się tak, jakby po latach znów zaczęła mówić w ojczystym języku. Czasami sprawiało jej to tak wielką radość, że płakała i czuła ulgę, bo wiedziała, że własnymi rękami coś tworzy. Jednak bywały dni, że czuła się sfrustrowana brakiem efektów, że tupiała i krzyczała. Któregoś dnia tę złość nazwała Mitch i kiedy spojrzała na to, co właśnie namalowała, ujrzała jego twarz. Sam wiedziała, że jej frustracja znajdzie kiedyś ujście, a umożliwi to praca na płótnie.

Przez wiele dni Sam malowała, błądząc myślami. Lily zaaklimatyzowała się w Park Tudor, znalazła sobie kilku miłych, nonkonformistycznych przyjaciół i znakomicie radziła sobie w szkole. Sam zawsze wiedziała, że Lily jest mądra, ale nie spodziewała się, że tak ją pochłonie nauka. Z radością na to patrzyła.

Greg miał problemy, co zaskoczyło Sam. Wprawdzie indywidualna terapia dawała dobre wyniki, doskonale też radził sobie w szkole, szczególnie z

historią. Bardzo brakowało mu jednak przyjaciela. Choć widywali się z Simonem kilka razy w tygodniu – zamknął się w sobie, przesiadywał godzinami w pokoju i czytał. Sam i Monté rozmawiały o przeniesieniu Simona do Park Tudor do szkoły średniej, nawet jeśli będzie to oznaczać większe czesne.

No i Dakota. Powinien wyrosnąć z pieluch, i to już wczoraj. Sam wiedziała, że ten czas jest już bliski i niedługo spotka ją nagroda, jednak nie mogła tego przyspieszać. Musiała zająć się szukaniem domu. Powinna też zwiększyć stawkę ubezpieczenia na życie i porozmawiać z Marcją o pracy w niepełnym wymiarze godzin, a to Marcji może się nie spodobać. Poza tym myślała o zatrudnieniu dobrego prywatnego detektywa, żeby znalazł Mitcha. Stać ją było na to. Czas zakończyć interesy ze swoim byłym. Czuła potrzebę działania.

Oczywiście cały czas nie przestawała myśleć o Jacku. Zajął miejsce w jej głowie i sercu i czasem czuła jego obecność i zapach, nawet kiedy nie było go w pobliżu. Wszystko wskazywało na to, że układa się im coraz lepiej – i bardziej skomplikowanie. Tygodnie na wpół oszukanych randek, spotkań związanych z kampanią i świetnego seksu mijały jak z bicza strzelił. Każdego dnia odkrywała, że ma na niego coraz większą ochotę, śmieje się z nim coraz więcej i poznaje go coraz lepiej. Nie było wątpliwości, że jest zakochana, ale się do tego nie przyznała. Mieli coś w rodzaju niepisanej umowy: nie rozmawiali o tym, jak będzie wyglądać ich życie po maju. Bała się tego, ale jednocześnie podobało jej się to.

W to środowe popołudnie w połowie lutego Sam pracowała w studiu, a Dakota spał. Rozważała różne pomysły i ze spokojem szkicowała. Pomyślała, że może czas coś zrobić z trzema wielkimi płótnami, które stały oparte o ścianę

w oczekiwaniu na natchnienie. Wiedziała, że nie powinna malować tryptyku przed prawyborami, kiedy będzie musiała pakować wszystko i szykować się do przeprowadzki. Nie ma co się spieszyć.

Delikatne pukanie do drzwi oderwało ją od szkicowania. Była pewna, że to pani Dyson, gospodyni, która często gawędziła z Sam wieczorem, zanim szła do domu. Ale to Jack wetknął głowę przez drzwi i uśmiechnął się do Sam. Zza pleców wyciągnął hortensję w doniczce i Sam poczuła radosne uniesienie.

Tak bardzo go kochała.

– Cześć, senatorze. – Odłożyła szkicownik i ołówek i uśmiechnęła się. Z przyjemnością patrzyła, jak idzie przez pokój – przez każdy pokój – i poczuła napływ pożądania, widząc, jak ten potężny mężczyzna narusza jej przestrzeń, tak jak naruszył jej serce.

Jack postawił doniczkę na parapecie i podszedł, żeby ją pocałować.

– Jak się ma moja słodka Sam?

– Dobrze.

– Mogę? – Czekał, aż się zgodzi, i wziął szkicownik. – Ojej. Co to jest? – spytał, marszcząc brwi.

Sam się zaśmiała.

– Abstrakcja. To ma raczej przedstawiać uczucie, a nie konkretną rzecz. Jak jeden z twoich trzydziestosekundowych biospotów.

– Dobrze to ujęłaś. Chodź tu, Samantho – powiedział, siadając na solidnym stole do pracy, i jej rękę zarzucił sobie na szyję. – Będziemy mogli zobaczyć taśmę w tym tygodniu. Kara ci powiedziała?

– Tak – odparła – jestem trochę zdenerwowana. Jack zachichotał.

– To nie będzie takie straszne. Po prostu spacerujemy ulicą w Bean Blossom, kiedy pada śnieg. Wprawdzie przebywaliśmy tam kilka godzin, ale oni wykorzystają jakieś trzy sekundy.

– Wiem.

– I nikt nie będzie wiedział, że pod marynarką miałaś biały obcisły top bez ramiączek.

– Nikt prócz ciebie – pocałowała go w policzek i zaśmiali się. Wystarczyło jak zwykle kilka sekund. Jack mocniej ją objął i przysunął do siebie.

– Mineły cztery dni, Sam.

– Pięć. Liczyłam.

– Ależ cię pragnę.

Sam zaczęła ściągać ubranie i zsuwać buty. Jack już stał nagi w popołudniowym świetle, Sam jęknęła na ten widok.

– Muszę cię namalować.

– Teraz? – spytał z paniką w oczach.

Sam zaśmiała się i usiadła na jego kolanach, zwrócona do niego twarzą.

– Nie teraz, głuptasie, ale wkrótce. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam, chciałam cię namalować.

– Tak? A ja od razu, jak cię zobaczyłem, chciałem niektórych rzeczy.

Sam oparła ręce na jego szerokich ramionach, poczuła dreszcz, ten sam, który czuła zawsze, gdy go dotykała. Spojrzała na tę przystojną twarz, uśmiechnęła się i zapytała:

– Jakich rzeczy?

– Na przykład chciałem cię pocałować.

I zrobił to. Pocałunek był mocny i gorący, czuła rosnące pożądanie, które rozpływało się po ciele. Wciąż ją zadziwiało, ile mógł działać jeden pocałunek Jacka.

– Chciałem dotykać każdego centymetra twojego ciała i mocno cię obejmować.

Oplótł ją rękami, po czym zaczął gładzić jej ciało – ramiona, plecy, pośladki, uda – pozostawiał elektryzującą ścieżkę na jej ciele, w każdym miejscu, gdzie jej dotknął.

Później złapał ją w talii i uniósł tak, że znalazła się akurat nad nabrzmiałym członkiem. Spojrzał jej w oczy.

– Sam, kochanie, mam ochotę cię osiąść w tej samej sekundzie, kiedy na ciebie spoglądam.

Opuścił ją odrobinę, nabrzmiały penis dotykał jej warg sromowych, drażnił je kolistymi ruchami.

– Lubisz się drażnić. – Nie spuszczała z niego wzroku, jego tortury sprawiały, że robiła się mokra. Patrzyła, jak cudowne zielone oczy nagle pociemniały i spoważniały. Zobaczyła, że drży mu broda.

– Wszystko w porządku?

Zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył i znów na nią spojrzał.

– Chcę cię kochać. Wiesz o tym? – Wszedł w nią, a ona jęknęła zaskoczona i uszczęśliwiona, poczuł, jak jej mięśnie zaciskają się na jego członku.

– Chcę wiedzieć o tobie wszystko, tak, żeby cię uszczęśliwić.

Trzymał ją za biodra i poruszał się w niej.

– Kochanie, chcę, żebyś była moja. Naprawdę, na zawsze.

– Kiedy doszedłeś do takiego wniosku?

Zaśmiał się.

– Teraz. Chcę, żebyś została, nie odchodź po maju. Proszę.

– Ale Jack... o mój Boże!

Delikatnie ugryzł ją w sutek, później w drugi, wciąż poruszając się w niej głęboko.

– Daj się skusić, Sam. Nigdy nie czułem czegoś takiego do kobiety. Nigdy. Sam, chcę...

– Cokolwiek chcesz, jest twoje.

– Chcę, żebyś urodziła mi dziecko.

Jack przestał się w niej poruszać zaśmiał się, znów odzyskał rytm.

– Jasna cholera! Chcę, żebyś urodziła mi dziecko!

Alarm, który rozległ się w głowie Sam, został przytłumiony przez orgazm. Znalazła się w krainie, gdzie nie liczyło się nic prócz Jacka, nic prócz tego, że był w niej i kochali się, że trzymał ją blisko i powtarzał jej imię.

Eksplodował razem z nią. W czasie kiedy łapali oddech, Sam dwa razy wyliczyła swój cykl menstruacyjny i doszła do wniosku, że to był najgorszy czas na uprawianie seksu bez zabezpieczenia. No, chyba że desperacko próbowała zajść w ciążę. Dziś byłby na to idealny dzień.

– Przepraszam, wiem, że powinienem użyć prezerwatywy.

– Tak, to byłoby rozsądne rozwiązanie.

– Jestem pewien, że wszystko będzie okej.

– Oczywiście.

Obejmowali się przytuleni, a potem Sam pocałowała Jacka w policzek i zeszła ze stołu, by się ubrać.

– Dakota wstanie za kilka minut.

Jack w ciszy zebrał ubranie i włożył na siebie.

– Jesteś na mnie zła – stwierdził.

– Nie. – Nagle Sam poczuła się wyczerpana, opadła na krzesło, spuściła głowę i popatrzyła na buty. – Nie zła, ale zdezorientowana. Całkowicie zdezorientowana tym, co właśnie powiedziałaś, tym, co właśnie zrobiliśmy, i tym, co w ogóle robimy. Co my robimy? Jack, zaczynam się zastanawiać, czy nam nie odbiło. – Podniosła na niego wzrok i zobaczyła, że przypatruje jej się z uwagą. – Starasz się, żeby cię wybrali, a nie pragniesz się zakochać i mieć dzieci.

Nieśmiały uśmiech pojawił się na ustach Jacka.

– Wiedziałem, że coś przegapiłem.

Sam starała się nie zaśmiać, ale nie wytrzymała.

– Jesteś niesamowity, Jacku Tolliverze. Czasem mam wrażenie, że nie chcesz, by cię wybrali. – Czekwała na jego komentarz, ale milczał, więc spytała:

– Więc jak? Chcesz tego?

– Nie wiem.

Sam wstała z krzesła zdumiona.

– Słucham?

– Powiedziałem, że nie wiem. Taka jest prawda.

Jack podszedł do okna, zaplótł ręce z tyłu pleców i zapatrzył się na zimowy popołudniowy krajobraz.

– Czy samochód z Park Tudor nie przywiezie niedługo Grega i Lily?

– Za jakieś pół godziny. A teraz powiedz mi, co się dzieje. Czemu się pakujesz w coś, czego nie jesteś pewien, i czemu wydajesz miliony dolarów na coś, w co niekoniecznie chcesz się zaangażować.

– Wykonuję tylko pracę dla senatu.

– Tylko, ale czy naprawdę chcesz tam się znaleźć? Bo jeśli nie, to nie powinieneś kandydować.

Jack odwrócił się, oparł się o parapet i pokiwał głową.

– W życiu naprawdę chciałem grać w futbol, Sam. Chciałbym, żebyś znała mnie wtedy. Korzystałem z życia, byłem naprawdę szczęśliwy.

Zamilkł, jakby wyczerpał temat.

– Zostań i porozmawiaj ze mną, Jack. Kiwnął głową.

– Nie wiem, czemu mówię to wszystko. Nigdy nie powiedziałem nikomu tego, co zamierzam powiedzieć tobie. Nawet Karze albo Stu.

– Może nadszedł czas, żeby to wreszcie z siebie wyrzucić. Spojrzał na nią, łzy pojawiły się w jego oczach.

– Chodzi o to, że jednego dnia miałem wszystko – biłem każdy cholerny rekord. A drugiego dnia nie miałem nic. Zaczyłem tyle co żarcie dla psa. Tak po prostu, Sam. Wszystko, co robiłem, obróciło się wniwecz przez to, że zostałem uderzony mocniej i zraniony bardziej niż ktokolwiek, kto kiedykolwiek grał. I to jest... to jest nie... –Głos zaczął mu się łamać, przetarł oczy wierzchem dłoni. – Nie zasługiwałem na to, żeby ludzie pamiętali mnie tylko z powodu tej kontuzji.

Sam przysunęła się do niego, by mu przerwać. Podniósł rękę, żeby ją powstrzymać.

– Nie, kochanie. Daj mi dokończyć. W dniu, kiedy się poznaliśmy, powiedziałem ci, że mężczyźni z rodu Tolliverów naprawdę dobrze umieją grać w futbol i zajmować się polityką – pamiętasz?

– Pamiętam.

– No cóż, to zawsze słyszałem. Od dziecka mówiono mi, że będę grał w futbol, a później zajmę się polityką jak mój ojciec, a wcześniej dziadek. Ale futbol został mi odebrany i nigdy nie mogłem się z tym pogodzić.

Spojrzał na ścianę. Sam zobaczyła, że z trudem przełknął ślinę, zanim znów zaczął mówić:

– Straciłem radość, przyszło rozgoryczenie, którego nie mogę się pozbyć. Jakaś część mnie umarła. Po kontuzji chciałem zająć się czymś, żeby nie myśleć o tym, jak cholernie jestem wkurzony. Polityka była dobrym zajęciem. Kobiety dostarczały zabawy. Zachowywałem się jak prawdziwy kutas.

Sam uniosła brew, ale nic nie powiedziała.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Wychodzi na to, że kiedy poznałaś mnie u Stuarta, byłem nie tylko kutasem, ale też martwym facetem.

Sam przysunęła się i dotknęła jego ramienia.

– Wyglądałeś całkiem nieźle.

Jack uśmiechnął się i odsunął od parapetu. Pogładził Sam po policzku, po czym podszedł do okna na końcu pokoju i wyjrzał na zewnątrz.

– Wiesz, że zachowywałem pozory? Robiłem to, co chciała MDT tylko po to, żeby dała mi spokój. Nigdy naprawdę nie zaangażowałem się w to, co robiłem. Nigdy nie zbliżyłem się do kobiety na tyle, żeby zaryzykować zaangażowanie i zranienie tak mocne, jak mocno zranili mnie w kolano.

Sam przechyliła głowę i patrzyła na jego szerokie plecy.

– Przepraszam, że pytam, ale kiedy byłeś zraniony przez kobietę? Musiałam przegapić tę historię.

Jack spojrzał przez ramię.

– Och, wiesz. Pierwsza kobieta w moim życiu – moja matka.
Niekoniecznie najgorętsza babka na ziemi.

– A więc to tak.

Jack odwrócił się do Sam i skrzyżował ramiona na piersi.

– Wiesz o bliźniakach, prawda? Kiedy zmarły, wszystko się skończyło. Nigdy więcej nie czułem, że mam mamę. Była pusta. I zimniejsza. Od tamtej pory zajmowała się wyłącznie moim ojcem. Wyglądało na to, że tak naprawdę pragnęła tylko bliźniaków. Marguerite dała mi popalić. I nigdy jej tego nie zapomniałem.

Sam dotknęła jego ramienia. Rozplótł ręce i ujął jej dłonie.

– Ale zaryzykowałeś ze mną. Czemu, Jack? Zaśmiał się.

– Może dlatego, że jesteś takim małym skrzatem, i wiem, że nie zrobisz mi krzywdy.

Uśmiechnęła się.

– Urocze.

– A może dlatego, że jesteś najbardziej kochającą, ciepłą, normalną, prawdziwą i ciężko pracującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Patrzę, jak opiekujesz się dziećmi, Simonem, Monté, i jestem pełen podziwu. Myślę, że twoje ciepło mnie rozmroziło.

– Już nie jesteś martwy.

– Żyję.

– Mogę to poświadczyć.

– I nie jestem kutasem.

– Nigdy tak o tobie nie myślałam.

– To wszystko dzięki tobie, Sam. Wiesz o tym?

Potrząsnęła głową.

– Nie, to ty doszedłeś do wniosku, że fajniej jest być żywym niż martwym. Postanowiłeś się odsłonić i pokazać komuś swoje serce. Jestem szczęśliwa, że trafiło na mnie, ponieważ naprawdę mi się podoba to, co nosisz w sercu.

Mocniej ścisnął jej rękę.

– Więc zostajesz w grze?

– Tak.

– Czemu? Czemu to robisz?

Jack wpatrywał się w ich palce. Kiedy spojrzał na nią, na twarzy miał wyraz zadumy.

– Myślę, że chodzi nie o sam fakt, ale o osobę. Zrobiłem to dla ciebie, Lily, Grega i Bena, mam nadzieję, że to pochwalasz. Robię to dla Monté, Simona i dla wszystkich, którzy potrzebują, żeby ktoś za nich przemówił.

– Teraz mówisz jak kandydat.

– Mam twój głos?

– Możesz mieć mój głos i wszystko, czego zapragniesz. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i Sam zdążyła puścić dłoń

Jacka, zanim na wpół śpiący Dakota wszedł do pomieszczenia. Wciąż miał na sobie spodenki od piżamy, co nie wróżyło nic dobrego.

– Zmień mi pieluszkę, mamusiu.

Jack wyprostował się i przelotnie pocałował Sam w policzek.

– Pozwól, że się tym zajmę – powiedział.

Nie wiedział, na co się decyduje, Sam starała się go przekonać, że to nie czas, żeby uczyć się nowych rzeczy. Ale Jack nie chciał słuchać.

– Poradzę sobie z jedną mokrą pieluchą, Sam. Byłem rozgrywającym w NFL i asystentem byłego gubernatora Indiany. Zamierzam zostać senatorem

Stanów Zjednoczonych. Zostań tu i szkicuj, a ja zamelduję ci, kiedy wykonam zadanie.

Sam poruszyła ramionami.

– Nie daj się.

Zobaczyła, jak Dakota bierze Jacka za rękę i wychodzą ze studia, jakby mieli jakąś poważną sprawę do załatwienia. Sam pomyślała, że facet, który siedział tyle czasu w polityce, był z pewnością lepiej przygotowany do pracy niż większość ludzi.

Jack spojrzał na chłopca, który beztrąsko przeglądał plastikową książeczkę, i poczuł nieprzyjemny zapach. Zaśmiał się w duchu. Dakota zdawał się zupełnie nie przejmować tym, co się wokół niego dzieje, zachowywał się jak mały król, którego nic nie obchodzi.

– Tak nie można żyć, mały – zaczął Jack, wyjmując cuchnącą pieluszkę. Doszedł do wniosku, że wykorzysta podstawowe męskie instynkty, żeby poradzić sobie z tym problemem raz na zawsze. – Hej, Ben? Chcesz się w coś ze mną pobawić?

Dzieciak zamrugał i spojrzał na niego nieufnie sponad książeczki z obrazkami.

– W chowanego?

– Nie.

– W berka?

– Niezupełnie.

– To w co?

– Pokażę ci coś, co umiejają robić tylko mężczyźni – dziewczyny nigdy nie będą potrafiły tego zrobić, niezależnie od tego, jak bardzo będą się starały. Jesteś zainteresowany?

Chłopiec odłożył książkę i spojrział, czy Jack dobrze wywiązał się ze swojego zadania. Sprawdził zaczepy pieluszki, żeby upewnić się, że wytrzymają.

– Pamiętałeś, żeby użyć chusteczek, panie Jack?

– Pamiętałem, mistrzu.

– Okej, zagrajmy.

Jack zdjął małego ze stołu do przewijania i poprowadził do łazienki na końcu korytarza. Dakota zatrzymał się i pokręcił głową.

– Nie, nie, nie, nie, nie.

Jack musiał przyznać, że chłopiec był zdeterminowany. Ta cecha na pewno przyda mu się w przyszłości, jeśli tylko wykorzysta ją w dobrym celu. Zerknął przez ramię.

– Hej, nie martw się, zamierzam tylko umyć ręce. Zostań na korytarzu i poczekaj, ponieważ tu nie ma na co patrzeć.

Tak jak się spodziewał, Ben natychmiast wszedł do łazienki z wyrazem oczekiwania na twarzy. Zerknął nerwowo na sedes.

Jack wiedział, że musi szybko działać. Potrzebował czegoś, co można spuścić. Czegoś kolorowego. Czegoś, co spuszczone w toalecie nie zapchałoby rur. Zastanawiał się, gdzie to może znaleźć.

– Hej, Ben, wyświadczysz mi przysługę? Wiesz, jak wyglądają karteczki samoprzylepne?

Ben zmarszczył brwi.

– Nie.

– Cienkie, kwadratowe karteczki, które nalepiasz na coś. Czasami są żółte, różowe albo niebieskie. Założę się, że Greg ma takie na biurku.

– Pewnie, lubię je.

– Możesz je przynieść? Spotkamy się tutaj i zagramy w naszą grę.

– Okej, panie Jack.

Po pięciu minutach dzieciak wrócił z opakowaniem niebieskich karteczek samoprzylepnych.

– Dlaczego wciąż jesteś w łazience, panie Jack?

– Miałem naprawdę brudne ręce. O, dzięki, człowieku!

Jack wytarł ręce, szybko podniósł klapę i wrzucił kilka karteczek do sedesu.

– Ojej – powiedział Ben.

– Sprawdź sam. Dziewczyny nie potrafią tego zrobić.

– Naprawdę?

– Mówię serio.

Jack rozpiął spodnie i zaczął sikać.

– Hej, spójrz tylko! Trafiłem jedną!

Chłopczyk podszedł bliżej i z rosnącym zainteresowaniem zerknął do sedesu. Tłuszcikiem paluszkiem wskazał karteczkę.

– Traf!

– Nie ma problemu, mały. Mogą pływać, ale nie mogą się ukryć.

Ben walczył ze spodenkami i Jack był pod wrażeniem, jak szybko się z nich oswobodził. Stanął przy sedesie, ale nie wcelował i obsikał tył muszli.

– Ojej.

– Nie ma problemu, kolego. Zdarza się najlepszym. Dziewczyny też tego nie potrafią.

– Naprawdę?

– Nie sądzę, żeby tak było. Powinieneś ustawić się pod lepszym kątem.

Ben kiwnął głową i Jack podniósł go, żeby mógł strzelać do muszli z góry.

– Trafiłem! – krzyknął.

– Trafiłeś!

– Znowu trafiłem!

– Niezła robota.

– Giń, giń, giń!

W porządku, może wystarczy. Jack postawił dziecko na ziemi i zapiął rozporek. Wtedy zauważył, że Sam stoi w holu z ustami i oczami szeroko otwartymi. Jack położył palec na ustach i pomógł Benowi zapiąć spodnie.

– Myślisz, że będziesz chciał w to jeszcze kiedyś zagrać? – spytał Jack, spuszczając wodę.

– Tak! Kiedy?

– Cóż, zobaczymy. Może kiedy następnym razem będziesz chciał siusiu. Lub kiedykolwiek indziej. Nie musimy tego robić od razu. Może w przyszłym tygodniu?

Chłopczyk zmrużył oczy i zacisnął usta. Przez chwilę wpatrywał się w Jacka.

– Okej, panie Jack. Powiem ci, kiedy następnym razem będzie mi się wydawało, że chcę siusiu. Ale nazywam się Dakota, a nie Ben.

Jack i Sam spojrzeli na siebie i Jack musiał się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem. Ten dzieciak mógł być urodzonym dyplomata albo sprzedawcą samochodów.

– Masz rację, Dakota.

Godzinę później znów grali w „utopić złych facetów”. Jack był naprawdę dumny, kiedy tydzień później Sam oznajmiła mu, że Dakota jest oficjalnie

wytrenowany w sikaniu do sedesu. Jack dostrzegł pewną regularność. Nie żyli już w strachu, że Dakota publicznie zdejmie spodnie. Teraz Jack w prywatnych pomieszczeniach regularnie zdejmował spodnie, gdyż mamusia Dakoty chciała mu się odwdziżyć.

RS

Rozdział dwunasty

Ta przygoda oznaczała, że albo Mitch rozpocznie zupełnie nowe życie, albo wpakował się w niezłą kabałę, podejmując kolejną złą decyzję. Spojrzał na swojego towarzysza podróży. Facet nazywał się Brandon Mikluski lub McMurtry, lub jakoś tak. Wyglądał trochę podejrzanie, jak elegancki facet od brudnej roboty. Był dobrze ubrany, wykształcony i jednocześnie głupkowaty. Nie mówił dużo. Uraczył Mitcha tylko suchymi faktami.

Anonimowy dobroczyńca był na tyle uprzejmy, że zapłacił zaległe alimenty Mitcha, znalazł mu mieszkanie, pracę i używany samochód. A to wszystko za garstkę informacji na temat byłej żony. Kiedy pierwszy raz usłyszał tę propozycję przez telefon dwa tygodnie temu, był pewien, że to policja zastawia na niego sidła. Czytał kiedyś – grupa zalegających z alimentami ojców dostała zaproszenia na obiad i pokaz oferty wakacyjnej. Wszyscy stawili się na miejscu, licząc na darmowy posiłek i pokaz zdjęć, a zamiast tego zostali skuci. Mitch powiedział więc facetowi przez telefon, żeby się nie trudził zastawianiem pułapki, bo on i tak zamierza się ujawnić. Ale rozmówca, ten Brandon, zaczął się głośno śmiać. Zapewnił Mitcha, że nie jest z policji, i okazało się, że nie kłamał.

I tak Mitch znalazł się na pokładzie samolotu linii Delta lecącego z Atlanty do Indianapolis i sączył krwawą mary. Trudno mu było uwierzyć, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a Brandon mu obiecał, że tak będzie, to za kilka dni zobaczy dzieci. Musi iść do Sam, wyciągnąć z niej prawdę na jakiś temat i nagrać to na taśmie. Mitch próbował się dowiedzieć, co dokładnie ma wyciągnąć z Sam, ale Brandon powiedział, że dowie się w odpowiednim

czasie. Kiedy spytał, komu tak zależy na tej informacji, Brandon odparł, że nikomu, kogo Mitch zna.

Mitch nie był głupi. Doskonale wiedział, że to, o co go poproszono, jest podejrzanе, jeśli nie nielegalne. Ale w jaki inny sposób miał zapłacić alimenty? I w jaki inny sposób mógłby zobaczyć dzieci, jeśli nie zapłaci alimentów?

– Czy Samantha ma jakieś kłopoty? – zapytał Mitch.

– Powiedziałem, że nie. Ona i dzieci dobrze sobie radzą.

– Skąd ją znasz?

– Nie znam. Jest przyjacielem przyjaciela.

– Nie chcę, żeby stała jej się krzywda.

Na te słowa Brandon obrócił swoją okrągłą, czerwoną twarz do Mitcha i uśmiechnął się szeroko.

– Pewnie, że nie chcesz. Bez wątplenia zawsze chodziło ci o jej dobro.

To za dużo.

– Nic nie wiesz.

– Pewnie, że wiem – mruknął Brandon i wyjrzał przez okno, jakby chciał pokazać, że jest znudzony rozmową. – Łożyła na ciebie i twoje durne szklane spodki przez ponad dekadę, a ty ją rzuciłeś, bo doszedłeś do wniosku, że wolisz chłopców, i wyruszyłeś w trasę. Jestem pewien, że wszystkie czeki z alimentami zaginęły gdzieś na poczcie.

Mitch wziął długi łyk krwawej mary i zagryzł pałeczką selera naciowego. Nie podobało mu się, że część tego, co ten tłuścioch o nim powiedział, była prawdą. Był samolubny, ale dusił się, żyjąc w kłamstwie z Sam. Nigdy nie chciałby powrócić do czegoś takiego. Ale nadarzyła się szansa, żeby przywrócić jakiś porządek w swoim życiu i zająć się dziećmi, najlepiej jak będzie umiał.

– To nie twoja sprawa, ale podjąłem wtedy najlepszą decyzję.

Mitch kilka lat temu przeczytał to zdanie w jakimś poradniku i utkwiło mu ono w pamięci.

– Nieważne. – Brandon popatrzył przed siebie, zafascynowany widokiem czystego nieba z okna samolotu.

– Robię to tylko dlatego, że chcę zobaczyć się z dziećmi.

Brandon westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Jasne. Patrz. – Sięgnął między swoje grube nogi, wydobyl laptopa i włączył go. – Możesz zobaczyć je teraz, jeśli chcesz.

Mitch wpatrywał się w ekran z niedowierzaniem. Samantha i dzieci były na czymś w rodzaju politycznego wiecu. Czy to Dakota? Niemożliwe! A Lily była taka dorosła i piękna! Greg? Greg to prawie mężczyzna. Mitch poczuł się dziwnie. Trudno uwierzyć, że minęło tak niewiele czasu, a on stracił tak wiele. Przetarł oczy dłońmi zaciśniętymi w pięści i pomyślał, jak bardzo oni wszyscy go nienawidzą.

– ...Rzekomo zaręczyli się tuż przed ogłoszeniem przez Tollivera, że będzie startował w prawyborach do senatu. Wydawało nam się, że to trochę więcej niż zbieg okoliczności.

Mitch podniósł głowę. Sam była trochę przestraszona, ale wyglądała ślicznie w rdzawoczerwonej obcisłej sukience. Kiedy Mitch zerknął na wielkiego faceta obok, rozpoznał w nim eksgwiazdę futbolu. Nie wiedział, które z nich jest piękniejsze – jego była żona czy sportowiec. Tworzyli wspaniałą parę.

– Coś ty powiedział? – spytał Mitch, kiedy w jego głowie zabręczał alarm. – O co tu do cholery chodzi? Kto to jest „my”? Czy to jakaś brudna polityka?

– Samantha Monroe i Jack Tolliver zarzekają się, że są zaręczeni. Chcemy po prostu się dowiedzieć, czy to prawdziwy związek, czy polityczna gra.

Mitch upił kolejny łyk wódki z sokiem pomidorowym i próbował się zorientować, o co może chodzić.

– Czy pracujesz dla mafii?

Brandon zmrużył oczy i potrząsnął głową.

– Och, nie – zaprzeczył.

– Więc jesteś sługusem jego przeciwnika, a ja chłopcem na posyłki nieuczciwego polityka?

Brandon wyglądał na urażonego.

– Absolutnie nie.

– W takim razie co? Kto wydałby tyle pieniędzy, by uczynić ze mnie uczciwego człowieka i sprowadzić do Indianapolis, żebym mógł porozmawiać z Sam i żeby powiedziała mi, o co chodzi? Kto tak bardzo nienawidzi tego Tollivera?

– Tu nie chodzi o zemstę, panie Bergen. Chodzi o prawdę, demokrację i... Śmiech Mitcha mu przerwał.

– Dla kogokolwiek pracujesz, ten ktoś musi sięgnąć po inne możliwości, ponieważ Sam najprawdopodobniej nie poświęci mi nawet dnia, nie mówiąc o powierzaniu sekretów. Jestem pewien, że mnie serdecznie nienawidzi.

– Tylko ty znajdziesz najlepszy sposób na wyciągnięcie z niej prawdy. Byli mężowie zawsze wiedzą, za które sznurki pociągnąć.

Mitcha zmroziła pewna myśl, której do tej pory nie rozpatrywał. Przełknął z trudem.

– A czy Monté McQueen jest w mieście?

Brandon zmarszczył brwi.

– A kto to? Ktoś, komu też wisisz pieniądze?

– Nie. Nie. – Mitch zaśmiał się nerwowo. – Nieważne.

Myśl, że musi się zmierzyć z gniewem Sam, była wystarczająco okropna, ale nie było szans na to, że przetrwa starcie z Monté. Trzy lata temu go ostrzegła, że jeśli jeszcze kiedykolwiek go zobaczy, to nożyczkami fryzjerskimi potnie jego jaja na plasterki. Monté zawsze budziła w nim grozę.

Mitch ocknął się z zamyślenia, widząc, że Brandon się uśmiecha i zachęca go, żeby znów spojrzeć na ekran komputera. To wyglądało jak spot reklamowy, w tle leciała muzyka, a przez nią wybijał się głos, który wyliczał osiągnięcia Jacka Tollivera. A później pojawiła się Sam! Mitch patrzył w ciszy, jak jego była żona za rękę z tym politykiem spaceruje po zaśnieżonych uliczkach jakiegoś miasteczka, ogląda wystawę sklepową z antykami i przytula się do tego faceta. Sam wyglądała na taką szczęśliwą. I, cholera, jej facet był gorący. Ze względu na nią miał nadzieję, że to nie jest chwyt reklamowy.

Głos powiedział: Jack Tolliver – nowy układ dla Indiany. W tym momencie kamera zrobiła najazd na złączone dłonie Sam i Jacka.

To było takie wzruszające, Mitch pomyślał, że mógłby się rozplakać.

A później spojrzął na Brandona i zobaczył na jego twarzy wazeliniarski uśmiech. Teraz już wiedział, że popełnił wielki błąd, wracając do Indianapolis. Ta umowa śmierdziała na odległość. Ale zaraz –pięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów nie spada codziennie z nieba.

Mitch sięgnął ręką pod nogi, żeby upewnić się, że jego sprzęt do dmuchania szkła jest cały.

Publiczność tłumnie przybyła do Ball State i Sam starała się wypaść jak najlepiej; uśmiechała się, ścisnęła ręce i udawała, że czuje się swobodnie. To

była pierwsza z trzech zaplanowanych debat z czterema kandydatami. Korytarz wypełniali studenci, pracownicy uniwersytetu, dziennikarze i gapie z ulicy.

Sam stała przy drugim rzędzie siedzeń, otoczona przez ludzi zatrudnionych przy kampanii i wolontariuszy, których wielu nigdy wcześniej nie widziała. Oczywiście był tam Stuart, szef zespołu Jacka, i Kara, szefowa kampanii i rzecznik prasowy. Był też dyrektor do spraw polityki, jego zastępca, dyrektor do spraw pomocy dla potrzebujących, dyrektor ds. badań sondażowych, cały sztab ludzi, a wszyscy nosili koszulki z napisem „Tolliver do senatu”. Wydawali się podekscytowani wpisami, jakie zdobywał od grup biznesowych i przemysłowych, związku farmerów i organizacji pracowniczych. Panowała wspaniała atmosfera i Kara nie przestawała się uśmiechać. Sam także, chociaż pociła się; zastanawiała się, czy to ze strachu przed tłumem, czy ze zdenerwowania, a może nie była przyzwyczajona do noszenia garsonki za tysiąc dolarów. Spojrzała na siebie i potrzęsła głową. Dzięki uprzejmości Kary, która zabrała ją na zakupy specjalnie przed tym spotkaniem, wyglądała jak duch Jackie Kennedy. Zdecydowały się na piękną garsonkę z wełny w kolorze czekoladowego brązu i jedwabiu z haftem na mankietach i brzegu wąskiej spódnicy. Wyglądała jak gwiazdka Hollywood z lat czterdziestych. Strój uzupełniały czółenka Alberta Ferretti, które znalazły na wyprzedaży, i zamszowa okrągła torebka w kolorze burgunda.

W czasie jazdy Jack powiedział, że nie będzie się mógł skoncentrować, bo wygląda tak olśniewająco. Był świetny w prawieniu komplementów.

Rozpoczęła się debata i Sam bacznie ją obserwowała, uśmiechając się za każdym razem, kiedy Jack odnosił małe zwycięstwo nad rywalami. Wyglądało na to, że potrafi ich zgasić. Był opanowany, przystojny i czarujący, natomiast kongresmen Manheimer pocił się i co i rusz wycierał czoło chusteczką. Sam

mogłaby przysiąc, że kiedy Manheimer mówił o wartościach rodzinnych, Jack puścił do niej oko. Był niegrzecznym chłopcem, a ona to uwielbiała.

Publiczność została poproszona o pozostanie na miejscach do przerwy. Ale Sam musiała wyjść. Podeszła do Kary i powiedziała, że zaraz wróci.

Z ulgą weszła do łazienki i prawie podskakiwała z radości w drodze do kabiny. Próbowwała zamknąć drzwi, ale się nie udało, a potem nagle odskoczyły, odrzucając Sam na przeciwległą ścianę.

– Przepraszam, ale musimy mieć tu trochę prywatności. – Kobieta zamknęła za sobą drzwi.

– Miałabym to zagwarantowane, gdybym była tu sama.

– Wiesz, co miałam na myśli.

– Jesteś Christy Schoen.

Uśmiech blondynki wydawał się wystudiowany.

– Tak. A ty Samantha Monroe, wkrótce Samantha Tolliver.

– Powiedziano mi, że kiedyś zapewne mnie dopadniesz. Wydawała się zaszokowana.

– To raczej ostre sformułowanie. Ja po prostu wykonuję swoją pracę.

Sam się zaśmiała.

– Więc swoją pracę najlepiej wykonujesz w publicznych toaletach? Dopadłaś już Jacka w toalecie?

Christy zachichotała, po czym spojrzała surowo na Sam.

– Daję ci szansę na oczyszczenie się. Masz okazję do przedstawienia swojej wersji wydarzeń, zanim wszystko się skomplikuje.

Sam poczuła, jak przyspiesza jej puls, i przypomniała sobie, po co tu przyszła.

– Naprawdę muszę skorzystać z toalety.

Christy się nie poruszyła.

– Nie przeszkadzaj sobie.

– Wedle życzenia. – Sam zadarła spódnicę, ściągnęła czerwone satynowe stringi i kucnęła. Christy otworzyła usta ze zdumieniu i odwróciła się do drzwi w czasie, kiedy Sam się załatwiała.

– Wiem, co pani robi, pani Monroe.

– Siusiam.

– Miałam na myśli Jacka.

– Skoro wiesz... – Sam spuściła wodę, podciągnęła majtki i opuściła spódnicę. – Pozwolisz, że umyję ręce?

Christy odwróciła się ponownie, była wyraźnie zirytowana.

– Ta rozmowa jest nagrywana.

– Wolałabym, żebyś porozmawiała z Jackiem.

– Nie odpowie na moje telefony.

– Ojej, ciekawe czemu?

– Poza tym te pytania są do ciebie.

– W takim razie nie krępuj się. Omija mnie debata. O co chciałabyś zapytać?

Sam była wdzięczna Karze za to, że przygotowała ją do tej rozmowy. Czowała się zadziwiająco spokojna jak na kogoś, kto został osaczony w toalecie. Może na tym polegało porozumienie między kobietami?

– Jak poznałaś Jacka?

– Kara DeMarinis była moją klientką w Le Cirque przez długi czas.

Przedstawiła nas sobie.

– Jak długo go znasz?

– Niedługo. Poznaliśmy się w listopadzie.

- Jak to się stało, że w święta Bożego Narodzenia byliście już zaręczeni?
- Kiedy coś jest pewne, wiesz to od razu.

Christy się zaśmiała.

– Och, rzeczywiście. W takim razie wylicz mi wszystko to, co jest takie pewne u twojego narzeczonego, jakieś szczegóły na temat Jacka Tollivera, które po prostu uwielbiasz.

Sam się wyprostowała. Kara nie przygotowała jej na tego typu pytania. Może nawet się nie spodziewała tak osobistego ataku ze strony Christy. Sam postanowiła skorzystać z rady, której udzieliła jej mama w dzieciństwie: kiedy masz wątpliwości, mów prawdę.

– Niesamowicie całuje – powiedziała Sam z uśmiechem. – Mówię serio, ten facet potrafi całować.

Christy pociągnęła nosem ze zniecierpliwieniem.

– Pozwolił zamieszkać mnie i dzieciakom w rodzinnej posiadłości, sprawił, że poczuliśmy, że ktoś się o nas troszczy.

– Tak, całe zachodnie Hemisphere słyszało o tym.

– Zwraca uwagę na szczegóły. Czasami zaskakuje mnie jakimś drobiazgiem, o którym zapomniałam. – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do Christy. – Zamienił dla mnie stary pokój dziecięcy w Sunset Lane w studio do malowania.

Christy zmarszczyła brwi.

– No i mnie rozśmiesza. Jack ma żartobliwe podejście do samego siebie.

Christy o mało się nie udławiła.

– Pierwszy raz słyszę, by ktoś użył tego określenia w stosunku do Jacka.

Zapomniałaś wziąć dziś leków?

Sam puściła to mimo uszu.

– Poza tym, jak na ironię, chociaż jest politykiem, jest zamknięty w sobie. Sądę, że to przez to, co przechodził po kontuzji i rehabilitacji. Ale otworzył się dla mnie. Pokazał mi swój ból i swoje nadzieje i kocham go za to. Czuję się zaszczycona, że jest moim przyjacielem i przyszłym mężem.

Christy wolno pokiwała głową, składając to wszystko do kupy.

– Z pewnością Kara dobrze cię przygotowała. Powiedz jej, że byłabym pod wrażeniem, gdyby nie fakt, że to przyprawia mnie o mdłości. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Podsumujmy: najważniejsze jest to, że pan uczuciowy jest nadziany. A może nie zauważyłaś?

– Zauważyłam.

– Jakie to wygodne dla ciebie i dzieci.

– Kochałabym Jacka, nawet gdyby był mechanikiem samochodowym.

– Albo biednym dmuchaczem szkła?

Sam poczuła wściekłość. Nie lubiła tej kobiety. Ani trochę. Dochodziła do wniosku, że to najście w toalecie jest nie tylko zasadzką, ale swego rodzaju groźbą.

– Nie jestem pewna, czego szukasz, Christy, ale obawiam się, że tutaj tego nie znajdziesz.

– Och, i tu się mylisz. Zamierzam znaleźć to, czego szukam, i ty mi w tym pomożesz, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Sam zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

Christy przysunęła się, patrzyły na siebie z odległości kilku centymetrów.

– Pojawienie się ciebie i dzieci u boku Jacka tuż po tym, jak Ditto ogłosił, że się wycofuje, było nieprzemyślanym posunięciem, panno Monroe. Myślałam, że Jack będzie mądrzejszy, ale zakładam, że to pomysł Kary.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Wiem, że nie jesteście naprawdę zaręczeni. – Christy podniosła lewą rękę Sam, żeby sprawdzić, czy ma pierścionek, i na chwilę ją zatkało. – Ładny.

– Piękny, prawda?

Christy zmrużyła oczy.

– Wiem, że cała ta szopka jest po to, żeby zwiększyć jego szanse, i podejrzewam, że ci płaci. Mówię serio – nie jesteś w jego typie! Nigdy nie poślubiłby rozwódki w twoim wieku, i to jeszcze z dziećmi! Stylistkę włosów? To niedorzeczne! I zamierzam to udowodnić. – Odsunęła się nagle, zadowolona z siebie, a Sam zauważyła, że szczeka Christy jest nieco opuchnięta. – On nie będzie mógł kandydować nawet do komitetu rejonowego, kiedy ujawnię tę historię. To też możesz przekazać.

– Dzięki. Przekażę. A teraz przepraszam. – Sam sięgnęła do klamki, ale Christy odsunęła jej rękę.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała Sam – bo wniosę przeciwko tobie oskarżenie.

– To ja wniosę skargę przeciwko tobie i Jackowi, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

Sam potrząsnęła głową.

– Wiesz, od dziewiątej klasy nie uczestniczyłam w bójce w toalecie i nie jestem dzisiaj ubrana na coś takiego, ale przysięgam, że jeśli nie odsuniesz swojej farbowanej łepetyny od drzwi, pożałujesz.

Christy ani drgnęła.

– To twoja ostatnia szansa, panno Monroe. Jeśli powiesz mi prawdę, wyjdzie ci to na dobre.

– Odsuń się od drzwi.

– Znam sposoby, żeby odkryć prawdę, niezależnie od tego, czy mi pomożesz, czy nie.

– Jesteś nienormalna.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi, jak wygląda jego blizna. Jeśli znasz go tak dobrze, powiedz mi, jak wygląda jego uszkodzone kolano. On ma obsesję na tym punkcie, nigdy go nie pokazuje.

Sam była zdziwiona, słysząc to, ponieważ Jack nigdy nie ukrywał przed nią blizny. Wzruszyła ramionami.

– No cóż, jedna blizna ma długość jakichś piętnastu centymetrów i biegnie wzdłuż rzepki, a druga ma jakieś dziesięć centymetrów i biegnie z tyłu kolana. Stracił w tym miejscu czucie, więc nie reaguje, kiedy całuję go pod kolanem.

Christy warknęła.

– Ma dwa głębokie nacięcia na zewnętrznej stronie uda. Jest też kilka mniejszych śladów po artroskopii, którą mu robiono później. Jego lewa łydka wygląda na lekko zdeformowaną po wielu operacjach.

Sam uśmiechnęła się szeroko.

– A tak przy okazji, ma śliczny pieprzyk w pachwinie, jakieś dwa i pół centymetra od penisa.

Christy zamarła.

Sam wykorzystała moment zaskoczenia, odsunęła zasuwkę, przesunęła Christy do ściany i wyszła.

Dopiero trzy godziny później mogła opowiedzieć o przygodzie w toalecie, ponieważ kiedy skończyła się debata, Jack wypowiadał się dla czterech stacji telewizyjnych i wystąpił w wiadomościach o jedenastej w lokalnej telewizji. Było po pierwszej w nocy, kiedy Sam i Kara usiadły z tyłu

bmw Stuarta, a Jack na fotelu pasażera. Kara i Stuart wypili tyle kawy tego wieczoru, że gadali jak nakręceny.

– Zawsze wiedzieliśmy, Charlie Manheimer to jedyny poważny przeciwnik. Reszta się nie liczy.

– Tak – potwierdził Jack.

– Wydawał mi się bardzo miły – powiedziała Sam; tej nocy została przedstawiona temu przystojnemu ponadsześćdziesięcioletniemu dżentelmenowi o niebieskich oczach.

– Oczywiście, że wydaje się miły – rzekła Kara – jest kongresmenem już trzy kadencje. Cały czas w grze.

Sam zmarszczyła brwi i wyjrzała na autostradę.

– Czy tam są jacyś zwyczajni ludzie? Kto troszczy się bardziej o ludzi niż o władzę i siebie?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Okej, może to było naiwne pytanie, ale byłam ciekawa.

– W zasadzie nie ma takich – powiedział Stuart.

– Myślę, że jest wielu polityków, którzy traktują poważnie swoich wyborców – powiedziała Kara, odwracając się do Sam. – Ale to nie prowadzi na państwowy stołek, a pieniądze tak.

– I to jest cholernie smutne – rzekł Jack. Stuart spojrzał na Sam w lusterku wstecznym.

– Mam wysadzić cię w Sunset Lane, Sam?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jack powiedział:

– Ty i Kara mieszkacie w śródmieściu, wysadź więc Sam u mnie, a ja ją odwożę do domu. Nie masz nic przeciwko temu?

– Ależ skąd.

Sam poczuła na sobie wzrok Kary, to był idealny moment, żeby powiedzieć o tym, co wydarzyło się w damskiej toalecie.

– Co zrobiła? – Kara o mało nie wyskoczyła ze swojego miejsca.

– O rety – jęknął Stu.

Jack odwrócił się do Sam, bacznie się jej przyjrzał, miał zaciśnięte usta.

– Zrobiła ci coś? – spytał.

– Oczywiście, że nie. Dałabym sobie z nią radę, gdybym musiała.

– Będę mógł popatrzeć? – zaśmiał się Stuart.

Jack mu zawtórował.

– Powiedziała, że wie, że Jack ci płaci? – spytała Kara. Sam nieczęsto widywała zmartwioną Karę.

– Powiedziała, że podejrzewa, że Jack mi płaci, ponieważ nie jestem w jego typie,

Jack podniósł brew.

– Doprawdy?

– Tak – odparła Sam, spoglądając na swoje ręce. Walczyła ze łzami, które napływały jej do oczu. Była u kresu wytrzymałości. Zaczerpnęła powietrza. – Christy powiedziała, że nigdy nie poślubisz nikogo w moim wieku, zwłaszcza rozwódki z trójką dzieci, a już szczególnie stylistki włosów. Powiedziała, że to oczywiste, że jest to gra polityczna.

– Cholera – mruknął Stu.

– Umowa to wasza prywatna sprawa – powiedziała Kara, żeby uspokoić Sam i siebie. – Christy nie ma dostępu do twoich wydruków bankowych. Nie jest gliną, a nawet gdyby nią była, potrzebowałaby nakazu. Po prostu próbuje cię zastraszyć.

– Zazdrość ją zżera – powiedział Stu i przykręcił ogrzewanie. – Wkurza się, że to nie ona stoi u boku Jacka.

– Och – powiedziała cicho Sam – nie wiedziałam, że to było coś poważnego.

– Bo nie było – rzekł Jack.

– Ta kobieta zrobiłaby wszystko, żeby zdobyć taką historię – powiedziała Kara. – Jest przekonana, że mogłaby pracować w telewizji ogólnokrajowej, potrzebuje się tylko wybić.

Przez resztę drogi Sam siedziała z zamkniętymi oczami, udając, że śpi. Była zmęczona i smutna, było jej za gorąco, kręciło jej się w głowie, ale nie mogła zasnąć.

Zastanawiała się, jak Jack mógł się związać z kimś takim jak Christy Schoen, nawet przelotnie. Wiedziała, że w jego życiu było wiele kobiet, ale wyobrażała sobie, że każda miała coś wyjątkowego. Christy była ładna, w stylu cheerleaderki ze szkoły średniej, ale sztuczna, małostkowa i egoistyczna. Jak ten sam facet mógł być zainteresowany Christy i nią?

– Za każdym razem, kiedy patrzyłem na ciebie, chciałem zedrzeć z ciebie tę śliczną garsonkę i molestować cię.

– To było przed mową Manheimera o wartościach rodzinnych czy po niej?

Jack zachichotał, prowadząc Sam przez pokój gościnny, kuchnię, jadalnię aż do sypialni.

– Czy to wycieczka po twoim apartamencie? Tak pędząc, trudno cokolwiek zobaczyć.

– To wycieczka do mojego łóżka.

Jack był tak napalony, że sam nie mógł w to uwierzyć. Sam miała niespotykane cechy charakteru. A wszystko zamknięte w takim małym ciele. Wydawało się, że nawet osaczenie przez Christy nie wytrąciło jej z równowagi. Sam była cudowna, waleczna i cholernie seksowna.

– Kocham cię, Samantho.

Szok, jakiego doznała, wynikał także z tego, jak bezceremonialnie rzucił ją na łóżko. A później nakrył własnym ciałem.

– Tak bardzo cię kocham. Chcę, żebyście ty i dzieci zamieszkali ze mną po wyborach. Mówię poważnie. Nie obchodzi mnie, co sobie inni o tym pomyślą. Bądź moja, Sam, proszę.

Otworzyła usta, ale nie dał jej dojść do słowa. Zaczął całować jej usta, podbródek, twarz, szyję.

Była skarbem. Odpiął guziki jej marynarki i objął ją w talii. Rozsunął suwak spódnicy i odsłonił biodra. Pocałował pępek i gładził brzuch. Ześlizgiwał się niżej, aż do tego, co stało się strojem Sam na specjalne okazje – słynnych czerwonych stringów. Zamierzał jej kupić tuzin następnych.

Tylko kilka sekund zajęło ściągnięcie spódnicy i majtek, a następnie marynarki i stanika. Sam cicho pojękiwała. Wkrótce została tylko w pończochach w kolorze czekoladowym i butach na wysokim obcasie. Czekwała, żeby go w siebie wpuścić.

– Kocham cię, Sam. Proszę, powiedz, że ty też mnie kochasz. Objęła go i mocno przytuliła. Jej usta tak wspaniale błędziły po jego twarzy, pragnął, żeby go rozebrała.

– Kocham cię, Jack. Kochałam cię od początku. Nie mogłam się przed tym obronić.

Pomógł jej zdjąć krawat i koszulę, sam ściągnął podkoszulek.

– Bronić się? Przed takim staruszkim jak ja?

Zaśmiała się w momencie, kiedy rozchylił jej uda i zaczął ją lizać. Była trochę słona i słodka. Chciał się zanurzyć w tym wilgotnym raju.

– Jesteś za dobry – wymruczała – nie mogłam ci się oprzeć.

Jack przerwał, żeby ją poprawić:

– Nie, maleńka, to ty jesteś dobra. Tobie nie można się oprzeć.

– Może obydwójce jesteśmy dobrzy – wyszeptała, wbijając paznokcie w jego ramiona. – I może nadszedł czas, żebyśmy przestali się opierać.

Jack oderwał od niej usta i pocałował ją mocno, tak, żeby posmakowała siebie. Poczul, jak jej biodra zaczynają się poruszać pod nim, i wiedział, że musi w nią wejść.

– Przeleć mnie natychmiast, Sam – powiedział, przewracając się na plecy. Patrzył, jak opuszcza się na jego wzniesiony penis. Nie miał prezerwatywy i to nie był czas, żeby się o to martwić. Siedziała na nim, otaczała go, ujeżdżała i zaglądała w głąb jego duszy.

Położył ręce na jej biodrach, żeby ją prowadzić, upewniając się, że jej ruchy są powolne i długie.

– Podoba ci się, Jack?

– To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłem. Zawsze tak jest, kiedy jestem z tobą. Dlaczego nie poznaliśmy się parę lat wcześniej?

– Dlatego, że byłeś gwiazdą futbolu, a ja fryzjerką z mężem i dziećmi.

– Racja.

Wyciągnął ręce i przysunął ją do siebie tak, że jej piersi dotykały jego torsu.

– Tak bardzo jestem w tobie zakochany, maleńka. Wiesz o tym? Poczul, jak kiwa głową, i pogładził jej plecy.

– Ja też jestem w tobie zakochana, Jack.

Przewrócił ją z powrotem na plecy i oparł się na ramionach. Uwielbiał patrzeć z góry na jej małe, kobiece ciało. Nigdy do tej pory nie czuł się tak spełniony z kobietą.

Krzyknęła, kiedy ugryzł ją w sutek i poczuł, że zbliża się do orgazmu.

– Tak, kochanie, daj mi to wszystko.

Niewiarygodne było to, jak pod wpływem jego dotyku robiła się gorąca. Sam przycisnęła usta do jego ust i pocałowali się mocno, przypieczętowując swoją miłość, kiedy on eksplodował w niej.

Jack zanurzył się w ciepłe objęcia Sam, pozostając w niej, kiedy jego serce i dusza odpoczywały. I nagle poczuł, że ona musi coś zrozumieć. Obrócił się i przycisnął ją mocno do siebie.

– Ty naprawdę jesteś w moim typie, Sam. – Bawił się jej lokami, a ona się przysunęła. – Zawsze pragnąłem takiej kobiety i zaczynałem wątpić, czy kiedykolwiek ją znajdę.

– Znalezliśmy się wzajemnie.

– Znalezliśmy.

– To było raczej niekonwencjonalne spotkanie.

– Bardzo niekonwencjonalne – pocałował ją w czubek głowy. – Musisz mi powiedzieć, jakich używasz perfum. Przysięgam, że nigdy nie wahałem takiego zapachu, nigdy nie smakowałem czegoś takiego. Śni mi się to, jak pachniesz.

Zachichotała.

– To nie perfumy, tylko połączenie olejków – jaśmin, róża i trochę ylang-ylang.

– To nie jest nazwa zespołu rapowego?

Samantha przytuliła go.

– Cieszę się, że ci się podoba. Kombinacja tych olejków nazywa się „ogniem natury”.

– Pasuje do ciebie, mój płomyku.

Pocałowała go w policzek.

– Naprawdę szukałeś takiej kobiety jak ja?

– Oczywiście. Czasem zastanawiam się, czy wiedziałem, czego chcę, zanim cię poznałem. Wiem tylko, że gdy cię ujrzałem, donośny głos w mojej głowie powiedział: ta. Sądzę, że niektóre rzeczy w życiu są zadziwiające.

– Najlepsze z reguły takie są.

– Więc kiedy nabrałaś pewności co do mnie? Przy naszym pierwszym spotkaniu?

– Hmm... – Sam zmieniła pozycję, tak że teraz leżała na nim, przylegając całkowicie. Uwielbiał, gdy tak leżeli. Ścisnął jej twarde pośladki i wciągnął jej zapach.

– Jak pewnie pamiętasz, przewróciłeś się przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Aaa, tak.

– Pomyślałam, że chyba jesteś durny. Wtedy zamierzałam wykorzystać cię tylko do seksu.

Zaczął się śmiać i niemal zrzucił ją z siebie.

– No i proszę, co z tego wyszło, maleńka.

Pocałowała go czule i zaczęła się śmiać razem z nim.

– Ale wiesz, że to nie trwało długo, zauważyłam, że każdego dnia angażuję się coraz bardziej. Myślę, że ostatecznie nastąpiło to w święta.

– Albo dopiero się zaczęło.

– Prawda.

– Sam? Czego szukałaś?

Przestała się ruszać, wolniej oddychała. Jack wiedział, że zastanawia się nad odpowiedzią. Nie był pewien, czy mu się to podoba – chciał, żeby bez skrepowania mówiła, co chodzi jej po głowie, niezależnie od tego, co to jest. Oczekiwał szczerości od swoich doradców, a jeśli Sam miała być jego kobietą, oczekiwał od niej tego samego. Potrzebował tego.

– Proszę, Sam, powiedz.

Siadła na nim okrakiem i położyła ręce na jego torsie. Nie był pewien, czy da radę rozmawiać z nią, wystawiony na jej wszystkie uroki.

– Zawsze chciałam być w prawdziwym związku, Jack. W którym kobieta i mężczyzna są sobą zafascynowani, ale traktują się z szacunkiem i życzliwością. Nigdy tak się nie zdarzyło. Mitch był... cóż, nie był mną zafascynowany z jednego powodu i wszyscy wiemy jakiego.

Próbowała się uśmiechnąć.

– To nie twoja wina, że się okazał gejem, kochanie.

– Wiem – pokiwała głową.

Lok spadł jej na twarz. Wyciągnął rękę i odgarnął go z jej policzka.

– On udawał – powiedział Jack. – To nigdy nie działa się dla niego naprawdę i szczerze mówiąc, bardzo się cieszę, że zdał sobie z tego sprawę. Nie mogę jedynie zrozumieć, że zostawił dzieci. To było podłe.

Sam przekrzywiła głowę i spojrzała na niego uważnie.

– Mitch mnie wykorzystał, Jack. Kiedy zaszłam w ciążę i zdecydowaliśmy się na ślub, wspierałam go. A on nie odwdzieczył się nigdy. To nie był związek partnerski, to nie było miłe, w naszym małżeństwie nie było namiętności, szacunku, życzliwości. Nie chcę więcej czegoś takiego.

- Pozwól, że dam ci to wszystko.
- Dajmy to sobie wzajemnie.
- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Samantho.
- W takim razie kochaj mnie i pozwól mi kochać siebie, a reszta się jakoś ułoży.

Jack usiadł i przycisnął ją mocno, obracał się razem z nią. Po namiętym pocałunku, porcji śmiechu i po masażu, jaki Sam mu zrobiła, odnalazł swoje miejsce. W niej, kochając się z nią namiętnie.

RS

Rozdział trzynasty

– Na pewno wszystko w porządku, Sammy? Wyglądasz jakoś chudo.

– Ha! Ja jestem chuda? Popatrz na siebie! Wyglądasz olśniewająco! – Sam zerknęła znad sterty poczty, którą sortowała, i uśmiechnęła się do Monté, która od kilku miesięcy chodziła na siłownię.

– Tak, nie mogę narzekać. Wciąż zrzucam tłuszcz i nabieram masy mięśniowej.

Kobiety zaśmiały się, słysząc, jak Greg dokucza Lily, wcale się nie jękając.

– Może kostium by ci nie spadł, gdybyś miała cycki – rzucił do siostry w przerwie, kiedy jej nie chlapał. – Wcale nie jesteśmy ciekawi ich widoku.

Sam uśmiechnęła się. Maniery jej dzieci z pewnością się nie poprawiły, ale terapia językowa, na którą chodził Greg, czyniła cuda. Dalej sortowała pocztę, czując wewnętrzny spokój. Kochała Jacka. Kampania szła nadspodziewanie dobrze. Po prawyborach ujawnią, że naprawdę są parą i nie planują tego zmieniać. Pierwszy raz od wielu lat Sam czuła prawdziwą radość, kiedy myślała o przyszłości.

Spojrzenie Sam powędrowało na białą kopertę, którą trzymała w ręku. Zaczęła się trząść, serce jej prawie zamarło. Zerknęła na adres nadawcy, napisany znanym charakterem pisma, a jednocześnie tak obcym. Zaczęła kręcić głową z niedowierzaniem. To niemożliwe.

– O Boże – wyszeptała.

– Co to? – spytała Monté. – Bank nie chce dłużej przechowywać twoich pieniędzy?

Sam powoli podniosła wzrok i spojrzała na Monté, która też wyglądała na przejętą.

– Sammy? Co się do cholery...?

– To list od Mitchella.

Monté zamrugała i parę razy poruszyła głową.

– Co powiedziałaś?

– Ja... ja... nie mogę tego otworzyć. Masz. – Podała list Monté i z powrotem opadła na leżak, obejmując się ramionami.

– Chcesz, żebym otworzyła? A jeśli w środku jest węglik?

– Jestem pewna, że co najwyżej stek bzdur – powiedziała Sam. Monté przyjrzała się kopercie, marszcząc brwi.

– To adres z Indianapolis. Jak to możliwe? Myślę, że powinnam naostrzyć nożyczki i pojechać na przejażdżkę.

– Po prostu mi to przeczytaj.

Monté otworzyła kopertę i wyjęła list napisany na kartce wyrwanej z kołnotatnika.

– Spójrzmy, co tu mamy...

Monté upewniła się, że dzieci siedzą w basenie, i zaczęła szeptem czytać:

Droga Sam,

Wtem, że musisz być zaskoczona tym listem ode mnie. Uwierz, sam jestem zaskoczony, pisząc go. Po pierwsze, pozwól mi przeprosić za to, że odszedłem w taki sposób i że nie wziąłem odpowiedzialności za dzieci. Wiele razy się nad tym zastanawiałem i wiem, że postąpiłem źle. Nie będę prosił, żebyś mi wybaczyła. Sądzę, że to by było za dużo.

– Wiesz, on ma rację – powiedziała Monté.

– Czytaj dalej.

W końcu udało mi się jakoś ułożyć życie po wielu niefortunnych próbach. Podjąłem wiele złych decyzji i wpakowałem się w kłopoty. Zarówno finansowe, jak i osobiste. Ale wygląda na to, że jakoś się to ułoży.

Dołączam kopię czeku, który został dostarczony do urzędu w czwartek. Zapłaciłem wszystkie zaległe alimenty. Jedyne, co musisz zrobić, to iść do biura prokuratora i odebrać czek albo załatwić automatyczną wpłatę. Za kilka miesięcy mam przesłuchanie w sądzie, prawdopodobnie dostanę dozór kuratorski, ale zamierzam stawić czoło moim problemom.

Monté spojrzała na Sam szeroko otwartymi oczami. Później pokazała jej kopię czeku, opiewającego na pięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów.

– Zdaje się, że kiedy zaczyna padać, to już leje.

Sam z trudem oddychała.

– Napisał coś jeszcze?

Monté odchrząknęła i dokończyła:

Proszę jedynie o spotkanie, byśmy porozmawiali osobiście. I w cztery oczy. Chciałbym cię osobiście przeprosić. A także żebyśmy porozmawiali o tym, w jaki sposób mógłbym się widywać z dziećmi.

Monté przygryzła wargę i przez chwilę zastanawiała się nad tym, co przeczytała.

– Ten facet musi być na cracku – powiedziała.

– Nie żartuj. A może i był.

Proszę, zadzwoń do mnie pod numer podany poniżej i daj mi znać, kiedy i gdzie byśmy mogli się spotkać. Dziękuję ci, że tak dobrze zajęłaś się dziećmi, kiedy mnie nie było.

Monté wsunęła list do koperty i podała ją przyjaciółce bez komentarza. Sam złożyła kopertę na pół i schowała do kieszeni spodni, zdając sobie sprawę z tego, że zdrętwiały jej palce.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Sam schowała twarz w dłoniach, próbując uspokoić oddech. W końcu podniosła wzrok na Monté, która jej się przyglądała.

– Nigdy nie myślałam, że zapłaci i poprosi o widywanie się z dziećmi. To nie wpłynie na nie dobrze. Dakota nawet o nim nie słyszała.

Monté wzięła Sam za rękę.

– Musisz porozmawiać z Denny i spytać, co z tym zrobić. Mitch może nawet nie mieć prawa się z nimi widzieć. Nie wiem, jak to jest.

Sam przytaknęła, poczuła się trochę lepiej, ale zdała sobie sprawę z tego, że jej spokój został zakłócony, a wszystko przez Mitcha. Tak się składało, że sześć miesięcy temu Sam byłaby gotowa zabić za ten czek, ale teraz nie miał znaczenia. Nie chciała nawet tych pieniędzy, jeśli miało to oznaczać pójsie z Mitchem na jakiś układ. Przekaze je na fundusz dla ofiar albo pomoc charytatywną dla dzieci.

Dlaczego Mitch zdecydował się grać miłego właśnie teraz?

– Mam bardzo złe przeczucia – powiedziała Sam do Monté.

– Ty też? Ale obiecaj mi jedno: nie spotkasz się z tym facetem beze mnie.

– Umowa stoi. Nie zapomnij przynieść nożyczek.

To była strata czasu; Christy się spóźni na spotkanie z Marcją i na lunch z Brandonem. Jednak jej dentysta błagał ją, żeby zobaczyła się z chirurgiem szczękowym. Czekala więc na krzesło w poczekalni, a czas upływał jej na przeglądaniu najnowszego numeru „Cosmo” i patrzeniu na zegarek. Pomyślała, że nadciąga apokalipsa, kiedy zobaczyła trzy artykuły na temat, jak zadowolić

mężczyznę, uprawiając z nim seks oralny. A gdzie cały urok? Gdzie romans? Co się stało z dobrymi obyczajami? Poza tym szczęka tak jej dokuczała, że nie zdecydowałyby się na zrobienie komuś loda.

– Panna Schoen?

Nareszcie! Christy poszła za pielęgniarką do pokoju zabiegowego. Była miło zaskoczona, widząc młodego, przystojnego lekarza, który uśmiechnął się do niej, gdy wszedł do pokoju. Miał ciemne włosy i szare oczy, które przypominały jej trochę Jacka Tollivera. A to pech. Niestety nie będzie się z nim spotykała.

– Myślę, że nie może pani dłużej czekać z usunięciem zęba, panno Schoen – powiedział lekarz, oglądając zdjęcia i wyniki. – Wiem, że odkładała to pani prawie przez rok. Jeśli pani nie pozbędzie się tego zęba, najprawdopodobniej dojdzie do infekcji ogólnoustrojowej. – Uśmiechnął się. – Zawsze mówiłem, że nie do końca wyrżnięty ząb mądrości jest jak niewierność – wyjdzie na jaw.

Christy nie była pewna, czy facet żartuje, ale wiedziała, że nie chce, by jej dźgała kroił jakiś dowcipniś.

– Rozumiem, że jest pani trochę wystraszona. Ręczę pani, że większość pacjentów jest miło zaskoczona tym, że nie jest tak źle, jak się obawiali. Dostanie pani znieczulenie ogólne i receptę na środki przeciwbólowe. Sugeruję, żeby wzięła pani kilka dni wolnego, by wrócić do formy. Mówienie i żucie może być kłopotliwe przez jakieś dwadzieścia cztery godziny.

To przesądzało sprawę.

– Nie mogę tego zrobić przed prawyborami, które odbędą się dziewiątego maja.

Na twarzy lekarza pojawił się grymas niezadowolenia, zerknął w kalendarz.

– Ale to pięć tygodni, licząc od dzisiaj.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie jestem pewien, czy wytrzyma pani tyle czasu.

– Nie mam wyboru.

– Czy jest pani zaangażowana w wybory na burmistrza czy coś takiego?

Christy gwałtownie wciągnęła powietrze.

– W tym roku nie ma wyborów na burmistrza. Jestem dziennikarką polityczną w Kanale Dziesiątym i gospodynią programu *Capitol Update with Christy Schoen*. Jest emitowany w niedziele o drugiej po południu i powtarzany trzy razy w tygodniu.

Lekarz wzruszył ramionami, robiąc jakieś zapiski w karcie Christy.

– Przepraszam, prawie nie oglądam telewizji.

Christy opuściła gabinet umówiona na wizytę jedenastego maja o ósmej rano. Zastanawiała się, czy może ufać facetowi, który nie ogląda telewizji. Była pewna, że znajdzie jakiegoś dobrego chirurga szczękowego do czasu umówionej wizyty.

Jej spotkanie z Marcją przeleciało w błyskawicznym tempie. Marcja sprawiała wrażenie niezdecydowanej, czy chce mówić o czymkolwiek, co ma związek z Samanthą Monroe. Zwłaszcza że Monté rzuciła spojrzenia, które niejednego mogłyby wystraszyć. Christy starała się zachować spokój. Nie chciała, żeby ktoś się domyślił, iż chodzi jej wyłącznie o Samanthę Monroe.

Tylko Brandon wiedział. Siedząc naprzeciw niego w chińskiej restauracji Michaela Pi, Christy musiała przyznać, że dobrze postąpiła, przyjmując jego ofertę pomocy. Bez problemu doprowadził sprawę do tego momentu.

Przekonał Mitcha Bergena, żeby się ujawnił, i sprowadził go do miasta. Anonimowo zapłacił gotówką zaległe alimenty na dzieci Mitcha, znalazł mu tanie mieszkanie i tani, używany samochód, nawet załatwił mu pracę w biurze zajmującym się przyjmowaniem i rozsyłaniem korespondencji, a także w firmie ubezpieczeniowej. Brandon okazywał się błyskotliwym asystentem.

Oczywiście były chwile, kiedy Christy narzekała na to, ile on ją kosztuje. Ale doszła do wniosku, że jest to inwestycja w jej przyszłość. Spieniężyła część akcji Microsoftu, które ojciec dał jej z okazji zakończenia nauki w liceum (coś, co ją niemiłosiernie wkurzało), żeby pokryć wydatki Mitcha. Kiedy ujawni prawdę, posypią się oferty, odkuje się w ciągu kilku miesięcy.

– Kiedy znajdziesz czas na cichy obiad we dwoje?

Christy zdała sobie sprawę, że musi zachować ostrożność, jeśli chodzi o tego typu spotkania. Będzie się trzymała Brandona, dopóki historia Tollivera nie ujrzy światła dziennego, a później też będzie go potrzebowała jako sojusznika. Musiała przyznać, że zaimponowała jej operatywność Miliewskiego. Czasami też podobał jej się jego uśmiech. Ale nie była gotowa na żaden cichy obiadek u niego w domu.

– Porozmawiamy o tym, kiedy wszystko wyjdzie na jaw.

– Nie mogę czekać tak długo. Kocham cię, Christy, zawsze cię kochałem.

Uścisnęła jego pulchną dłoń.

– Będziemy mieli tyle zabawy w nadchodzących tygodniach, że ten czas upłynie jak z bicia strzelił.

Kilka minut później Brandon spytał Christy, czemu ledwo tknęła kurczaka.

– Dokuczają mi zęby mądrości. Będę je musiała usunąć po wyborach.

Brandon przestał jeść, wytarł usta serwetką i powiedział:

– Lepiej weź sobie tydzień wolnego, a ja przyjadę i zajmę się wszystkim. Christy była zszokowana.

– Tydzień?

– O tak. Miałem usunięte trzy z czterech i przez tydzień byłem wrakiem człowieka. Wkurzałem mojego współlokatora, ponieważ pod wpływem znieczulenia wariowałem. Nazywałem go dupkiem. Wyprowadził się trzy tygodnie później.

To były bardzo niepokojące wiadomości. Christy upiła łyk wody z lodem i przeklęła się w myślach za to, że nie zajęła się zębami rok temu. Przysięgła sobie, że nigdy więcej nie odłoży na jutro tego, co powinna zrobić dzisiaj.

– Musimy założyć podsłuch Mitchowi Bergenowi i wysłać go na spotkanie.

– Sam Monroe nie daje poznać po sobie, że otrzymała wiadomość.

– Niedobrze.

– Nie zrealizowała czeku. Sprawdzalem.

– Cholera. To musi się udać. Brandon uśmiechnął się do niej.

– Uda się. Poczekajmy spokojnie. Wiesz, że jesteś genialna. Christy uśmiechnęła się i pozwoliła mu potrzymać się za rękę.

Marguerite Tolliver była naprawdę niepokieszona. Wróciła do Naples w połowie stycznia i nic nie mogła zaradzić na zbliżającą się nieuchronnie katastrofę. Jack nie chciał jej słuchać. Zachowywał się jak nastolatek, w którym buzują hormony. Był zadurzony w tej łązającej w bieliźnie babce w średnim wieku, którą trzymał w Sunset Lane. Nawet dał jej pierścionek zaręczynowy prababci, żeby paradowała w nim po mieście wesola jak skowronek! To było podłe, ale kiedy Marguerite próbowała porozmawiać z

Jackiem, on ją zbywał. Gdy przypominała sobie fragmenty ich ostatniej rozmowy, od razu czuła się niedobrze.

– Myślałem, że chciałaś, bym został senatorem Stanów Zjednoczonych – powiedział Jack, siadając obok niej na starej sofie, która należała kiedyś do Gordona. Przeszkadzało jej, że głos syna był pozbawiony emocji.

– Oczywiście, że chcę! Wykonasz świetną pracę na Kapitolu!

– W takim razie pozwól mi się zająć moim życiem osobistym i kampanią. Wiem, co robię.

– Jack, myślę, że jednak nie wiesz, co robisz. To od początku był poroniony pomysł. Jeśli ktoś się dowie, w co się wpakowałeś, będziesz raz na zawsze skończony jako polityk. Nie chcę, żebyś tak ucierpiał.

– Chciałaś powiedzieć, że nie chcesz, by ucierpiało nazwisko Tolliver.

– Tu chodzi o coś więcej.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek liczyło się dla ciebie coś więcej, Marguerite. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłem dla ciebie kimś więcej niż człowiekiem noszącym to nazwisko.

Och, jak ją to zabolalo. Zdawała sobie sprawę z tego, że nigdy nie była wylewną matką, ale zawsze była dumna z Jacka i wspierała go na każdym kroku. Nie byłby tym, kim jest, bez jej pomocy. Prawda?

Marguerite usiadła przy stoliku śniadaniowym i patrzyła, jak Nestor zajmuje się kwiatami. Odpłynęła myślami do bliźniaczek. Wiele razy zastanawiała się, jak by wyglądało życie jej i Jacka, gdyby te dwa aniołki przeżyły. Ale tak się nie stało. Po ich śmierci skoncentrowała się na karierze Gordona. Wiedziała, że Jack czuje się ignorowany, ale musiała tak robić, żeby przeżyć. Żaden dorastający chłopiec nie potrzebuje matki, która oszalała z rozpaczy. Wydawało się, że Jack znosi to bez większych problemów.

Oczywiście chciała, żeby Jack znalazł sobie kobietę, którą pokocha. Niechby ustatkował się, założył rodzinę. Czasem Marguerite czuła się trochę głupio, licząc na to, że dzieci Jacka przywróciłyby jej spokój ducha. Tak bardzo chciała mieć wnuki. I to teraz, zanim stanie się za stara i za słaba, żeby je nosić na rękach i bawić się z nimi.

Pragnęła wnuków, zanim umrze. Potrzebowała dowodu na to, że ród przetrwa.

Nie mogła patrzeć na to, jak Jack marnuje swoje najlepsze lata na tanie kobiety, prezenty dla nich i na bezcelową karierę polityczną. Byłaby szczęśliwa, gdyby się zakochał. Naprawdę, niezależnie od tego, kogo by kochał.

Ale Samantha Monroe?

Dobry Boże, sypia z kobietą, której płaci za to, żeby udawała jego narzeczoną! Nie można jej było nazwać inaczej niż call girl! Call girl z trójką dzieci! Na samą myśl robiło jej się niedobrze. Zastanawiała się, czy nie namówić Kary i Stu, żeby nakłonili Jacka do skończenia tej farsy. Ale czy zrobiliby to? To, że Jack i Sam naprawdę są parą, sprawia, że są bardziej wiarygodni. A Marguerite wcale nie zamierzała ogłaszać, jak bardzo Jack obniżył swoje standardy.

Pociągnęła łyk kawy i westchnęła. Prawybyory odbędą się za miesiąc, a ona w przyszłym tygodniu powinna wrócić do Indiany, żeby wesprzeć Jacka w ostatnim etapie kampanii. Miała się pojawić na uroczystym lunchu w klubie kobiet, na bankiecie stowarzyszenia na rzecz zdrowia psychicznego, na wywiadzie w radiu i dwóch dla prasy, i oczywiście Christy Schoen namawiała ją, żeby wystąpiła w *Capitol Update* i opowiedziała o tym, jak jest podeksytowana przyszłą synową.

Nie, dziękuję.

Nie mogła wybaczyć, że Samantha Monroe miała czelność powiedzieć jej, że jej fryzura jest przestępstwem. Jak śmiała! Marguerite kochała swoją fryzurę już od przeszło trzydziestu lat.

– Pani Tolliver, chce pani, żebym ściął hibiskusy? Marguerite odwróciła się do Nestora i spojrzała niezbyt przytomnie. Przecież wszystko było w porządku z jej włosami... prawda?

– Pani Tolliver? Czy chce pani, żebym je wszystkie przyciął?

– Co? Och, jak dla mnie możesz ściąć wszystkie.

W piątkowy wieczór Picia i Depresji dziewięć kobiet zebrało się w posiadłości Sunset Lane na imprezie przy basenie. Z dołu dobiegał śmiech dzieci. Kobiety krzątały się między pokojem Floryda, gdzie powstały stanowiska do manikiuru i pedikiuru, pokojem kredensowym, w którym zorganizowano salon fryzjerski, a kuchnią, gdzie wyłożono najróżniejsze smakołyki w rodzaju tortilli, ciastek czekoladowych z orzechami makadamia, specjały z prażonego ryżu, dip z karczochów, bruschettę i blachę owoców z beztłuszczowym i bezcukrowym dipem.

Kara jak zwykle miała farbowane odrosty i podcinane końcówki włosów. Denny chciała, żeby bardziej rozjaśnić jej blond pasemka. Wanda postanowiła sprawdzić, jak będzie wyglądała z jasnobrązowymi pasmami. Candy McGaughy przyszła skrócić fryzurę, bo gdy zajęta jest opieką nad dzieckiem, nie ma czasu na modelowanie włosów. Olivia Petrakis czekała na pedikiur, a Brigid Larson zapragnęła mieć duże, romantyczne loki.

Monté po zrobieniu Sam zwykłej trwałej spięła jej włosy spinką, zostawiając kilka loków spadających na twarz. Sam zajęła się warkoczami

Monté i jej manikiurem. Marcia poprosiła o zwykłą trwałą, a później obserwowwała, jak Candy robi pedikiur.

– Jesteś w tym niezła – powiedziała Marcia.

– Muszę być niezła we wszystkim, jestem matką – odparła Candy.

Brigid wpadła na pomysł wykąpania Dale'a w zlewie w pokoju kredensowym. Podobało jej się to znacznie bardziej niż psu. Kiedy zaczęła mu nakładać odżywkę na sierść, Monté zapytała:

– Wiesz, że to kosztuje pięć dolców za dwadzieścia gramów?

Brigid podniosła nic niepokojącego psa i postawiła go na tylnych łapach.

– Jestem tego wart – powiedziała, przytrzymując go za przednie łapy.

Wszyscy się zaśmiali.

– Monté, podobno poznałeś jakiegoś mężczyznę na siłowni – odezwała się Olivia, przeżuwając ciasteczko czekoladowe. – Na jakim etapie jest wasza znajomość? Na etapie: jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej? Na etapie: zaczynam się zastanawiać, co on o nas sądzi? A może na etapie: czuję się bezpiecznie?

– Powinnaś się częściej umawiać z kobietami, Olivio – parsknęła Denny.

– To miły facet. Rozwiedziony, ma dwójkę dzieciaków w college'u. Traktuje mnie jak królową. To pierwszy mężczyzna od lat, którego naprawdę polubiłam, więc dajcie siostrze trochę odpocząć – odpowiedziała Monté, rozwiewając ich wątpliwości.

– Ojej, to brzmi jak miłość – zauważyła Kara.

– Jest też słodki – wtrąciła Marcia, poruszając brwiami. – Któregoś dnia przyszedł do salonu i wszystkie nas zamurował.

– To się zdarza, kiedy normalny facet wchodzi do Le Cirque – odparła Sam.

– A co z twoim romansiem, Sam? – spytała Wanda, która z kieliszkiem w dłoni przysiadła na blacie. – Czy ustaliliście już datę?

– Jeszcze nie – odrzekła Sam, wycierając Dale'a. – Nie zamierzamy się tym stresować przed wyborami powszechnymi w listopadzie.

Kara spojrzała na nią, dając do zrozumienia, że to była szybka, przemyślana odpowiedź.

– Za każdym razem, kiedy widzę was w telewizji albo na zdjęciach w gazetach, wyglądacie na takich szczęśliwych. On wydaje się taki zainteresowany tobą.

– Bo jest – powiedziała Sam, odkładając przybory do zlewu. – Nigdy wcześniej nie znałam takiego mężczyzny jak Jack. Czuję się przy nim swobodnie. Nigdy nie myślałam, że związek może dawać tyle radości.

– Ojej, i chyba świetnie całuje. Przyznaj się – powiedziała Wanda.

– Założę się, że jest niezły w te klocki – dodała Marcia.

– Trafnie to ujęłaś – odparła Sam, myjąc ręce w zlewie. Kiedy się odwróciła, napotkała ostrzegawcze spojrzenia Monté,

Denny i Kary. Ocaliło ją wejście Jacka, który postanowił sprawdzić, jak impreza się rozwija.

– Ostrożnie, moje panie – powiedział, biorąc kawałek bruschetty. – Kiedyś wpadłem w duże tarapaty, czyniąc tego typu seksistowskie uwagi.

– Panie, miej litość – jęknęła Monté.

– Ja tylko... – Olivia wyglądała, jakby miała umrzeć. – Ja...

– On się z tobą droczy – odezwała się Kara. – Jack uwielbia być adorowany przez kobiety.

– Szczególnie przez jedną – podszedł do Sam i pocałował ją w policzek. Wyglądało to jak niewinny buziak, tylko Sam poczuła, że przesunął językiem po jej twarzy. Nie mogła się powstrzymać i zachichotała.

Jack przedstawił się zafascynowanej gwiazdami ekranu Brigid i Olivii, nerwowej Wandzie, uśmiechniętej Candy i egzaltowanej Marcii.

– Miło cię wreszcie poznać! – powiedziała Marcia, potrząsając jego ręką.
– Wszystkie jesteście takie podekscytowane tobą i Sam!

– Och – westchnęła Monté.

– Czy znajdzie się jakiejś miejsce, gdzie można by mnie przystrzyc? – spytał Jack.

– Tak – odparły chórem.

Sam podcinała mu włosy, a on dyskutował z Brigid i Wandą o tym, jak można zostać wolontariuszem podczas kampanii. Greg i Lily zajrzeli do pokoju kredensowego.

– Hej, Jack! – powiedział Greg z uśmiechem. – Pedikiur też sobie zrobisz?

– Nie. Czekam na woskowanie bikini.

– Mogę ci to zrobić – zaoferowała się Marcia.

Greg powiedział Sam, że idą już na górę, kiedy do pomieszczenia wpadł Dakota.

– Pan Jack. – Momentalnie zanurkował na kolana Jacka.

Sam patrzyła, jak obcięte kosmyki Jacka spadają na koszulkę i spodenki Dakoty. Nachyliła się, żeby pocałować swoje najmłodsze dziecko.

– Śpij dobrze, mój mały mężczyzno.

– Dobrze, mamusiu, dobranoc, panie Jack. – Dakota złapał policzki Jacka w swoje rączki i dał mu buziaka.

Jack zaśmiał się i zmierzwił loczki chłopca.

– Dobranoc, Dakota.

– Lily, będziesz pamiętać, żeby zabrać go na siusiu przed snem?

– Rety, mamó? Jak mogłabym zapomnieć? Jak ktokolwiek mógłby zapomnieć? Nasze życie kręci się wokół przyzwyczajień łazienkowych Dakoty

– Wszystko lepsze niż pieluchy – powiedział Simon, rozglądając się za Gregiem w zatłoczonym pokoju kredensowym.

– Dobranoc, mamó, dobranoc wszystkim.

Kiedy Sam skończyła strzyc Jacka, ten zwędził parę ciasteczek czekoladowych na drogę, pożegnał się i poszedł do siebie. Sam prawie pół godziny żegnała przyjaciółki przy drzwiach frontowych, upewniając się, że żadna nie zapomniała kostiumu kąpielowego albo półmiska.

– Och, Sam, musisz się czuć wspaniale, widząc, że twoje dzieci mają taki dobry męski wzorzec – powiedziała Marcia i objęła ją.

– To prawda – odpowiedziała.

Monté kończyła sprzątanie kuchni, kiedy Sam do niej dołączyła. Patrzyła, jak jej najlepsza przyjaciółka porządkuje stertę naczyń.

– Siadaj, Sammy.

Sam westchnęła i wyciągnęła stołek spod blatu. Wiedziała, że to kiedyś nastąpi. Wiedziała, że nie ma sensu udawać, bo Monté i tak ją przejrzy. Szczerze mówiąc, chciała, żeby Monté wiedziała, chciała jej powierzyć swoją tajemnicę.

– Jesteś w nim zakochana – rzuciła ostro Monté.

Sam nic nie odpowiedziała, obracała na palcu diamentowo—szmaragdowy pierścionek.

– Cholera, dziewczyno! Czyś ty zupełnie oszalała?

Sam napotkała wzburzone spojrzenie Monté, ale milczała. Monté gestykulowała zawzięcie.

– Ten facet praktycznie mieszka w tym domu! Widzę, jak na niego patrzysz. A to jak Dakota zachowywał się w stosunku do niego? Halo? Mały za bardzo się przywiązuje do twojego szefa. Wiesz, co mam na myśli?

– Musisz mi zaufać.

Monté zmrużyła oczy i położyła ręce na wyraźnie szczuplejszych biodrach.

– Od jak dawna z nim sypiasz?

– Od dość dawna.

– Jak mogłaś mi o tym nie powiedzieć?

– Przepraszam, Monté! – Sam zasłoniła oczy, by nie patrzeć na przyjaciółkę.

Monté przysunęła stół do blatu kuchennego.

– Przepraszam, Monté. Powinam ci powiedzieć, ale kiedy zdałam sobie sprawę z mojego błędu, było już za późno. Wiedziałam, że się zirytujesz.

– Od kiedy dokładnie z nim sypiasz?

– Od tej nocy, kiedy była gołoledź.

Monté otworzyła usta ze zdziwienia.

– Z pewnością nie marnowałaś czasu, co?

– To było wzajemne niesamowite seksualne doświadczenie.

– Mhmm–hmm. Pomijając fakt, że seks dla Jacka nie oznacza tego samego co dla ciebie. Nie grasz na tych samych zasadach co on, Sammy. Nie wiem, czy w ogóle gracie w tę samą grę. I doskonale powinnaś wiedzieć, że nie wolno iść z facetem do łóżka przed trzecią randką.

– Myślę, że to była moja czwarta lub piąta randka. I wiem, co robię. Jack mnie kocha.

Monté sięgnęła po rękę Sam. Wyglądała na zmartwioną.

– Nie, dziewczyno, to ja ciebie kocham i dlatego powiem to, co zamierzam powiedzieć. – Westchnęła i kontynuowała: – Jack jest świetny, naprawdę go lubię. Na pewno jest w porządku. Ale Sam, to nagranie z tamtą kobietą nie jest dokładnie...

– On się zmienił.

Monté zwróciła oczy do nieba.

– Czy ty siebie słyszysz? Ile dziennie wysłuchujemy kobiet, które się z kimś rozstały. Każda mówi to samo.

– Mnie i Jacka łączy coś szczególnego, Monté. To się po prostu stało, żadne z nas tego nie planowało. Jack sprawia, że czuję się doceniana, dowartościowana i pożądana. To jest zupełnie inne od tego, czego doświadczyłam wcześniej.

– W porządku, Sam, czy powiedział, że cię kocha?

– Tak. – Sam nie mogła powstrzymać promiennego uśmiechu. – Mówi to często i ja mu odpowiadam to samo.

– A rozmawialiście o planach na przyszłość? Poprosił, żebyś za niego wyszła?

– Niedokładnie w takich słowach, ale wiem, że bierze to pod uwagę. – Sam się uśmiechnęła.

Monté spojrzała na nią uważnie.

– Nie wiem, co powiedzieć. To tak, jakbyś odsunęła mnie ze swojego życia lub coś w tym stylu. Ja mówię ci prawie wszystko, Sam! Powiedziałam

ci o Royu Harrisonie z klubu, a to nie jest nic poważnego. Cóż, na razie. A ty nawet nie raczyłaś mnie wtajemniczyć w twoją szokującą przygodę miłosną?

– Przykro mi – powiedziała Sam. I było jej przykro. Czuła się jak kretynka i nienawidziła myśli, że zraniła Monté. – Tak samo się poczuje, jeśli ty kiedykolwiek mnie w coś nie wtajemniczysz.

– Nigdy tego nie zrobię.

– Dobrze. Ale proszę, zrozum, że to nie jest tylko przygoda. Pracuję dla Jacka. Od tego zależy przyszłość moich dzieci. Napastowała mnie w toalecie reporterka, która jest zdecydowana zrobić wszystko, by nas skompromitować. Nie byłam też pewna uczuć Jacka. Pomyślałam, że może to tylko przygoda. – Sam westchnęła, zauważyła, że jej argumenty nie przemawiają do Monté. – Zamierzałam ci powiedzieć.

– Mhmm–hmm.

– Przepraszam, że cię nie wtajemniczyłam.

Monté pokiwała głowę.

– Cóż, sądzę, że to jest kolejna rzecz, którą powinnam zachować w sekrecie?

– Jeśliby ci to nie przeszkadzało. – Sam przytuliła przyjaciółkę. – I naprawdę wyglądasz wspaniale, Monté.

– Nie próbuj zmieniać tematu, mówiąc, jak mi dobrze idzie, chociaż wiem, że to prawda.

Sam zaśmiała się.

– Wiesz, że Kara niedługo zacznie coś podejrzewać – powiedziała Monté, marszcząc brwi.

– Nie zgadzam się z tobą. Ludzie widzą to, co chcą widzieć, i myślę, że Karze wydaje się, że to, co dzieje się między Jackiem a mną, jest częścią idealnego planu, przejawem jej geniuszu. Myślę, że niczego się nie domyśla.

Monté wstała ze stołka i sięgnęła po rękę Sam, żeby pomóc jej się podnieść.

– Chodź. Prześpijmy się trochę. Myślę, że dziś zdrzemnę się w sypialni Lincolna.

– Jesteś pokrecona – powiedziała Sam i się zaśmiała. Zgasiła światła i poszły przez hol do głównych schodów.

Monté zatrzymała się w połowie drogi.

– Jeśli Jack Tolliver zrani cię w jakikolwiek sposób, przysięgam, że...

– Nie! – Sam ścisnęła rękę Monté – żadnych ostrych przedmiotów w pobliżu tego mężczyzny.

Kilka godzin później telefon wybudził Sam z głębokiego snu. Zapaliła światło i sięgnęła po słuchawkę. Niewiele osób znało ten numer i nawet nie mogła się domyślić, kto dzwoni o tej porze. Na wyświetlaczu zobaczyła: numer prywatny.

– Halo?

– Sam, tu Mitch. Nawet nie wiesz, jak dobrze słyszeć twój głos.

Rozdział czternasty

Sam podskoczyła gwałtownie na łóżku i obronnym gestem naciągnęła kołdrę na piersi.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Mitch.

– Nie rozłączaj się, proszę.

Nie zrobiła tego i zastanawiała się, czemu jest taka ciekawa, dlaczego właśnie teraz pojawił się w jej życiu. A może wreszcie, po trzech latach, miała szansę, żeby powiedzieć mu, jaką krzywdę wyrządził Lily, Gregowi i Dakocie.

– Chcę zobaczyć dzieci, Sam. Muszę je zobaczyć.

Sam zdrętwiała na te słowa. Denny powiedziała jej, że Mitch prawdopodobnie będzie tego żądał, i poinstruowała ją, jak się zachować.

– Nie masz prawa do widywania się z dziećmi. Poradź się prawnika. Nie powinnam w ogóle z tobą rozmawiać.

– Spotkaj się ze mną. Porozmawiajmy. Nie możesz być tak okrutna i odmawiać mi prawa do widzenia się z dziećmi.

Nagle Sam zrobiła się twardsza.

– Skąd wzięłeś pieniądze na zapłacenie alimentów, Mitch?

– Powiedziałas to tak, jakbym obrabował bank lub coś w tym stylu. Zarobiłem je.

– Szklane spodki muszą naprawdę wracać do łask.

– Wiedziałem, że będziesz rozgoryczona.

– Rozgoryczona? – Sam zaczęła się śmiać tak głośno, że przestraszyła się, iż obudzi śpiącego w sąsiednim pokoju Dakotę. – Posłuchaj uważnie, Mitch. Cieszę się, że odszedłeś. Byłam wściekła, kiedy zostawiłeś mnie z

trójką dzieci. Ale wszystko obróciło się na dobre. Radzę sobie znacznie lepiej bez ciebie.

– Proszę, spotkaj się ze mną. Może w jakimś ustronnym miejscu, żeby porozmawiać, gdzieś, gdzie będziemy mogli...

– Porozmawiaj z prawnikiem. Nie dzwoń do mnie więcej. – Sam rozłączyła się, ale nie mogła zasnąć do rana. Była pełna obaw. O co chodziło Mitchowi? Wiedziała, że nie może mu ufać. Jeśli ojciec pojawi się na chwilę, a zaraz potem znów zniknie, nie wpłynie to dobrze na dzieci.

Zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby się tak nie stało.

– Wciąż jestem bardzo ciekaw, dla kogo pracujesz. – Mitch po raz kolejny próbował wybadać Brandona w czasie, kiedy ten przymocowywał plastrem mikrofon. Mitch miał nadzieję, że nie zerwie go ze skórą, kiedy będzie chciał to zdjąć. – Jak się dowiedziałeś, że Sam ma dziś rano spotkanie w biurze prokuratora? Skąd masz te informacje?

– To nieistotne. – Brandon nie wykazywał cierpliwości w stosunku do Mitcha. – Wszystko, co masz zrobić, to nagrać na taśmie wypowiedź Samantha Monroe, że zaręczyny to chwyt reklamowy. Nie obchodzi nas, jak to zrobisz, masz to zrobić. A jeśli nie, to będziesz musiał sobie radzić sam – bez samochodu, bez mieszkania, bez pracy. Zrozumiałeś?

Mitch gardził tym facetem, nie znosił takich gogusiów, którzy rzną ważniaka i wykorzystują cię, ile wlezie. Ten Brandon jakiś tam na pewno uważał, że jest za dobry do wykonywania takiej roboty.

– Powiedziałeś, że znów będę mógł widywać dzieci. To jedyny powód, dla którego wykonuję tę podejrzaną robotę.

– Powiedziałem ci, że dostaniesz szansę widywania dzieci. Twój dług jest spleacony. Aspekty prawne musisz omówić z prawnikiem.

– Nie mam go. Czy ty jesteś prawnikiem?

Brandon obciągnął koszulę Mitcha i popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Tak, ale nie zajmuję się kuratelą.

Mitch z każdą minutą czuł się gorzej. Był wkurzony na tego palanta i na kogoś, dla kogo on pracował. Był wkurzony na Sam za to, że traktowała go, jakby nic jej nie obchodziło. Ale najbardziej był wkurzony na siebie, że wpakował się w to wszystko.

Chciał tylko zobaczyć dzieci.

– Czujesz to? – spytał Brandon, zapinając brzydką, podszytą miśkiem zieloną kurtkę Mitcha.

– Bajecznie! Materiał jest świetny, a kolor wprost idealny!

Brandon spojrzał na niego z grymasem niezadowolenia na twarzy i odsunął się kilka kroków. Mitch zaśmiał się, uwielbiał się tak zachowywać wobec homofobów.

– Pamiętaj, żeby później nie majstrować przy magnetofonie. Zadzwoń i powiedz, jak skończysz. Spotkamy się w męskiej toalecie w City Market. Tam to z ciebie zdejmę.

– Ale z ciebie żartowniś.

– Ech. Nie mogę się doczekać, kiedy to się skończy – mruknął Brandon, po czym wyszedł z mieszkania.

– Obaj nie możemy się tego doczekać.

Kiedy drzwi się zamknęły, Mitch przez chwilę stał nieruchomo, a potem w przebłysku geniuszu pozbierał wszystkie rzeczy, które warto było zatrzymać, i wrzucił je do bagażnika pontiaca. Zamierzał poszperać trochę w bibliotece, w końcu wypadł trochę z obiegu w ostatnich latach, żeby nadrobić zaległości z zakresu polityki. Nie zamierzał się tu więcej pokazywać. Myślał o

Kalifornii. Może tam mu się uda. Może dzieci będą chciały przyjechać w odwiedziny.

Sam nie była w budynku City–County od lat. Sterylne ściany i sterylne wnętrza napawały ją przerażeniem. Ostatnim razem była tutaj, żeby sfinalizować rozwód.

Otworzyła szklane drzwi do biura prokuratora hrabstwa Marion i podeszła do recepcjonistki. Sam poczekała kilka minut na spotkanie, zafascynowana tłumem spieszących się ludzi. Przypominało jej to typowy dzień w Le Cirque i Sam zdała sobie sprawę, że wcale za tym nie tęskni.

Może wróci tam, do pracy na niepełnym etacie, a być może wcale tam nie wróci.

– Panna Monroe? – Zmęczona młoda kobieta w niebieskiej garsonce stała przed nią w poczekalni. – To zajmie chwilę.

Załatwienie sprawy trwało piętnaście minut i Sam otrzymała czek na sumę, którą Mitch był winien dzieciom. Zastępca prokuratora zadał Sam to samo pytanie, które ona zadawała sobie: Skąd Mitch wziął pieniądze. Odpowiedziała, że nie ma pojęcia.

Ledwie wyszła z biura, poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciła się i ujrzała Mitcha. Te dobrze znane oczy wyrażały coś, czego nie widziała przez te wszystkie lata – desperację.

Sam zamurowało. Nie mogła wykrztusić słowa. Odsunęła jego rękę i ruszyła w kierunku zatłoczonego głównego holu, wiedziała, że podąża tuż za nią.

– Musimy porozmawiać! – zawołał Mitch. – Sam, proszę! Musisz ze mną porozmawiać.

– Zostaw mnie w spokoju. – Sam spojrzała na tłum zgromadzony przy windzie i poczuła mdłości. Zdecydowała, że pójdzie schodami. Przeklęła się za ten głupi pomysł, kiedy usłyszała kroki Mitcha za sobą.

– Sam! Proszę!

Odwróciła się i zatrzymała między drugim a trzecim piętrem. Przytrzymała się metalowej poręczy, bo nagle zrobiło jej się słabo.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Mitch. Spieprzyłeś sprawę. Nie możesz widywać się z dziećmi, bo spieprzyłeś sprawę, rozumiesz?

Mitch stanął dwa schodki nad nią i spojrzał jej w oczy. Postarzał się przez te trzy lata, wyglądał, jakby zaraz miał rozegrać partyjkę golfa. Mitch, którego znała, ubierał się w czarne dżinsy, czarne podkoszulki i czarne skórzane marynarki.

– Wyglądasz prześlicznie, Sam. Zawsze byłaś piękną kobietą.

– O rety. Zaraz się porzygam.

– Wiem, że strasznie namieszałem. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę.

Sam zaśmiała mu się w twarz.

– Hej, Mitch! Tu nie chodzi o mnie, tylko o twoje dzieci. A moje zadanie polega na tym, żeby robić to, co dla nich najlepsze. Czyli coś, czym ty nigdy się nie zajmowałeś.

– Nie bądź taką suką.

– Zapomnij! – Odwróciła się, by odejść, i mało się nie przewróciła. Oparła się ręką o ścianę.

– Poczekaj! Przepraszam! – Mitch podszedł do niej. – Chodzi o to, że kiedy zobaczyłem cię z Jackiem Tolliverem, zrozumiałem, że jeśli teraz się nie ujawnię, to on prawdopodobnie adoptuje moje dzieci i nigdy nie będę miał

szansy powiedzieć im, że jest mi bardzo przykro, że je zraniłem. Chcę znów być dla nich ojcem!

Sam odwróciła się powoli i zobaczyła łzy na twarzy Mitcha. W pierwszym odruchu chciała dodać mu otuchy, ale nie miała na to siły.

– Nienawidzę siebie za to, co im zrobiłem, Sam. Nawet nie wiesz, przez co przeszedłem przez te lata i jak dostałem w kość od życia.

– Och, rzeczywiście. Nie masz pojęcia, przez co ja przeszłam.

– Przykro mi, Sam.

– Jasne. Cóż, nie zamierzam ciągnąć tej rozmowy. Nie czuję się dobrze. Poza tym powinieneś rozmawiać z prawnikiem, nie ze mną.

– W porządku. Ale nie zgodzę się na to, żeby Tolliver adoptował moje dzieci, kiedy się pobierzecie. Słyszałaś? To są moje dzieci i tylko one się liczą w moim życiu!

Sam zmarszczyła brwi, zastanawiała się, jak zakończyć tę rozmowę.

– Słabo mi.

Usiadła na ostatnim schodku, Mitch podszedł bliżej.

– Mam prawo do odnowienia kontaktów z nimi. Myśl, że jakiś obcy facet mógłby je adoptować, doprowadza mnie do szału.

– Wybacz, nie wierzę w twoją nagłą miłość do dzieci.

Mitch wzruszył ramionami i zanim się zorientowała, usiadł przy niej. Oparł głowę na rękach i rozplakał się jak dziecko.

Sam miała wrażenie, że ściany na nią napierają. Czowała się jak w potrzasku. Musiała się stąd wydostać.

Głos Mitcha był zduszony, kiedy znów się odezwał:

– Proszę, nie pozwól mu zabrać moich dzieci! Tylko one mi się w życiu udały. Boże, błagam cię!

Sam podniosła się i zaczęła walczyć z nudnościami.

– Przestań, Mitch, po prostu przestań. On ich nie adoptuje. My nie jesteśmy naprawdę zaręczeni. Jack Tolliver zatrudnił mnie, żebym do prawyborów udawała jego narzeczoną. To wszystko. To jest biznes. A teraz muszę iść.

Mitch powoli podniósł twarz i Sam z przerażeniem zauważyła, że w oczach jej byłego męża pojawił się dziwny błysk, jakby Mitch poczuł złośliwą satysfakcję. Jak to się stało, że w mgnieniu oka rozpacz zmieniła się w satysfakcję?

– Dziękuję ci, Sam. To wszystko, co chciałem wiedzieć. – Mitch wstał i wytarł ręce o spodnie. – Wciąż są moimi dziećmi. Myślę, że teraz porozmawiam z prawnikiem.

Mitch nachylił się, żeby ją pocałować w policzek, ale odsunęła się. Posłał jej uśmiezek i odszedł. Sam patrzyła, jak zielona wiatrówka znika za rogami. Objęła się ramionami, było jej słabo, była zmęczona i wiedziała, że właśnie popełniła wielki błąd.

– Co masz na myśli, mówiąc, że zniknął? – Christy wpatrywała się z niedowierzaniem w Brandona. Zauważyła, że poci się jak mysz.

– Nie pojawił się w umówionym miejscu, żeby przekazać taśmę. Nie wrócił także do mieszkania i przez dwa dni nie pokazał się w pracy.

Broda zaczęła drżeć Christy ze zdenerwowania. Chciało jej się płakać.

– Wiem, że jest ci smutno, i przykro mi, skarbie, ale znajdziemy go.

Brandon rozpostarł ręce, Christy popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Czyżby chciał ją wziąć w ramiona? Czy jemu się wydaje, że ona tego chce? I o co chodziło z tym skarbem? Christy po cichu podziękowała Bogu, że za kilka

tygodni odbędą się wybory, a po nich pozbędzie się bolących zębów i Brandona.

Przytuliła się do niego, zaciskając zęby, kiedy ją objął i pogładził po plecach. Jeśli teraz ktoś wejdzie do biura, to ona umrze. Odsunęła go od siebie i uśmiechnęła się.

– No cóż, w takim razie musisz go sprowadzić z powrotem – próbowała to mówić spokojnym głosem, ale panika zżerała ją od środka. Wydała fortunę, żeby sprowadzić tu Mitcha Bergena. Był jej jedyną nadzieją. Potrzebowała trzech niezależnych źródeł, żeby móc puścić na antenę informację, i zdawała sobie sprawę z tego, że nikt się nie wypowie, dopóki nie usłyszy nagrania.

Rodzina Sam z Valparaiso powiedziała, że nie miała od niej wieści od ponad roku. Jack ignorował Christy, odsyłając ją do Kary. Oczywiście ta ostrzegła ją, żeby przestała dręczyć Samanthę, i rzuciła jej na odczepne kilka informacji, żeby Christy nie mogła twierdzić, że ją ignoruje. Marguerite Tolliver nie odpowie na telefony Christy. A więc pozostawało dwoje nastoletnich dzieci Sam, które chodziły do Park Tudor. Christy mogłaby spróbować złapać je po szkole, ale nigdy do tej pory nie wykorzystwała dzieci jako źródła i nie wiedziała, w jakim stopniu byłyby wiarygodne. I czy w ogóle to byłoby etyczne.

Wiedziała jedynie, że nie może zrezygnować. Jeśli ma się przebić do telewizji ogólnokrajowej, to właśnie teraz i dzięki tej historii. Nie pozwoli, żeby jej się to wymknęło.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję? – zasugerował Brandon

– I co im powiemy? Że straciliśmy nagranie od donosiciela, któremu zapłaciliśmy. A jest nam potrzebne, żeby dzięki niemu zdobyła nagrodę? Nie sądzę.

Brandon odchrząknął.

– Praktycznie rzecz biorąc, Christy, to nie ty go zatrudniłaś. Ja zgłosiłem się na ochotnika.

Naprawdę? – pomyślała Christy. Praktycznie rzecz biorąc, chciałabym ci powiedzieć, żebyś się odwalił.

Nie wiedziała, jak długo wytrzyma ten ciągły stres. Z powodu zębów pożerała tyle ibupromu, aż bała się, że wypali jej dziurę w żołądku, zanim cokolwiek zdąży z nimi zrobić.

– Dobrze się czujesz, Christy? Wyglądasz trochę blado.

– Tak, to tylko zęby mądrości.

Brandon znów rozpostarł ramiona, lecz Christy podeszła do drzwi biura i otworzyła je szeroko.

– Muszę przygotować materiał do popołudniowych wiadomości, Brandon, ale zadzwoń do mnie natychmiast, jak tylko go znajdziesz.

– Mam nadzieję, że nie uciekł gdzieś daleko – powiedział Brandon, przechodząc obok niej.

– Znajdź go natychmiast.

– Jesteś dziś taka cicha, kochanie, czy wszystko w porządku?

Sam ścisnęła rękę Jacka i oglądała dalej *Traviate*, świadoma tego, że są wystawieni na widok publiczny, zupełnie jak aktorzy na scenie.

– Nic mi nie jest. – Posłała mu szybki uśmiech i pocałowała go w policzek.

Jack puścił rękę Sam i zaczął dyskretnie gładzić ją palcami po przedramieniu aż do łokcia, po talii, wzdłuż biodra... Sam westchnęła... a później Jack położył rękę na jej udzie.

Przysunął się i zaczął jej szeptać do ucha, czuła jego gorący oddech na swojej twarzy.

– Będę ssał twoje pełne usta, podgryzał palce u stóp i płatki uszu, a także sutki. Uwielbiam, jak robią się twarde przy najlżejszym dotyku. Mówiłem ci to kiedyś?

Sam przełknęła ślinę.

– Och, nie w operze.

Jack zachichotał, kiedy przesuwał językiem za jej uchem, i Sam też zachichotała. Wciąż ją zadziwiała jego pomysłowość, kiedyś podejrzewała, iż Jack jest mało kreatywny, ponieważ nie okazywał emocji. Jak bardzo się myliła! Jeśli chodzi o seks, był bardzo kreatywny, przejawiało się to w słowach, napięciu, jakie budził, pożądaniu, które go zżerało. Przedkładała to nad wszystkie cacka.

Sam nagle zeszywniała na myśl o Mitchu. Od spotkania na klatce schodowej nie mogła się pozbyć złej energii. Monté wściekła się, kiedy Sam jej powiedziała, że przyznała się Mitchowi do układu z Jackiem.

– Wiesz, że nie można ufać temu facetowi – irytowała się Monté. – Teraz módl się, żeby nie wykombinował, jak może to wykorzystać przeciwko tobie. Niedobrze.

Owszem, niedobrze. Sam chciała powiedzieć Jackowi o tym, co się stało, jednak wiedziała, że w ostatnich tygodniach kampanii jest on zaabsorbowany wieloma sprawami. Błazeństwa jej męża były ostatnią rzeczą, którą powinien się zajmować Jack.

Teraz Sam miała jeździć z Jackiem po różnych miastach stanu, odwiedzając szkoły średnie, różnego rodzaju fabryki, otwierać sezon Małej Ligi, chodząc na niezliczoną ilość obiadów i spotkań.

Sama poradzi sobie z Mitchem.

– A jednak coś jest nie tak – zauważył Jack, odsuwając się od Sam. – Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Sam przytuliła się do niego, a on ją objął. Najbardziej kochała w nim to, że dawał jej poczucie bezpieczeństwa, ale nie dusiła się w tym związku.

– Jestem trochę zmęczona. – To nie było kłamstwo. Sam nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła takie zmęczenie. Przypuszczalnie wtedy, kiedy była w ciąży z Dakotą i pracowała po sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Kampania to bardzo wyczerpujące zajęcie.

– Sam?

Spojrzała na niego i po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach obawę. Trudno było jej uwierzyć, że nie tak dawno był dla niej zupełnie obcym człowiekiem, że wątpiła w niego.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że doceniam to, co robisz. Kiwnęła głową.

– Stary wyjadacz z ciebie. Radzisz sobie doskonale z prasą, Karą i Stu. Naprawdę, wiem, że potrafią być okropni, nawet Marguerite. Myślę, że nie poradziłbym sobie bez ciebie.

Sam uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

Jack nachylił się i pocałował ją, głęboko, słodko i powoli. Zorientowali się, że jest przerwa, bo zapaliły się światła.

Następnego ranka Sam otworzyła oczy, wyskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Wiedziała, co to jest. Była już w łazience trzy razy z tego samego powodu. Nie było wątpliwości, że zaszła w ciążę.

Jack był zszokowany, kiedy usłyszał, że Allen Ditto wzywa go do swojej głównej kwatery, ponieważ nie rozmawiali od lat. Kiedy podniósł słuchawkę,

pomyślał, że to chyba dobry znak – może senator, który odchodzi na emeryturę, zechce udzielić mu poparcia.

– Halo, Allen! Miło cię słyszeć!

Głos w telefonie nie należał do Allena Ditto. To był głos Sam i Jack był zaszokowany, kiedy usłyszał, o czym mowa, chociaż trudno było zrozumieć wszystkie słowa.

– Podobało ci się? – spytał jakiś mężczyzna.

– Kto mówi? Na pewno nie jesteś Allenem Ditto.

– Co ty powiesz, Sherlocku. Posłuchaj jeszcze. Taśma poleciała dalej.

My nie jesteśmy naprawdę zaręczeni. Jack Tolliver zatrudnił mnie, żebym udawała jego narzeczoną do czasu wyborów. To wszystko. To jest biznes.

– Kim jesteś i czego chcesz?

– Jestem tylko anonimowym kontem bankowym. Albo w ciągu dwudziestu czterech godzin prześlesz mi milion dolarów, albo przekażę tę taśmę prasie.

Jack odchylił się na krześle obrotowym i próbował zrozumieć, co się dzieje. Nie miał pojęcia, kim jest ten drań. Nigdy wcześniej nie słyszał tego głosu. Skąd zdobył nagranie? I jak to zmontował? I kto mógłby nagrać głos Sam bez jej wiedzy?

To na pewno Christy.

– Powiedz swojej szefowej, że nie negocjuję z terrorystami i szantażystami. Do widzenia.

– Czeka!

Jack się rozłączył i połączył z sekretarką.

– Natychmiast połącz mnie z Christy Schoen.

– Christy Schoen, Kanał Dziesiąty, Action News, w czym mogę pomóc?

– Jadę do twojego biura i lepiej, żebyś tam była.

Kiedy zapalał silnik lexusa, zdecydował, że nie powie na razie Karze i Stu o tej małej sprawie do załatwienia. Zrobi to później.

– Mamo? Dobrze się czujesz?

Lily ponownie sprawdzała, co się z nią dzieje, a Sam nie wiedziała, ile jeszcze czasu spędzi zamknięta w łazience, chowając się przed światem.

– Przyniosłam ci herbaty. Chcesz? Mam wyniki z połowy semestru, chcesz zobaczyć?

– Zaraz wyjdę, brzoskwinko.

Sam spryskała twarz zimną wodą i wyjęła błyszczak z szafki na lekarstwa. Poszczypała policzki, mając nadzieję, że będą tak zaczerwienione jak białka jej oczu. Wymiotowała od dwunastu godzin, aż jej popękały naczynka. Przyjrzała się odbiciu w lustrze. Wyglądała, jakby była rudowłosą królową śmierci w ciąży.

Sam wyszła z łazienki i z wdzięcznością wzięła herbatę. Lily poprowadziła ją do sofy i pokazała jej wydruk z ocenami, gdzie były same piątki.

– Lily, jesteś zadziwiającą młodą kobietą. Jestem z ciebie taka dumna!

Trzymając w ręku wyniki, mocno przytuliła córkę. Nagle przed oczami stanął jej obraz Lily, którą trzymała w ramionach kilka sekund po jej urodzeniu. Sam zaczęła łkać.

– Mamo? – Lily poklepała i pogładziła ją po plecach. – Mamo, co się dzieje? Masz raka mózgu czy co? Naprawdę mnie przerażasz.

Sam zaprzeczyła głową, nie mogła wykrztusić słowa. Trzymała córkę w ramionach i płakała. Dale zaczął drapać pazurami dywan pod stopami Sam, szykując miejsce na drzemkę.

Sam odsunęła się od Lily i zaczęła zawodzić:

– Pies powinien być w pokoju Floryda! Obiecałam Jackowi, że zostanie na tarasie. Co ja najlepszego zrobiłam? Schrzałam sprawę!

Lily zmrużyła oczy i poklepała ją po ręce.

– Ej, mamó, wiadomości z ostatniej chwili. Od miesiący Dale nie postawił łapy na tarasie. Uciekł stamtąd. Ostatnio był na basenie. Sypia na kanapie w biurze Jacka. Nikt się tym nie przejmuje.

Sam zakryła twarz rękami i krzyknęła, na co Dale zawył. Lily westchnęła.

– Dobrze, widzę, że czas na ciocię Monté.

Sam przytaknęła.

– Pracuje dzisiaj? Sam znów przytaknęła.

– Masz. Wypij herbatę i nie ruszaj się.

Lily wzięła słuchawkę z szafki przy łóżku i w ciągu kilku sekund miała na linii Monté.

– Cześć – powiedziała Lily. – Mamy tu wielki kryzys. Odnoszę wrażenie, że mama traci... to znaczy... no właśnie, mama wariuje. Lepiej, żebyś się pospieszyła.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Christy była opuchnięta; gdy mówiła, brzmiała jak Marlon Brando w *Ojcu chrzestnym*. Jack uważnie jej się przyglądał.

– Taśma. Pytam, kto nagrał Samanthę bez jej wiedzy, a później zmontował z tego potrzebną ci informację.

Christy zrobiła wielkie oczy.

– Oto jak ja to widzę. Kogokolwiek zatrudniłaś, on cię wystawił, Christy. Właśnie do mnie zadzwonił i zażądał miliona dolarów albo pójdzie z tym do prasy.

Jack musiał przyznać, że zachowała kamienną twarz, serce i umysł miała jak ze stali. Czasami zastanawiał się, w jaki sposób wytrzymał z nią trzy miesiące. Chyba tylko na życzenie Marguerite.

Boże, jaki był szczęśliwy, że znalazł Sam.

– Odpowiedz mi. Czy to twój stażysta? Jeden z twoich wierzycieli? A może jakiś pracownik ze studia, który kocha się w tobie od lat?

– Chcę, żebyś opuścił moje biuro, Jack. Myślę, że chodzi ci tylko o to, żeby było mi przykro.

– Żeby ci było przykro? – Jack zaśmiał się serdecznie. – Paradujesz po mieście, zupełnie nie przejmując się tym, czy komuś będzie przykro, czy kogoś zniszczysz, czy przedstawiś w nieprawdziwym świetle. Nachodzisz ludzi w toaletach. Na miłość boską! Christy, jesteś jedyną osobą, która zaaranżowałaby coś takiego. To twój bałagan i ty go posprzątaj.

– Wcale cię nie nienawidzę, Jack.

– Oczywiście, że mnie nienawidzisz.

– Dobrze, nienawidzę cię, ale tak samo, jak setki kobiet, które bezceremonialnie rzuciłeś.

– Nie sędzę, żeby było ich aż tyle, ale dzięki za uświadomienie, że muszę przeproszać każdą z osobna. Poza tym żadna z nich nie chowa urazy tak długo, w przeciwieństwie do ciebie. Jesteś jedyną podejrzaną.

– Przestań, Jack! To mógł być każdy. Może to sprawka Charletona Manheimera. Rozważałeś taką możliwość? Wiesz, że mogłabym ci pomóc, gdybym wiedziała dokładnie, co jest na tej taśmie.

Jack znów się zaśmiał, wstał z krzesła i skierował się do drzwi.

– Mógłbyś znaleźć sobie kogoś lepszego do swoich gier. Samantha Monroe? Proszę cię.

Jack odwrócił się powoli i podszedł do Christy z zaciśniętymi pięściami.

– Kogoś lepszego? Co masz na myśli?

Przełknęła ślinę, z tej odległości Jack bez problemu może zauważyć, że Christy ma kłopoty z zębami.

– Miałam na myśli kogoś bardziej w twoim typie – wyszeptała, odsuwając się od niego.

– Powiem ci, jaki jest mój typ, Christy. To kobieta, która docenia małe rzeczy w życiu, nieobcy jej jest duch przygody, lubi się wygłupiać i śmiać, jest tak samo piękna wewnątrz jak na zewnątrz. Mój typ kobiety to taka, która kocha, jest dzielna i odpowiedzialna, ale potrafi się wyluzować, kiedy trzeba. Samantha Monroe to mój typ i możesz mnie zacytować.

Wyraz zaskoczenia przemknął po twarzy Christy i Jack zdał sobie sprawę z tego, że pierwszy raz widzi, jak Christy straciła pewność siebie.

– Co jest do cholery z twoją szczęką, Christy?

Przewróciła oczami.

– Infekcja czterech zębów mądrości.

– Au – Jack się wyprostował. – Nie słuchaj tego, co mówi chirurg szczękowy, bo boli jak diabli i przez tydzień będziesz chodzić jak zombi.

– Dzięki za pocieszenie.

– Nie przypieprzaj się do mojej narzeczonej, Christy. – Jack spojrzał jej w oczy, żeby upewnić się, że go zrozumiała. – Sam Monroe to najlepsze, co mnie spotkało w życiu, i naprawdę się wkurzę, jak ją zranisz.

Jack sięgnął ręką do klamki, ale się zatrzymał. Spojrzał przez ramię i powiedział:

– Przepraszam za moje zachowanie tamtej nocy podczas kolacji z okazji wręczenia nagród. Zachowałem się niewybaczalnie. Nie zasłużyłaś sobie na to. I przepraszam, że tyle czasu potrzebowałem, by ci to powiedzieć.

Jack zamknął za sobą drzwi, zachowując w pamięci widok zupełnie zaskoczonyj Christy.

– Jest niedysponowana.

– To samo powiedziałaś mi dwie godziny temu. Co się tam dzieje? Chcę rozmawiać z Sam.

Monté zasłoniła ręką słuchawkę telefonu, w drugiej trzymała test ciążowy z wynikiem pozytywnym.

– On naprawdę chce z tobą porozmawiać – powiedziała, bezgłośnie poruszając ustami do Sam, która wyciągnęła rękę po słuchawkę.

– Cześć, Jack! Jak idzie w centrali?

Kiedy Monté przewróciła oczami, Sam zdała sobie sprawę, że przesadziła z entuzjazmem.

– To był interesujący dzień. Dziś wieczorem mamy kolację biznesową, tym razem ze stanowymi i lokalnymi pracownikami rządowymi. Mogę przyjechać po ciebie pięć minut wcześniej? Jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać na osobności, a ostatnio nie mamy zbyt wiele prywatności.

Sam zaczerpnęła powietrza, zastanawiając się, czy Jack domyślił się, że jest w ciąży.

– Nie ma problemu. Ja też mam ci coś do powiedzenia.

– Wiem, że coś cię dręczy, i domyślam się, co to może być. Porozmawiamy o tym wieczorem. Przyjadę o szóstej, dobrze? Kocham cię, wiesz o tym?

– Tak – odpowiedziała.

Jack się rozłączył i Sam też, słuchawka wyslizgnęła jej się z ręki i opadła na kanapę.

– Myślę, że on chce mnie rzucić – powiedziała Sam.

– Co? Co ci strzeliło do głowy?

Sam wzruszyła ramionami.

– Powiedział, że chce o czymś ze mną porozmawiać, a to nie oznacza nic dobrego. Poza tym pamiętasz, że ostatnio, kiedy byłam w ciąży, Mitch powiedział mi, że jest gejem.

– Myślę, że tym razem nie musisz się tego obawiać. Sam posłała jej słaby uśmiech.

– Poza tym powiedział ci, że cię kocha, i ty też mu powiedziałaś, że go kochasz. Nie trać wiary.

Monté odłożyła telefon.

– Pójdę do kuchni i przygotuję ci rosół. Odpocznij.

Sam zamknęła oczy, próbowała sobie przypomnieć ciążę z Dakotą i kiedy poczuła pierwsze poruszenie dziecka w łonie. Przejechała dłońmi po brzuchu, zastanawiając się, kiedy to się mogło stać.

Były dwie możliwości – albo trzy miesiące, albo sześć tygodni temu. Znała swoje ciało, różnie się zachowywało; jak nosiła Grega, przez pierwsze cztery miesiące miała coś w rodzaju okresu. Nietrudno się domyślić, że to mogła być powtórka z rozrywki. Zaczęła odliczać wstecz tydzień po tygodniu, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, sądząc, że to znów Jack.

– Cześć.

My nie jesteśmy naprawdę zaręczeni. Jack Tollwer zatrudnił mnie, żebym udawała jego narzeczoną do czasu wyborów. To wszystko. To jest biznes.

Zmroził ją dźwięk własnego głosu w telefonie.

– Chcę sto tysięcy dolarów albo pójdę z tym do prasy. Minęło kilka długich sekund, zanim Sam mogła się odezwać.

– Mitchell?

– Nagrałem naszą rozmowę tamtego dnia. Byłem owinięty kablem, mała.

– O Boże, nie...

– Hej, a może dam to kongresmenowi, przeciwko któremu ten twój startuje. Manheimer? Założę się, że wyskoczy ze skóry, żeby to dostać.

Sam rozpoznała śpiewny ton w jego głosie. Brał coś.

– Proszę, proszę, nie rób tego, Mitch.

– Przelej pieniądze na konto do końca jutrzejszego dnia pracy, a nie zrobię tego.

Sam podniosła się i przesadziła nogi przez krawędź łóżka, ponownie walcząc z nudnościami. Musiała działać szybko.

– Jeśli dam ci pieniądze, nasze dzieci w przyszłości będą miały mniej, zdajesz sobie z tego sprawę? To w taki sposób chcesz im okazać swoją miłość?

– Zamknij się, Sam.

– Zaoszczędziłam prawie całe moje wynagrodzenie, prócz tego, co wydałam na prezenty świąteczne, i zamierzam wpłacić to na dom dla nas. Reszta pieniędzy poszła na fundusze powiernicze na edukację dzieci i nie mogę tych pieniędzy ruszyć.

– Fundusze powiernicze? – Mitch zaśmiał się. – Moje dzieciaki mają cholerne fundusze powiernicze? Ho, ho!

– To koka? Jedziesz na koce?

– Masz długopis, żeby zapisać numer konta?

– Nie zrobię tego.

– W porządku. W takim razie pójde z tym do prasy, ty stracisz pracę, a Tolliver będzie skończony.

– Mitch! – Sam wstała, z trudem zbierała myśli. Musi zachować trzeźwość umysłu. Mam około siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów i nic więcej.

– Co do cholery? – Słuchawka chyba wypadła Mitchowi z ręki. Podniósł ją, siarczyście klnąc. – Myślałem, że bardziej się postarasz, przecież Tolliverowie są bogaci.

– To cała gotówka, jaką mam.

– Wezmę ją.

– To szantaż, Mitch. Mogę pójść na policję.

– Zanim mnie znajdą, jeśli kiedykolwiek to nastąpi, wszyscy się dowiedzą, nie krępuj się.

Sam usłyszała własny śmiech. Brzmiał trochę upiornie, jak śmiech postaci z kreskówki, w tym momencie chyba się załamała. Może Lily miała rację, może zaczynała wariować. Przez trzy lata walczyła, żeby zapewnić dzieciom normalne życie, a teraz, kiedy wydawało się, że wszystko układa się idealnie, dowiedziała się, że zaszła w ciążę, jest szantażowana, a wszystko tego samego dnia!

Zaśmiała się.

– To wszystko jest komiczne, a wiesz dlaczego?

– Nie, ale obawiam się, że mi powiesz.

– Ponieważ naprawdę jestem dziewczyną Jacka. W końcu znalazłam mężczyznę, którego mogę kochać i któremu mogę ufać, który kocha mnie tak, jak zawsze o tym marzyłam. Nawet jeśli to nagranie komuś przekażesz, moje

słowa mają się nijak do rzeczywistości. Właśnie dlatego uważam, że to jest komiczne.

Mitch przez chwilę siedział cicho. Sam usłyszała jego przyspieszony oddech.

– Powiedziałaś, że on cię wynajął.

– Tak było. Zakochaliśmy się w sobie później.

– Naprawdę jesteś zaręczona?

– Nie.

– Dobrze, wycofuję swoją prośbę.

Serce Sam podskoczyło.

– Chcę, żebyś zerwała z Jackiem Tolliverem, a dopiero później przelała pieniądze.

– Co?

– Nie chcę, żeby adoptował moje dzieci! Nie łapiesz tego? Powiedziałem ci to już! Żaden sędzia na świecie nie odda mi dzieci; jeśli ty z nim zostaniesz, on je dostanie!

– Ta rozmowa jest bez sensu, Mitch. Jesteś na haju. Musisz pomyśleć o tym, co...

– Przelejesz pieniądze na to konto. Masz długopis?

Sam sięgnęła do szafki nocnej po długopis, kawałek papieru i zapisała czternastocyfrowy numer konta. Powtórzyła go, żeby mieć pewność, że się nie pomyliła.

– Nie pozwól, żeby ten facet zbliżał się do moich dzieci. Skończ tę znajomość albo opublikuję taśmę. Dopadnę cię, Sam, jeśli tego nie zrobisz. Będę cię obserwował.

Tego było za wiele.

– Nigdy nie troszczyłeś się o dzieci i nie robisz tego teraz, więc nie waż się używać ich jako wymówki do swojego pieprzonego planu. Jack był bardziej ich ojcem przez te kilka miesięcy niż ty przez wszystkie lata!

Mitch zaśmiał się ordynarnie.

– Skończ z nim, Sam, natychmiast. I tak go nie zatrzymasz. Wiesz, że mam rację. Nigdy nie będziesz wystarczająco dobra dla Jacka Tollivera. Zniechęciłaś mnie do kobiet i jemu zrobisz to samo.

Sam zaczął drzeć podbródek. Nie pozwoli tak się traktować.

– Nie jestem odpowiedzialna za twoje preferencje seksualne.

– Myśl sobie, co chcesz.

– Już nigdy nie zobaczysz dzieci. Idź do diabła, Mitch.

Sam wyłączyła telefon i rzuciła nim z całej siły w drzwi szafy, dokładnie w momencie, kiedy weszła Monté z tacą.

Monté zaniemówiła, gdy słuchawka telefoniczna przemknęła koło jej ucha. Spojrzała zaskoczona na Sam.

– Cholera, dziewczyno. – Przeszła przez pokój i postawiła tacę na stole. – Jeśli chcesz w kogoś rzucać, to myślę, że powinnaś rzucać w Jacka.

Rozdział piętnasty

Sam próbowała się uśmiechnąć, kiedy Jack przytrzymał otwarte drzwi limuzyny, a później siadał obok niej. W momencie, kiedy kierowca wrzucił bieg, Jack objął Sam i przysunął do siebie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będzie po wyborach. Jest milion rzeczy, o których chcę z tobą porozmawiać. – Jack przesunął ustami po włosach Sam, całował ją po twarzy i po szyi. Pomyślała, że to może być jeden z jego ostatnich cudownych pocałunków, i starała się zapamiętać dotyk jego ust na swoim ciele. Przechyliła głowę na bok, wiedząc, że zapamięta ten moment do końca życia.

Sam przeżywała męki przez całe popołudnie i w końcu doszła do wniosku, że musi spełnić szalone żądanie Mitcha. Jeśli to nagranie zostanie opublikowane, Jack zostanie skompromitowany jako polityk, jego kariera przekreślona, i to z jej winy. Przez jej gadatliwość. Mitch był stuknięty. Jeśli ujawni taśmę przed wyborami, nie tylko zrujnuje Jackowi reputację, ale też zniszczy przyszłość swoich dzieci! Umowa przewidywała, że jeśli Sam ujawni prawdę, fundusze powiernicze musi oddać co do grosza, czyli osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. A żeby je zdobyć, będzie pracowała aż do końca życia.

Nikt na świecie nie potrafił czegoś tak schrzanić jak Sam. Na dodatek była w ciąży. Czy ona zawsze musi zachodzić w ciążę?

– Muszę ci o czymś powiedzieć – odezwał się Jack. – Boję się, że to nie są zbyt dobre wiadomości.

Może instynkt jej nie zawiódł. Może on naprawdę chciał z nią zerwać. Poradzi sobie z tym jakoś. Przyjrzała mu się w skupieniu i kiwnęła głową.

– Powiedziałem już Karze i Stu, co się stało, i co zamierzam z tym zrobić
– rzekł Jack, trzymając jej rękę.

Wiedzieli, że ona i Jack są naprawdę parą? Wiedzą, że jest w ciąży? Jack wie?

– Rozumiem. Kiedy im powiedziałeś?

– Dziś. – Jack zmarszczył brwi, gotowy jeszcze coś dodać, ale mu przerwała:

– Wiem, że to musi być dla ciebie trudne, więc nawet tego nie mów. Rozumiem. Oddam ci pierścionek, ale chyba po wyborach, prawda?

Próbowała się uśmiechnąć, niezbyt dobrze jej to wyszło.

– Kochanie, o czym ty mówisz?

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Ostatnie wydarzenia mnie do tego skłoniły. Tak będzie najlepiej dla nas – prawdziwych nas – jeśli się rozstaniemy.

Jack uniósł brwi.

– Możesz powtórzyć jeszcze raz?

– Zerwać. Ty i ja. Uwierz mi, będzie najlepiej, jeśli przestaniemy się spotykać.

W myślach Sam zaczęła go prosić, żeby jej wybaczył, kiedy po wyborach w listopadzie, z jego dzieckiem w ramionach, przyjdzie i wyjawি mu prawdę o Mitchu, szantażu, pogróżkach i ciąży...

– Zrywasz ze mną?

– Tak.

Jack odwrócił się i zapatrzył w przyciemnioną szybę limuzyny. Długo milczał, w końcu zwrócił się do Sam. Na jego twarzy pojawiła się maska,

której Sam nie widziała od miesiąca. Miała wrażenie, jakby zatrzęsnał jej drzwi przed nosem.

– Odpowiedz na jedno pytanie, Sam.

Kiwnęła głową.

Proszę, nie pytaj, czy cię kocham. Tak, kocham cię. Oczywiście, że cię kocham. Proszę nie zmuszaj mnie, żebym kłamała na ten temat!

– Dlaczego?

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie umiała kłamać. To nie leżało w jej naturze.

– To bardzo skomplikowane, ale myślę, że nie jestem przygotowana na taki rodzaj zaangażowania. Tak mi przykro.

Ból, który czuł Jack, był tak silny, że przebił się nawet przez jego maskę. Odsunął się od niej i znów wyjrzał przez okno. Nie odezwał się ani słowem przez resztę drogi.

Takiej mało porywającej mowy, jaką Jack wygłosił, Sam w życiu nie słyszała. Był całkowicie pozbawiony entuzjazmu, widać było, że jak najszybciej chce opuścić to miejsce. Połowa publiczności wyszła przed końcem spotkania. Kiedy schodził z podium, Sam usłyszała, jakiegoś słowa wyjaśnienia skierowane do organizatorów.

– Grypa?

– Naprawdę fatalna.

Sam jechała do domu limuzyną sama. Nie miała pojęcia, jak Jack wróci do domu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio była taka smutna i kiedy nie mogła odróżnić mdłości od bólu serca. A spotęgowało je uczucie pustki, wyczerpania i samotności.

W domu rzuciła się na łóżko w sukience i obudziła się następnego ranka. Dakota siedział obok niej i bawił się ciężarówkami. Zanim przyjechała Monté, żeby zabrać ją do lekarza, zdążyła zwymiotować i wziąć prysznic. Ten sam położnik odbierał trójkę jej dzieci; był zaskoczony, kiedy zobaczył, jak urósł Dakota. Ale prawdziwy szok przyszedł później, kiedy Sam leżała na stole w ciemnym pokoju, a monitor USG pokazał zamiast jednego dwa bijące serca.

– Co ja zrobię? – płakała. – Wszystko mi się wali na głowę. Moje plany legły w gruzach! Zdajesz sobie sprawę, że to może zniszczyć moją karierę?

– Och, uspokój się, Christy – powiedział Brandon, krzyżując nogi i kładąc rękę na oparciu jej fotela. – Czasami strasznie dramatyzujesz. Chodź tu do mnie.

Nagle dotarło do niej, że zaproszenie Brandona do domu chyba nie było najmądrzejszym pomysłem. Ale w jakim innym miejscu mogliby przeprowadzić tę rozmowę? Tak, Brandon zawsze odwiedzał ją w pracy, ale Christy wzięła kilka dni wolnego. Cały stres, w jakim żyła, przybrał formę wielkiego pryszcza na środku nosa. Poza tym im rzadziej ludzie będą widywali Brandona w jej biurze, tym lepiej.

– Nie mogę siedzieć. Wypiłam za dużo kawy. Nawet zapaliłam papierosa na balkonie. Jestem wrakiem człowieka. Jeśli w ciągu tygodnia nie znajdziemy Mitcha Bergena, będę skończona.

– Wciąż wyglądasz pięknie.

Christy zatrzymała się w swojej wędrownicy po pokoju i spojrzała na szeroką, sympatyczną twarz Brandona. Wpatrywał się w nią. Podeszła do wielkiego lustra. Wyglądała okropnie. Miała potargane włosy i podkrążone oczy, a pryszcz na nosie osiągnął wielkość Krakatau. Brandon chyba stracił rozum.

W lustrze zobaczyła, że podchodzi do niej. Potem poczuła, że obejmuje ją i przytula. Wiedziała, że znalazła się na dnie, skoro jej się to podobało. Zamknęła oczy i oparła się o jego mocne ciało. Westchnęła.

– Gdzie jest twoja sypialnia? – niedbale rzucił Brandon.

Wyprostowała rękę i wskazała wzdłuż holu. Potem może udać, że zrozumiała, iż pytał o łazienkę.

Christy pozwoliła się zaprowadzić do sypialni do łóżka. A tam pozwoliła, żeby się położył na niej i ją pocałował.

Boże, dopomóż, ale Brandon Miliewski naprawdę dobrze całował. Poczowała napływającą falę pożądania.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli pójdę po kajdanki do samochodu? – spytał Brandon.

– Może innym razem – odparła Christy.

Trzymała ręce przy sobie i wyobrażała sobie, że to Jack się z nią kocha.

– Mam udar. Zator. Zawał. Albo wszystkie trzy rzeczy naraz. Muszę odpocząć.

Stuart zszedł z boiska do squasha i napił się wody z butelki. Jack wykorzystał ten czas, żeby wyregulować stabilizator na kolanie, oparł się o poobijaną ścianę sali i osunął na podłogę z twardego drewna. Oplótł kolana rękami i oddychał głęboko.

To było najgorsze kilka tygodni w jego życiu. Ból, którego doświadczył po kontuzji, był czysto fizyczny. Wszystko, co musiał zrobić, to przetrwać, przejść operację, potem rehabilitację i brać środki przeciwbólowe, a później powtórzyć cały cykl, aż noga będzie sprawna. Oczywiście było bardzo ciężko, ale to rozumiałe.

Ból, który odczuwał teraz, był dużo gorszy. Był nie do uchwycenia. Nie wiązał się z żadną częścią ciała. Pojawił się w sercu i rozszedł po całym ciele. Nawet paznokcie u nóg go bolały. Nie mógł spać. Tracił prowadzenie w sondażach, ponieważ z trudem funkcjonował. Za każdym razem, kiedy widział Sam lub musiał stać obok niej i się uśmiechać, czuł, jakby wewnątrz coś w nim umierało. Ona też wyglądała na smutną. Bardziej niż smutną. Wyglądała na zawstydzoną. Na wyczerpaną.

Za każdym razem, kiedy próbował z nią rozmawiać, powtarzała:

– Robię to, co dla nas obydwójga najlepsze.

I nic więcej. Świetnie udawało jej się go unikać, a jednocześnie pojawiać się w każdym miejscu, na każdym spotkaniu, na którym powinna się pojawić. Jack wiedział, że coś przed nim ukrywa. Odcięła się od niego, a on bez tego światełka, które w niej odnalazł, nie widział wystarczająco dobrze, żeby stawiać kolejne kroki.

Na początku zastanawiał się, czy jego smutek nie wynika z tego, że dotąd żadna kobieta go nie odrzuciła. To on zawsze porzucał. Ale wiedział, że nie chodzi tylko o zmalretowane serce. Chociaż na pewno jego cholerne serce zostało złamane. Po raz pierwszy w życiu Jack rozumiał, co to znaczy.

Pustka, jaką poczuł wokół siebie, przypomniła mu o odrzuceniu go przez Marguerite, kiedy był dzieckiem. Spędzał wtedy wiele godzin w sekretnym pokoju w biurze ojca, bawiąc się żołnierzami, podczas gdy ojciec prowadził interesy. Nikt się nie dowiedział, że Jack się tam ukrywał.

Gdzie teraz miał się ukryć? Przecież właśnie warta trzy miliony kampania wyborcza do senatu wchodziła w fazę końcową. Siedział w tym na całego. Nie miał dokąd pójść.

Jack zaśmiał się w duchu, obracając rakieta w dłoniach. Przypomnił sobie, jak wyjaśniał Sam, że nie był sobą, dopóki jej nie poznał. Że czuł się martwy, zanim pojawiła się w jego życiu. To, że ją stracił, było dziesięć razy gorsze niż porzucenie przez matkę. Kiedyś nawet zażartował, że jest za mała, by zrobić mu krzywdę. Jakże się mylił. Miłość Sam wniosła tak wiele do jego życia, że kiedy mu ją odebrała, to było gorsze niż najwściekleszy zawodnik.

– Dobrze się czujesz? Czy mój serw staje się dla ciebie za mocny? – Stuart zaśmiał się z własnego dowcipu i Jack też próbował się uśmiechnąć. – Jack, co się z tobą dzieje? Ten, kto próbował cię szantażować, nie ujawnił się i prawdopodobnie tego nie robi, więc mam nadzieję, że nie o to chodzi.

– Nie o to.

– Wiesz, że Kara też się zastanawia, co się dzieje, prawda? Cała ekipa boi się, że tracisz grunt pod nogami.

Jack wzruszył ramionami.

– Być może.

– Musisz się wziąć w garść.

– Nie wiem, czy potrafię, Stu.

Stuart usiadł koło Jacka.

– Słuchaj. Chcę cię spytać o coś, co cię może wkurzyć, ale wysłuchaj mnie, dobrze?

Jack pokiwał głową.

– Pamiętasz, jak w listopadzie powiedziałem, że angażowanie się w związek z Sam Monroe byłoby najgłupszą rzeczą na świecie? No cóż, jeśli to cię męczy, zapomnij, co powiedziałem. Ona jest naprawdę bajeczną kobietą i trzeba przyznać, że tworzycie świetną parę. Zauważyłem, że czasem patrzycie na siebie, jakbyście naprawdę byli zakochani. Nigdy nie widziałem, żebyś tak

się zachowywał, Jack. Nigdy. Możesz mi powiedzieć, żebym poszedł do diabła, ale mówię ci, co myślę.

– Doceniam to.

Stuart uśmiechnął się.

– Więc trafiłem? Czy ty i Sam... no wiesz... zaangażowaliście się?

– Nie – odparł Jack, wstając. – Kiedy Marguerite ma przyjechać?

– W czwartek. – Stuart ze zmarszczonymi brwiami spoglądał na niego.

Był pewien, że Jack celowo zmienił temat. – Zamówiłem jej pokój w Ritzu aż do środy po wyborach. Powiedziała, że jest gotowa zrobić wszystko, o co ją poprosisz.

– Dokończmy tę grę. Potem przejrzymy notatki do ostatniej debaty.

Zauważył, że Stuart przygląda mu się spod oka i na końcu języka ma kolejne pytanie, widać, że namyślał się nad nim przez chwilę. Naprawdę mądry facet.

– Już prawie skończyliśmy, moi drodzy. Dziś ostatnia debata. Jutro prawyборы. I pamiętajcie, że Kara chce was widzieć podczas świętowania zwycięstwa. Czy już przygotowaliście ubranie? Chciałabym na nie zerknąć. Wybraliście, co chcielibyście włożyć, tak żebym mogła to ocenić?

Sam postawiła talerz ciasteczek z masłem orzechowym. Była zdeterminowana, te ostatnie dwa dni dzieci muszą przeżyć radośnie, nawet gdyby to wymagało od niej morderczego wysiłku.

Miała jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Trzeba wynająć dom, żeby mogli się do niego wprowadzić za jakieś dwa tygodnie, ponieważ teraz nie dysponowała pieniędzmi na kupno domu. Zarówno Lily, jak i Greg chcieli zostać w Park Tudor na przyszły rok, więc chciała znaleźć coś w Meridian Kessler lub Broad Ripple, a to będzie kosztowało. Na dodatek dom musi być

odpowiednio duży dla pięciorga dzieci i psa. Tak, jasne. Rynek był przepełniony takimi ofertami.

Musiała również ustalić grafik pracy u Marcii i już zacząć zapisywać klientów. Marzenie o rezygnacji z pracy w salonie wydawało jej się teraz co najmniej śmieszne. Wciąż nie wiedziała, co zrobić z Dakotą. Rozważała nawet, czy nie zwrócić się ponownie do pani Brashears, bądź co bądź Dakota nie nosił pieluch. Miała nadzieję, że uruchomienie funduszu powierniczego i gorących próśb pozwoli mu wrócić do przedszkola.

Jak na ironię to czek Mitcha opiewający na pięćdziesiąt kilka tysięcy dolarów miał im pomóc utrzymać się na powierzchni, ponieważ Mitch ukradł jej wynagrodzenie. Po raz kolejny zastanawiała się, czemu mężczyzna, który jest zdesperowany na tyle, żeby ukraść pieniądze własnym dzieciom, najpierw spłacił alimenty. Odpowiedź była jedna – to nie Mitch zapłacił zaległe alimenty. Ktoś inny zrobił to za niego.

Kiedy jutrzejszej nocy głosowanie się odbędzie, pozna prawdę. Gdyby mogła dostać taśmę i ją zniszczyć, wyznałaby wszystko Jackowi na długo przed wyborami w listopadzie, mając nadzieję, że on jej wybaczy.

Greg ugryzł ciasteczko.

– Jesteście przekonani, że wygra?

Lily potrząsnęła głową.

– Słyszałam, jak Kara powiedziała, że Jack traci poparcie w sondażach. Sprawia wrażenie, jakby mu na niczym nie zależało.

– Tak – przytaknął Greg. – Obawiałem się tego. Zastanawia mnie, co się z nim dzieje. Może powinniśmy z nim porozmawiać.

– Nie! – zawołała Sam. – Przez najbliższe kilka dni będzie zavalony robotą. Dajmy mu trochę spokoju, porozmawiamy po wyborach.

Lily przełamała ciasteczko i uważnie przypatrywała się matce.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, z jakiego powodu byłaś taka smutna kilka tygodni temu? Czy to ma coś wspólnego z Jackiem? Ponieważ... – Lily posłała szybkie spojrzenie Gregowi – doszliśmy do wniosku, że coś was łączy.

– O Boże – wymamrotała Sam.

– Nooo – potwierdził Greg, wkładając następne ciasteczko do ust.

– Mieliśmy rację – rzekła Lily. — Chcę powiedzieć, że to nam nie przeszkadza, mamó. Nie będziemy mieli nic przeciwko temu, jeśli ty i Jack postanowicie być razem. Doszłam do wniosku, że chcecie poinformować o tym po prawyborach.

Sam zamknęła oczy i zachichotała. Wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy usiłuje coś ukryć przed swoimi dziećmi, one i tak ją przejrzą. Zawsze wiedziały, kiedy kłóciła się z Mitchem, zaszła w ciążę z Dakotą, kiedy odszedł Mitch, a później kiedy starała się uchronić ich przed katastrofą. Mogła dawkować informacje, ale oni i tak umieli je złożyć w całość.

– Po części masz rację, Lily – przyznała Sam. – Po wyborach musimy usiąść i porozmawiać o wielu sprawach, i mój związek z Jackiem jest jedną z nich. Ale teraz trzeba przede wszystkim dopełnić warunków kontraktu. Rozumiecie, że to jest najważniejsza sprawa. Obydwoje przytaknęli.

– Dobrze. Nie będziemy teraz poruszać żadnego tematu, który mógłby spowodować choćby najmniejszy zamęt. Nie możemy dopuścić, żeby coś się schrzaniło.

– Dooooobrze, mamó – powiedział Greg, wstawiając szklanekę do zlewu. Spojrzał na Sam, jakby była niezrównoważona.

Greg i Lily wzięli plecaki, pocałowali Sam w policzek i poszli na górę. Kiedy wychodzili z kuchni, Sam usłyszała, jak Lily wyszeptała, że to prawdopodobnie zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Sam oparła czoło o chłodny blat stolika śniadaniowego i pokręciła głową. Tak, to były objawy, ale syndromu napięcia przyszłej mamy. Wiedziała, że będzie jeszcze gorzej, zanim zrobi się lepiej.

Kolejna debata przyniosła ogromne rozczarowanie. Kiedy Jack odpowiadał na pytania trojga dziennikarzy, wyglądał na rozkojarzonego, jakby myślami przebywał gdzieś poza Murat Theatre. Jego wypowiedzi były krótkie, ogólnikowe i chaotyczne. Jack sprawiał wrażenie znudzonego. Charlton Manheimer bił go na głowę przy każdej nadarzającej się okazji, a było ich wiele.

Sam spojrzała na lewo i ujrzała dwie kobiece twarze, na obydwu malowało się napięcie. Kara wyglądała na bliską łez i Sam mogła sobie wyobrazić, jak zrozpaczona musi być po tym wszystkim, co zrobiła, żeby doprowadzić Jacka do tego etapu, a teraz w przedostatniej godzinie oglądać, jak przegrywa. Marguerite, która nie zwracała na Sam uwagi, przypominała furie, która zaraz wyskoczy z fotela i skręci synowi kark.

Odpowiedzialna za to wszystko była Sam. Była w rozterce: z trudem powstrzymywała się, by nie wbiec na scenę, powiedzieć Jackowi, że go kocha i że spodziewa się bliźniaków i nie obchodzi jej, kto się o tym dowie. Sam przygryzła wargi. Ale to nie był jej ruch. To nie jej kariera i reputacja zostaną zniszczone, jeśli taśma z nagraniami ujrzy światło dzienne, ale Jacka. Prawda była taka, że zrezygnowała z niego, ponieważ go kochała. A oglądanie jego cierpienia utwierdzało ją w przekonaniu, że on też ją kocha.

Christy przyciskała worek z lodem do policzka i czytała poranną prasę. Trochę żałowała Jacka. Oczywiście interesujące było oglądanie, jak się załamuje i wypala. Ale wypalał się powoli, nie było w tym nic podniecającego i na pewno nie ona to spowodowała. Co się za tym kryło? Wszystko wskazywało na to, że Jack przegra jutrzejsze wybory. I nie spowoduje tego jakaś bomba na jego temat. Kto się przejmuje, jeśli kandydat nagle traci ikrę pod koniec kampanii? Dla niej nie ma w tym nic interesującego.

Christy była w parszywym nastroju. Wskoczyły jej trzy wielkie pryszczki, miała tak spuchnięte policzki, że wyglądała jak chomik, i to był ostatni dzień, w którym mogła puścić taśmę Mitcha na antenie. Potem będzie za późno, bo Jack już odpadnie z wyścigu. Znając jej szczęście, Mitch pojawi się w sierpniu, i da jej kasetę, która w najlepszym wypadku będzie mogła służyć za przyczynek do biografii byłego polityka. Porozmawiają o tym w siedzibie władz stanowych, ale nikt w Indianie o tym nie wspomni, nie mówiąc o czołowych stacjach telewizyjnych.

Pieprzyć to, pieprzyć to wszystko. Christy zadzwoniła do chirurga szczękowego i błagała, żeby wcisnął ją w dzisiejszy grafik. Recepcjonistka powiedziała, że ma szczęście, ponieważ ktoś odwołał wizytę o pierwszej po południu.

Cóż, chociaż tutaj szczęście jej dopisało.

Może to jakiś znak.

Brandon potrzebował pociechy i wiedział, że znajdzie ją na Zachodniej Sześćdziesiątej Ulicy w cukierni Long's. Kiedy sprawy układały się naprawdę źle, tak jak dziś, tuzin ciepłych, rozpływających się w ustach pączków mógł mu przywrócić dobry nastrój. Nie żeby zjadał cały tuzin. No w każdym razie nie zawsze. No może nie w samochodzie w drodze do domu. Ktoś powiedział

mu, że te pączki są tak dobre, ponieważ są smażone na smalcu. Wolał się nad tym nie zastanawiać. Wolał je jeść.

Sprawy się skomplikowały. Mitch Bergen ulotnił się. Christy wciąż nie pozwalała dobrać się do niej. Tamtej nocy zepchnęła go z siebie i wyrzuciła za drzwi, zanim mógł dokończyć, co zaczął.

Brandon był święcie przekonany że jeśli tylko da mu szansę, pokaże jej, że ma to, czego ona potrzebuje do szczęścia. Ale nie mógł przestać myśleć o tym, że zmarnował jedyną szansę, jaką miał.

Na Zachodniej Sześćdziesiątej zaparkował samochód tak, żeby mieć na niego oko, ponieważ okolica nie była najbezpieczniejsza. Wszedł przez główne drzwi i zobaczył banner z napisem: *Witamy fanów wyścigu*. Nawet w poniedziałek o drugiej po południu cukiernia była wypełniona po brzegi. Kilka stolików zajmowali ludzie różnego autoramentu, poczynając od biznesmenów w garniturach, a na bezdomnych kończąc. Wszyscy przybyli tu, żeby wypić mocną kawę i zjeść przepyszne ciastko.

Coś w facecie siedzącym przy stoliku w rogu, przy maszynie z gumą do żucia, zwróciło uwagę Brandona. Może kolor włosów, prawdopodobnie blond, kiedy były czyste. A może zgarbione plecy. Nie – ręce. Ręce trzymające styropianowy kubek. Jasny gwint! To był Mitch Bergen!

Brandon odwrócił się bokiem, kiedy znalazł się na wysokości Mitcha. Nie wiedział, co zrobić. Czy zdąży złożyć zamówienie? Czy Mitch go usłyszy, rozpozna głos i podniesie wzrok?

– Co mogę panu podać? – Kobieta za ladą nie była zainteresowana jego dylematem.

– Tuzin pączków i kawę bezkofeinową – wyszeptał Brandon.

Kobieta spojrzała zdziwiona.

– Jest pan szpiegiem albo kimś w tym rodzaju? – zapytała.

Brandon zapłacił i czekał; starał się nie gapić się na Mitcha.

Odebrał zamówienie i pobiegł do samochodu. Rzucił pączki na siedzenie pasażera, a kubek z kawą wstawił do stojaka na napoje. Cały czas nie spuszczał oka z drzwi cukierni. Mitch wciąż siedział w środku.

Brandon otworzył bagażnik i zaczął szukać w sportowej torbie potrzebnych mu rzeczy. Kiedy je znalazł, włożył je do kieszeni marynarki. Ponownie wszedł do cukierni, a głowę wypełniały mu myśli o chwale i nagiej Christy. Podszedł do stolika, postawił Mitcha na nogi i błyskawicznie przystawił mu do boku skrobak do lodu.

– Zastrzelę cię, jeśli piśniesz – wyszeptał.

Wyjął kajdanki, skuł Mitchowi nadgarstki i zaszokowanego mężczyznę wyprowadził z cukierni. Mijając kobietę za ladą, Brandon puścił do niej oko.

Wepchnął Mitcha na tylne siedzenie, związał mu nogi w kostkach i odjechał. Kiedy dojechał do jakiejś uliczki wjazdowej do strzeżonego osiedla mieszczącego się przy drodze szybkiego ruchu, zatrzymał się. Przesiadł się na tylne siedzenie do Mitcha, który przez całą drogę jęczał i nie wyglądał na zbyt przytomnego. Brandon zastanawiał się, czy nie przeholował.

Wziął głęboki oddech, położył Mitcha na siedzeniu i zaczął go przeszukiwać. Kabel, mikrofon i minidyktafon, wszystko to znajdowało się w zasuwanej za zamek błyskawiczny zielonej kurtce przeciwdeszczowej. Miał to! Miał to!

Brandon rozkuł Mitcha i odstawił go do izby przyjęć szpitala Wishard. Dyżurnej pielęgniarce powiedział, że znalazł go na poboczu drogi, zlitował się nad nim i tu go przywiózł. Spytała o imię i nazwisko Brandona, ale wolał zachować anonimowość. Kiedy tylko znalazł się w samochodzie, zadzwonił na

komórkę Christy. Nie odbierała. Zadzwoił do jej biura. Tego dnia nie przyszła do pracy. Zadzwoił do niej do domu, odezwała się automatyczna sekretarka.

Spojrzał na zegarek. Była piętnasta czterdzieści pięć. Christy mogłaby puścić nagranie w wiadomościach o szóstej po południu, jeśli ją znajdzie. Siedział na parkingu pod szpitalem, włączył taśmę, żeby posłuchać wymiany zdań między Mitchem a Sam Monroe. To była bomba. Po prostu bomba.

Christy będzie go kochała na wieki.

– Dobry Boże, Jack, chyba nie mówisz poważnie.

– Kocham Sam, a ona mnie rzuciła, i to nieodwołalnie. Powiedziała, że nie jest gotowa na tego typu zaangażowanie, możesz w to uwierzyć? To ja zawsze tak postępowałem.

Marguerite nie wiedziała, co powiedzieć synowi. Była zaskoczona tym, że Jack się przed nią otworzył. Nigdy tego nie robił, nawet kiedy był mały.

– Bez niej jestem nikim. A ona nie chce nawet ze mną porozmawiać. Marguerite przygryzła usta. Nie obchodziła jej Sam, ale nie mogła pogodzić się z myślą, że jakaś kobieta tak okrutnie traktowała Jacka. Żadna kobieta do tej pory nie porzuciła jej syna.

– Więc ta... nagła utrata zainteresowania wyborami to... przez złamane serce?

– Tak. – Jack oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. – Chciałem jej się oświadczyć po wyborach – wyznał ze łzami w oczach. – Naprawdę chciałem jej się oświadczyć.

– Gdzie ona teraz jest?

– Na górze. W swoim studiu albo w gościnnym skrzydle.

– W studiu?

– Stary pokój dziecienny przerobiłem na studio, gdzie może malować.

– Rozumiem.

– Tak bardzo byłem szczęśliwy, że jest ze mną. Przyszłość wyobrażam sobie tylko z Sam. A teraz jej nie ma, a ja... rety, tak bardzo za nią tęsknię. – Jack schował twarz w dłoniach.

Marguerite usiadła obok syna na kanapie.

Nie była pewna, co ma zrobić. Położyła ręce na kolanach i pomyślała, że to ironia losu: kiedy Jack zdecydował się jej zwierzyć, ona nie wie, co trzeba zrobić. Znowu spojrzała na syna. Był załamany, mimo to bystry, silny i czarujący. Był Tolliverem w każdym calu.

Położyła mu rękę na ramieniu. Jack podniósł głowę i spojrzał na nią zamyślony. Nagle dotarło do niej, że nie może sobie przypomnieć, kiedy dotykała Jacka, poza całusem w policzek przy powitaniach i pożegnaniach. Ostatni raz przytuliła go na rozdaniu dyplomów w szkole średniej. Niemożliwe, żeby upłynęło aż tyle czasu. To się zdarzyło ponad dwadzieścia lat temu.

Jack zamrugnął i łza spłynęła mu po policzku. Widok cierpienia syna budził niepokój. Jack nie był tak zrozpaczony nawet wtedy, kiedy lekarze powiedzieli, że być może straci nogę. Wówczas zachowywał stoicki spokój. A teraz cierpi przez kobietę! Marguerite czuła się bezsilna.

– Czy chciałbyś, żebym cię przytuliła, Jack?

Spojrzał na nią, jakby wyrosła jej druga głowa.

– Przepraszam, zapytałaś: czy chcę, żebyś mnie przytuliła?

Marguerite zdjęła rękę z jego ramienia, poczuła się urażona. Nawet walcząc z własnym bólem, Jack ją zranił. Wstała z kanapy.

On też wstał i wykonał nieokreślony ruch.

– Przepraszam, okropnie się zachowałem. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Marguerite przytaknęła:

– Zaskoczyłam samą siebie.

– Nigdy nie lubiłaś przytulania.

– Prawdopodobnie masz rację.

– Skrzywdziłaś mnie, kiedy byłem mały, zdajesz sobie z tego sprawę?

Zostawiłaś mnie, żebym sam nauczył się świata. Tata był zbyt zajęty. Odsunęłaś się tak bardzo po śmierci bliźniaczek, że byłem pewien, że nie możesz na mnie patrzeć.

Poczuła ucisk w sercu.

– Chyba trochę przesadzasz.

Uśmiechnął się smutno.

– Być może. Ale takie odnosiłem wrażenie.

Spojrzała za okno.

– Przepraszam, Jack – wyszeptała.

Przez chwilę milczał. W końcu powiedział:

– Dziękuję, mamó. Wciąż masz ochotę mnie przytulić?

Marguerite nie poruszyła się. Nie mogła sobie przypomnieć, jak to jest, gdy obejmuje się własnego syna.

– W takim razie ja cię przytulę.

Jack przysunął się i objął ją mocno. To było miłe i jednocześnie dziwne uczucie. Uniosła ręce i pogładziła go po plecach, a później odsunęła się.

– To było miłe. – Uśmiechnęła się. – Lepiej ci?

– Tak sędzę – powiedział z lekkim uśmiechem. – Dzięki, mamó.

– I co teraz? Wrócisz do gry?

Jack wsadził ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Czeka mnie wieczór przedwyborczy w sali balowej Marriotta. Będę przemawiał, jutro wezmę udział w wiecu, dam kilka wywiadów, które odtworzą o jedenastej wieczorem. Kara nie odpuszcza aż do samego końca.

– Tak by postąpił każdy dobry szef kampanii. Będę tam dla ciebie wieczorem, jeśli sobie życzysz.

Jack przytaknął.

– Dzięki.

Marguerite podeszła do drzwi. Chciała się jeszcze zatrzymać, żeby życzyć mu powodzenia wieczorem, ale kiedy się odwróciła, zamiast syna zobaczyła Gordona – przystojnego, przebiegłego, silnego Gordona, który chociaż bez wątpienia był politykiem kompetentnym, nie osiągnąłby tak wiele bez jej miłości. Nagle zaświtało jej w głowie, że Jack musiał odnaleźć to samo w Samancie Monroe, aczkolwiek wydawało jej się to dziwne.

– Chcę, żebyś wiedział, że jestem z ciebie bardzo dumna, synu. – Marguerite powiedziała to szybko, ponieważ czuła, że załamuje się jej głos. – Jesteś dobrym człowiekiem. Niezależnie od tego, co stanie się jutro, chcę, żebyś wiedział, że jestem z ciebie dumna.

Wyszła z pokoju, żeby nie zobaczył jej łez.

– Gdzie jesteś teraz?

– A kto mówi?

– Christy? Dzwonię do ciebie od godziny. Co się, do cholery, z tobą dzieje?

– Właśnie miałam opelacje scęki. Co słyhać, Big B.? Chcesz przyjść? Psynieś kajdanki.

Brandon odstawił komórkę od ucha i popatrzył na nią z niedowierzaniem. *Nie. Nie mogła właśnie teraz usunąć zębów mądrości.*

- Gdzie jesteś, Christy? Odpowiedz mi.
 - Wpłost kocham, kiedy łobisz się taki władczy.
 - Gdzie jesteś?
 - W samochodzie.
 - Nie mów mi, że prowadzisz.
 - Dobrze, nie powiem.
 - Zjedź na bok. Gdzie jesteś? Przyjadę po ciebie.
 - Oooo, tak. Złobimy to w samochodzie?
 - Podaj mi adres.
 - Ctely punkty i siedem lat temu... – Christy zaczęła śmiać się histerycznie, potem Brandon usłyszał pisk hamulców i potok przekleństw.
 - Mam taśmę, Christy. Skoncentruj się na tym, co mówię. Znalazłem Mitcha. W rękę trzymam taśmę z tym nagraniem. Samantha przyznała, że została wynajęta, żeby udawać narzeczoną Jacka. Miałaś rację. Rozumiesz, co mówię?
 - Nooo co ty? Musę się dostać do studia.
 - Tak, musisz. Pytam jeszcze raz. Gdzie, do cholery, jesteś?
 - Cóż, wydaje mi się, że skleciłam w Dziesiątą Ulicę za College Avenue, ale wyjęłam soczewki na cas opelacji, więc nie jestem pewna, ale właśnie sklecam w lewo.
 - Stój! College jest jednokierunkowa.
 - Poważnie?
 - Wsiądź z samochodu, poczekaj na chodniku. Przyjadę po ciebie.
 - Dobrze, psynieś kajdanki.
- Brandon jechał przez miasto tak szybko, jak się dało. Kiedy był na skrzyżowaniu ulic Ohio i Pennsylvania zobaczył, jak mały żółty kabriolet

nissan 350Z jedzie pod prąd. To Christy jechała po chodniku przed Indianapolis Star, przechodnie uskakiwali z krzykiem, rozbiła trzy skrzynki z gazetami i dwa parkometry, zanim się zatrzymała na ścianie budynku redakcji gazety.

Brandon zawrócił, skorzystał z panującego zamętu, zostawił samochód na środku ulicy i przebiegł na drugą stronę. Podbiegł akurat w momencie, kiedy Christy wygramoliła się z samochodu. Wyglądała, jakby nic się jej nie stało, ale śliniła się, śmiała, wskazując porzucane gazety. Brandon złapał ją za rękę i próbował zmusić, żeby poszła z nim. W tym momencie z budynku wypadło dwóch fotografów ze „Star”. To się nazywa mieć szczęście.

– Chodźmy. Teraz – przynaglił ją.

– Czy to nie jest Christy Schoen, ta cizia z telewizji? – Jeden z fotografów wpatrywał się w nich z niedowierzaniem. – Hej, człowieku, czy to jest Christy Schoen? Jest nawalona?

– Nie.

Brandon wsadził Christy do swojego samochodu i odjechał. Wiedział, że może być oskarżony o współudział w wykroczeniu czy ciężkim przestępstwie, o które zostanie oskarżona Christy. Była szesnasta czterdzieści. Jeśli jeszcze przez jakiś czas jej nie aresztują, będzie mogła puścić nagranie na antenie.

– Kiedy masz deadline do wiadomości o szóstej?

Christy odwróciła się od niego.

– Ile masz czasu?

– Kiedy te dzewa zlobily się takie małe? – spytała. – Cy z moim samochodem wsystko w poządku?

– Christy, musisz się wziąć w garść.

Odwróciła się do niego z na wpół przymkniętymi oczami.

– Więc co powiedział ten zdziłowaty elf?

Nie wyglądała dobrze w niczym. Doktor powiedział, że to jedenasty tydzień, ale już był widoczny brzuch. Wyglądała tak jak w piątym miesiącu ciąży z Lily. Nawet nie chciała dać się sfotografować z bliźniakami w brzuchu. Niedługo będzie równie szeroka, jak wysoka.

– A co ty na to? – Monté wyjęła z szafy czarną spódnicę i białą luźną bluzkę.

– Zbyt poważne.

Monté wyjęła z szafy wieszak z drogim niebieskim komplecikiem z burgundowym aksamitnym obszyciem..

– Miałam to na sobie w czasie pierwszej debaty Jacka.

– Nikt nie będzie pamiętał.

– Kara powiedziała, żeby nigdy dwa razy nie występować w tym samym ubraniu. Poza tym jest za ciepło, bo jest maj i jestem w ciąży, pamiętasz? Niezameżna mamusia? Może puścimy to w wiadomościach?

Monté wpatrywała się w nią beznamiętnie.

– A co powiesz na tę?

– A zresztą kto się przejmuje tym, co dzisiaj włożę? – Sam wzięła zieloną sukienkę. – Przecież nie będę w telewizji, a Jack tylko przemawia. Ta jest stara, ale dobra.

Sam włożyła sukienkę i czólenka. Monté zapięła jej sukienkę z tyłu. Sam sięgnęła po małe kolczyki z zielonymi koralami. Znalazła prostą, beżową torebkę i zasłaniała nią wypukły brzuch.

– Myślisz, że się uda?

Monté pokiwała głową.

– Wyglądasz dobrze, Sam. Po prostu dobrze.

– Mamo! Mamo! – To Greg wołał, biegnąc przez foyer. W jego głosie było słycać panikę. – Włącz Kanał Dziesiąty! Natychmiast!

Serce Sam zaczęło bić jak szalone. Czy Jack miał wypadek? Monté podbiegła do telewizora, sięgnęła po pilota. W tym momencie do pokoju wbiegli Lily, Greg i Dakota.

Wszyscy w ciszy i skupieniu oglądali wiadomości.

– Strasznie nawaliliśmy – powiedziała Lily.

Brandon nie wiedział, co robić. Makijażyści błagali Christy, żeby zdjęła gazę z twarzy, zanim stanie przed kamerami, ale odmówiła.

– Co jest gorsze dla widzów? Mała gaza czy ślina płynąca po mojej twarzy, jakbym była żoną Drakuli?

Na szczęście Christy trochę otrzeźwiała. Odmówiła wzięcia środków przeciwbólowych, znieczulenie przestawało działać. Wraz z producentem programu montowała materiał. Zajrzał do nich dyrektor wiadomości i ponownie spytał:

– Jesteś pewna, że to nagranie jest prawdziwe? Czy jesteś tego stuprocentowo pewna?

Kiedy biegła korytarzem do pokoju makijażystów, przyjechała policja. Czterech funkcjonariuszy zgodziło się poczekać do przerwy, zanim zabiorą ją na posterunek, aby porozmawiać o zniszczeniu mienia, lekkomyślności i jeździe po odurzeniu środkami znieczulającymi.

Nadszedł moment chwały. Christy przedstawiała historię, która miała być ukoronowaniem jej kariery. Ale Brandon widział ją dotąd w lepszym stanie. Mówiła trochę niewyraźnie, śliniła się. Na nosie miała trzy pryszczki. A policjanci robili się niespokojni.

Wcale nie był pewien, czy ta historia skończy się tak, jak to sobie Christy wymarzyła.

Kara stała na środku gabinetu w Sunset Lane, nadzwyczaj spokojna i w pełni gotowa do działania.

Stuarta, Jacka i Marguerite poprosiła, by usiedli za mahoniowym biurkiem. Sam i Monté usadziła na kanapie. Kara w ręce trzymała pilota.

– Posłuchajcie, Jack ma przemawiać za godzinę. Do hotelu jedzie się dwadzieścia minut. To oznacza, że mamy czterdzieści minut na to, żeby dowiedzieć się, co się stało, i ustalić dalszą strategię. Wszystkich proszę o wyłączenie telefonów i pagerów. Macie jakieś pytania na początek?

Nikt się nie poruszył.

– No to popatrzmy.

Na ekranie pojawiła się Christy Schoen. Sam już to wcześniej widziała i zamiast na ekran patrzyła na Jacka. Musiał poczuć na sobie jej wzrok, ponieważ odwrócił się i ich oczy się spotkały. Sam nie wiedziała, co się kryje pod tą jego maską. Czy podejrzewał, że go zdradziła? Czy nienawidził jej? Czy zdołałby jej uwierzyć, gdyby powiedziała prawdę?

– Czy Christy się ślini? – spytał z niedowierzaniem Stuart. – Co jest...

– To zęby mądrości – wymamrotał Jack.

Sam zerknęła na Marguerite, która odpowiedziała jej pogardliwym spojrzeniem.

– Panie, miej litość – wyszeptała Monté do Sam. – To z pewnością będzie interesujące spotkanko.

Głos Christy był niewyraźny. Sam skupiła uwagę, ale naraz poczuła, że ogarnia ją pusty śmiech. Wtedy usłyszeli zapowiedź informacji wieczoru.

„Szokujące wiadomości z pola politycznej rozgrywki. Kanał Dziesiąty dowiedział się, że kandydujący do senatu Jack Tolliver wynajął kobietę i jej zapłacił, żeby udawała jego narzeczoną”.

Na potwierdzenie tych słów Christy puściła taśmę z nagraniem Sam na klatce schodowej City–County. Żeby dodać dramatyzmu całej sytuacji, na dole ekranu leciał pasek ze słowami Sam. Oczywiście Christy nie ujawniła, kto nagrał rozmowę, jak zdobyła taśmę ani z kim rozmawiała Sam.

Christy zakończyła informacją, że ani Jack Tolliver, ani nikt z prowadzących jego kampanię nie chciał się wypowiedzieć na ten temat.

Kara wyłączyła telewizor, a później przyjrzała się zebrany, każdemu z osobna.

– No to nadszedł czas pytań i odpowiedzi. Proszę, żeby odpowiedzi były szybkie i szczerze.

Kara spojrzała na Sam i nagle zabrakło jej słów. Sam to wykorzystała.

– Mitch, mój były mąż Mitchell Bergen, wrócił do miasta, zapłacił zaległe alimenty, a później czekał na mnie w budynku City–County, kiedy poszłam zrealizować czek. Dostał histerii na myśl o tym, że Jack... – Sam podniosła wzrok i dostrzegła, że Jack przysłuchuje jej się uważnie. – Nie podobało mu się to, że jestem zaręczona z Jackiem, ponieważ się przestraszył, że po ślubie Jack prawdopodobnie adoptowałby dzieci. Wyznałam Mitchowi prawdę, żeby się uspokoił. Okazało się, że on nagrał naszą rozmowę. Poczułam się jak w potrzasku. Wiem, że złamałam warunki kontraktu, mówiąc mu o tym, i...

– Nie obchodzi mnie kontrakt – przerwał jej Jack. – Czy zrobił ci krzywdę? Groził ci?

– Szantażował mnie. Zagroził, że pójdzie do mediów, jeśli nie oddam mu wszystkich pieniędzy, które zarobiłam na kontrakcie. Przełałam je na konto, które mi podał.

– Och nie, Sam... – Jack obszedł biurko, ale Kara zatrzymała go w pół drogi.

– Mów dalej, szybko.

– Wiem, że powinnam była ci powiedzieć, Jack, ale Mitch był naćpany, więc zrobiłam to, co chciał, ponieważ sądziłam, że to jest jedyny sposób, żeby cię nie skrzywdzić.

– Dobry Boże – powiedziała Marguerite.

– Później Mitch powiedział... zagroził mi, że... – Sam nie mogła się powstrzymać i rozplakała się; Monté ścisnęła jej rękę i powiedziała, żeby wydusiła to z siebie. – Mitch zagroził mi, że ujawni taśmę, jeśli naprawdę nie zerwę z Jackiem. Nie chodziło mu o kontrakt, tylko o prawdziwe życie.

Przez kilka sekund panowała zupełna cisza.

– Wiedziałem – wyszeptał Stuart.

Kara obrzuciła ich spojrzeniem i domyśliła się wszystkiego.

– Czy to znaczy, że jestem jedyną osobą w tym pokoju, która żyła w nieświadomości?

Monté się wtrącała:

– Tak samo było w noc z gołoledzią; też nikt nie wiedział, co jest grane.

– Jest jeszcze coś. – Sam odwróciła się do Jacka. – Jest gorzej albo lepiej, zależy, jak na to spojrzeć, ja myślę, że jest super.

– Mamy pięć minut – przypomniała Kara – więc należy się streszczać.

– Jestem w ciąży.

Jack, jak podczas meczu zawodnik rozgrywający, wyminął Karę. Wziął Sam w ramiona i pocałował ją. Próbowala go błagać, żeby jej wybaczył, ale nie przestawał jej całować, więc nie mogła nic powiedzieć.

– Żądam podwyżki – powiedziała Kara.

Marguerite słuchała.

– Tak bardzo cię kocham, Sam – rzekł Jack, kręcąc Sam w powietrzu. – Mój Boże! Mamy niezły bałagan, ale mnie to nie obchodzi, ponieważ kocham cię, a ty urodzisz moje dziecko!

– Jack, postaw mnie na chwilę. – Sam poprawiła sukienkę. – To nie jest do końca prawda.

– To kto w takim razie jest ojcem? – spytał zdezorientowany Stuart.

Sam się zaśmiała, widząc wyraz przerażenia na twarzy Jacka. Dzięki Bogu, nie skrywał już emocji pod maską.

– Jack jest z całą pewnością ojcem, ale to nie jest jedno dziecko, tylko dwoje. Urodzę bliźnięta.

Jack zaśmiał się głośno i położył ręce na jej brzuchu.

– To najszczęśliwszy dzień w moim życiu! Tylko tego chciałem, Sam. Twojej miłości i dzieci.

– Dobry Boże w niebie – westchnęła Marguerite.

– Ale ty kandydujesz do senatu, Jack! – jęknęła Kara.

– Ona ma rację – powiedziała Sam. – Możesz mieć mnie i dzieci i możesz zostać senatorem. To jest to, czego naprawdę chcesz, i nie zamierzam ci tego odbierać.

– Ale zrobią to wyborcy – wtrącił się Stuart. – No, chyba że postaramy się ich zdobyć.

– Jedziemy – zarządziła Kara. – Dokończymy rozmowę w drodze.

– Nie ma o czym dyskutować – odparł Jack, biorąc Sam za rękę. – Doskonale wiem, co zrobię.

Kara stanęła jak wryta; z niepokojem wpatrywała się w niego dużymi brązowymi oczami.

– Co zamierzasz?

– Zamierzam powiedzieć prawdę. Tak po prostu.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia w takich sprawach – oznajmiła słabym głosem Kara.

– Tak samo jak wyborcy – odparł Stuart.

– W takim razie to będzie lekcja dla wszystkich – powiedział Jack. – Monté?

Monté rozejrzała się, by upewnić się, że w pokoju nie ma nikogo innego o takim imieniu.

– Tak?

– Zajmiesz się Sam. Pomóż jej przygotować dzieci i zawieź ich do hotelu. Nie opuszczaj jej. Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście.

Jack odwrócił się do Sam, wziął ją za rękę.

– Muszę zrobić parę notatek w drodze do hotelu, spotkamy się na miejscu, dobrze?

Sam przytaknęła z uśmiechem.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, Sam.

– Co tylko chcesz. Oczywiście.

– Czy kochasz mnie, Sam?

– Och, Jack. Kocham cię. Nigdy więcej nie będziesz miał powodu, żeby w to wątpić.

– Marguerite? – Jack odwrócił się do matki, która siedziała zamyślona przy biurku. – Jedziesz z nami?

– Jedźcie. Mój kierowca zawiezie resztę. – Wstała z krzesła i odprowadziła Jacka do drzwi. Później spojrzała na Sam, podeszła do niej i rozłożyła ręce.

– Czy mogę cię uściskać, Samantho?

Sam zaśmiała się zaskoczona.

– Byłoby miło.

Sam objęła Marguerite. Pocałowała matkę Jacka w policzek i uśmiechnęła się do niej.

Marguerite spojrzała na Sam ze łzami w oczach, wydawała się trochę zagubiona.

– Mam do ciebie dwie prośby, jeśli można.

– Jasne.

– Chcę, żebyś zajęła się moimi włosami. Obetnij je krótko. Nie chcę już się farbować. Widziałam kilka starszych kobiet, które wyglądały całkiem stylowo z siwymi włosami.

Sam wyraziła zgodę, unikając wzroku Monté.

– Będę zaszczycona.

– Zastanawiałam się, czy mogłabyś to zrobić teraz, przed konferencją.

Monté już wychodziła i Sam domyśliła się, że idzie do pokoju kredensowego.

– Zrobimy to.

– Wspaniale. Dziękuję. A teraz druga prośba: czy pozwolisz mi być kochającą babcią bliźniaków. Choć jeśli się nie zgodzisz, zrozumiem. Masz do tego zupełne prawo. – Marguerite z trudem powstrzymywała łzy.

Sam uśmiechnęła się.

– Oczywiście, Marguerite. Oczywiście, że możesz. Monté wsadziła głowę przez drzwi.

– Salon jest gotowy. Przygotuję dzieci, żebyśmy zdążyli na tę historyczną konferencję!

Salę balową hotelu Marriott wypełniali reporterzy, kamerzyści, fotografowie i wolontariusze. Jack wspiął się na podest prowadzący na scenę. Szedł w kierunku podium i myślał o tym, że niedawno przeżył tyle złych chwil, gdy stał na podium, i zastanawiał się, co się stało. Ale to już zostawił za sobą. Liczyli się tylko ci, którzy szli schodami za nim.

Sam trzymała Dakotę za rękę. Za nimi postępowali Greg, Lily i Marguerite. Kara i Stu siedzieli już na rozkładanych krzesłach z tyłu sceny. Jack zasalutował szybko Karze. Próbowwała uśmiechem dodać mu otuchy.

Jack rozłożył notatki na podium i słuchał gradu pytań. Niektóre były miłe, na przykład reporterka z radia spytała: „Czy chociaż ją polubiłeś?”. Al Gilligan z Kanału Trzeciego nie owijał w bawełnę: „Czy to prawda, że Samantha Monroe była utrzymanką?”.

Jack zorientował się, że im szybciej zabierze głos, tym lepiej.

– Dobry wieczór, dziękuję wszystkim za przybycie. – Kiedy Jack zrobił małą pauzę dla zaczerpnięcia powietrza, posypało się więcej pytań. – Zanim odpowiem na pytania, chciałbym wyznać prawdę – powiedział do mikrofonu. – Proszę, pozwólcie mi mówić, i będę wdzięczny, jeśli mi nie będziecie przerywali.

W sali zaległa cisza. Podczas gry na boisku Jack czuł, że przegrana ma specyficzny zapach. To pomieszczenie było wypełnione ludźmi, którzy byli

żądni przegranej i/lub krwi. Wielu ludzi znajdujących się tutaj pragnęło jego przegranej.

– To prawda, że zapłaciłem Samancie Monroe, żeby udawała moją narzeczoną.

Tłum oszalał. Niektórzy dziennikarze ruszyli do drzwi, ponieważ pierwsi chcieli rzucić tę informację w eter, a na szczegółach im nie zależało. Jack ich zignorował. Odwrócił się, żeby zerknąć na Sam. Stała za nim silna, piękna i uśmiechała się do niego. Greg kiwnął głową. Lily uśmiechnęła się nieśmiało i Jack zauważył, że wyglądała pięknie w butach na obcasie i z oczami podkreślonymi eyelinerem. Dakota wystawił kciuki w górę i Jack wiedział, że starczy mu siły, żeby stawić czoło panującemu chaosowi.

– Spróbujmy się zachowywać jak dorośli ludzie.

Słowa Jacka powstrzymały panujące zamieszanie.

– Będę się streszczał. – Przerwał na chwilę, zerknął w notatki. – Po pierwsze, jest mi naprawdę przykro, że was okłamałem. To, co zrobiłem, było niewybaczalne. Biorę pełną odpowiedzialność za wszystko, co się stało. To tylko i wyłącznie moja wina. To moja kampania i to ja podjąłem tę decyzję. Chcę, żebyście wiedzieli, że Samantha Monroe nie zrobiła nic złego. To nie był jej pomysł. To ja ją zwerbowałem, negocjowałem warunki i zapłaciłem za to, żeby zgodziła się na ten układ.

– Ile jej zapłaciłeś?

– Czy uprawiałeś z nią seks?

Zanim zdążył odpowiedzieć na którekolwiek z tych pytań, poczuł ruch na scenie. Odwrócił się i zobaczył, że Lily wyprowadza Dakotę. Greg z niesmakiem pokręcił głową i podążył za nimi.

Głos Jacka drżał od emocji, kiedy ponownie przemówił:

– Współczesna polityka zamieniła się w szambo. To jest gra, panie i panowie. Myślałem, że w NFL bywało paskudnie – ale wierzcie mi, nie w porównaniu z polityką. Jesteśmy skorumpowani, każdy z nas. Straciliśmy poczucie tego, co jest ważne, staramy się wykorzystać wszystkie dane nam przez konstytucję przywileje. Musimy zastanowić się, kto jest godny, by nas reprezentować. Jesteśmy szczęśliwymi łajdakami.

Ktoś z boku sceny, jego głos podejrzanie przypominał Monté, wykrzyknął:

– Czy ktoś może się nade mną ulitować?

To wystarczyło, żeby Jack się uśmiechnął i złapał oddech.

– Chcę powiedzieć, że powinniśmy wybierać ludzi myślących, prawych, takich, którzy nas rozumieją, są cierpliwi i przede wszystkim wkładają serce w to, co robią. W naszych miastach i w Waszyngtonie potrzebujemy takich ludzi, którzy znają tych, których będą reprezentować, troszczą się o nich. Nie uda się znaleźć takich ludzi, jeśli będziemy się koncentrować wyłącznie na tym, jaki kandydat ma krawat, kto ma droższego specjalistę od marketingu politycznego, kto wymyśli najbardziej chwytliwe hasło kampanii. Chcę powiedzieć, że musimy się wszyscy oczyścić..

– Więc rezygnujesz z wyścigu? – pytanie wywołało wybuch śmiechu.

– Nie, nie rezygnuję. Biorę udział, przegram i się nie przejmuję. – Usłyszał, jak Kara, siedząca za nim, odchrząkuje. – Mówię serio. Startuję jako Jack Tolliver, facet pełen wad, ale uczciwy. Przyznaję się do tego! Żaden facet nie powinien się umawiać z tyloma pięknymi kobietami, z iloma ja się umawiałem, niemal dla sportu. Byłem dzieckiem uprzywilejowanym. Nigdy nie doświadczyłem głodu, nigdy nie musiałem oszczędzać na rower, samochód

czy na ferie zimowe. Szczerze mówiąc, w college'u korzystałem z każdej nadarzającej się...

– Jack! – warknęła Kara.

– No cóż, zebraliśmy się tutaj, żeby skomentować informację, którą przedstawił Kanał Dziesiąty. Oto komentarz. Upewnijcie się, że macie zatemperowane ołówki. – Jack sięgnął za siebie, żeby przyciągnąć Sam.

Tłum znów zaczął wrzeszczeć i Jack czekał kilka chwil, żeby zgromadzeni się uspokoiли. Potem ścisnął rękę Sam i poczuł ciepło i miłość bijące od niej.

Odwrócił się do Sam i pocałował ją gorąco. Złapał ją w tali i trzymał mocno, całował ją szczerze i z zapamiętaniem. Potem odsunął się na tyle, żeby zobaczyć uwielbienie w jej oczach, i skierował uwagę na rozhukany tłum. Nadal przytrzymał Sam w pasie.

– Panie i panowie, życie potrafi płatać figle. Wygląda na to, że wynająłem tę kobietę, żeby udawała moją narzeczoną, a tymczasem nasza znajomość przerodziła się w prawdziwe uczucie. Jest zdecydowaną, odważną, zabawną i utalentowaną artystką. Jest wspaniałą matką dla trojga swoich dzieci i wiem, że będzie równie wspaniałą matką dla naszych bliźniąt, które nosi.

Jack zdążył usłyszeć jeszcze, jak jego matka cicho jęknęła, zanim rozpętało się piekło. Następni dziennikarze rzucili się do drzwi, a Jack się zaśmiał.

– Może poczekaś jeszcze parę chwil, Al! – zawołał. – Jeszcze nie skończyłem!

Jack przysunął się do mikrofonu i zaczął spokojnie mówić. Jeszcze nigdy nie bawił się tak świetnie podczas konferencji prasowej.

– Wciąż uczestniczę w wyścigu, Indiano. Wszystkim tym, którzy mnie słuchają, mówię: możecie na mnie głosować, jeśli chcecie mnie w Waszyngtonie. Będę pracował dla was ciężko, jeśli mnie wybieriecie, ale muszę być z wami uczciwy – kocham Sam i jej dzieci bardziej niż swoją pracę, niezależnie, jak jest dla mnie ważna. Jeśli przegram wyścig do senatu, pogodzę się z tym. Poświęcę życie ludziom, których kocham, i sprawię, żeby ich życie było lepsze, nawet gdy teren moich działań zostanie ograniczony do szkół i zebrań sąsiedzkich. Wszystko będę robił dla nich, ponieważ oni są dla mnie najważniejsi.

Jack poprowadził Sam na środek sceny, uklęknął przed nią na zdrowym kolanie. To był najlepszy moment, jaki mógł sobie wyobrazić. Dotknęła jego ramienia.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz, Jack? – wyszeptała.

Zaśmiał się, po czym zdjął z jej palca stary szmaragdowo–diamentowy pierścionek.

– Oczywiście, że tak – wyszeptał w odpowiedzi.

Jack zerknął na Marguerite i był wprost zachwycony, kiedy się uśmiechnęła. Dobrze – może jest jeszcze szansa dla babci. Z uznaniem zauważył jej nową fryzurę.

Obejrzał się na tłum, który stał w ciszy, i postanowił wynagrodzić cierpliwość tych ludzi. Uklęknął na obydwu kolanach i wsunął pierścionek na palec swojej pięknej kobiety.

– Samantho Monroe, czy uczynisz mi ten honor i naprawdę zostaniesz moją żoną?

– O tak! – zawołała z radością i rzuciła mu się w objęcia.

Jack zanurzył twarz w jej włosach i poczuł mocny uścisk Sam. Silny uścisk tej kobiety przypomniał mu, że życie jest pełne zaskakujących zwrotów.

RS

Epilog

Pięć lat później

– Naprawdę powinieneś popracować trochę nad swoim wizerunkiem, Jack.

Kara usłyszała jęk i wiedziała, że bezczelnością było proponowanie spotkania w czasie przerwy wakacyjnej, ale musieli omówić plan działania podczas kampanii reelekcyjnej Jacka. Prawybory – o to się nie martwi – Jack ma poparcie partii, a jego dwóch przeciwników to bęcwały pozbawione pieniędzy. Kara denerwowała się głównymi wyborami w listopadzie. Trzeci przeciwnik Jacka był młody, wspaniały, błyskotliwy i bogaty; Kara nie mogła spać po nocach, rozmyślając o tym.

– Kara, kochanie, odpuść sobie trochę – powiedział Jack, przeczesując ręką włosy. Błysnęły w nich pojedyncze nitki siwizny, szczególnie widoczne przy sztucznym świetle. – Mam czterdzieści cztery lata i jestem ojcem piątki dzieci, w tym dwóch diw w wieku przedszkolnym, i myślę, że to najlepiej wpływa na mój wizerunek.

Monté pokręciła głową tak, że jej kolczyki zabrzęczały.

– Cizie wciąż cię ruszają, senatorze – mruknęła.

Po tym, jak przestali się śmiać, Kara wysłuchiwała, co Monté ma do powiedzenia, przypominając sobie, że kiedyś wątpiła w to, by mogła być sekretarką prasową w sztabie Jacka. Monté wróciła do szkoły wieczorowej, zdobyła dyplom, przez cały czas pracując jako dyrektor do spraw potrzebujących w biurze Jacka w Indianapolis. Poznała reguły gry i wykonywała tak świetną robotę, że dwa lata temu Jack sprowadził ją do

Waszyngtonu, gdzie jej werwa i bezkompromisowość zdawały się sprawiać cuda. Kara musiała przyznać, że Jack podjął świetną decyzję.

– Teraz – powiedziała Monté – nie sądzę, by głosy kobiet zdecydowały o zwycięstwie, tak jak to miało miejsce sześć lat temu, ale sondaże pokazują, że wciąż na nie działasz.

– Mogę się pod tym podpisać – powiedziała Sam i postawiła parujący czajniczek z herbatą, po czym nachyliła się, żeby pocałować Jacka w czubek głowy.

Jack żartobliwie klepnął ją w pośladek. Kara uśmiechnęła się, wiedziała, że związek Sam i Jacka i całe życie, jakie zbudowali, przerodziły się w coś znacznie lepszego, niż Kara mogłaby się spodziewać.

Sam z powodzeniem prowadziła galerię sztuki nowoczesnej i otrzymywała zamówienia na obrazy od prywatnych kolekcjonerów i firm. Miała duży wpływ na polityczne decyzje Jacka, to dzięki niej sponsorował ustawę dotyczącą przemocy w domu i wspierania funduszu opieki dziennej. Jack stracił trochę z wyglądu niegrzecznego chłopca, co pomogło mu wygrać pierwszą kadencję i zostać senatorem, który troszczy się o pracujące kobiety i rodziny.

– Nie obchodzi mnie, co wynika z badań marketingowych, nie zamierzam farbować włosów. To śmieszne, nawet żalosne. – Jack nalał sobie filiżankę herbaty. – Głosujący wybierają ludzi ze względu na ich pracę, a nie fryzury.

– Ale Ryan Watson jest...

– Dzieciakiem! Co on może wiedzieć o życiu, mając trzydzieści dwa lata? – Jack upił łyk herbaty. – W jego wieku nie miałem o niczym pojęcia.

Poznałem życie, dopiero jak się ożeniłem, adoptowałem trójkę dzieci i dorobiłem się dwójki własnych.

- Watson jest żonaty i ma dziecko – cicho zauważył Stuart.
- On sam jest dzieckiem.

Kara westchnęła, Jack przyjął już jakiś czas temu wizerunek uczciwego faceta niepozbawionego wad i nie zamierzał z niego rezygnować. Został senatorem znanym z mówienia bez ogródek prawdy i pasji do wykonywanej pracy. Dzielił swój czas między Indianę i Waszyngton i naprawdę wczuwał się w potrzeby wyborców. Służył dobrze Indianie i Kara chciała, żeby nadal tak było.

Kara usłyszała kroki i głosy. Odwróciła się i zobaczyła Lily, Grega i Simona. Minął rok od czasu, kiedy ostatni raz widziała ten gang razem, od razu rzuciło jej się w oczy, jak wszyscy dorośli.

Simon miał dziewiętnaście lat i był studentem drugiego roku Uniwersytetu Howarda w Marylandzie – kierunek: energia przemysłowa. Miał ponad metr osiemdziesiąt, ale wciąż dziecięcą twarz, ciepłe oczy i nieco przewrotne poczucie humoru. Monté wielokrotnie powtarzała, że szczęście Simona jest jej największym wyzwaniem.

Lily miała dwadzieścia lat i była na ostatnim roku Uniwersytetu Nowego Jorku. Studiowała grafikę i wzornictwo i ku rozgoryczeniu Sam i Jacka planowała zostać w Nowym Jorku, po tym jak na wiosnę skończy szkołę z rocznym wyprzedzeniem. Lily miała ponad metr sześćdziesiąt, nosiła krótsze włosy i używała znacznie mniej kredki do oczu.

Greg miał osiemnaście lat i studiował na pierwszym roku na Uniwersytecie Northwestern; był członkiem narodowej grupy dyskusyjnej, co

stanowiło szczególnie duży sukces dla dziecka, które jąkało się tak jak on. Chciał zostać prawnikiem.

Dakota miał prawie dziewięć lat i wyjątkowy talent muzyczny; grał na gitarze elektrycznej. Zapraszano go z zespołem na spotkania ze znanymi grupami rockowymi, kiedy przyjeżdżały do Waszyngtonu. „Post” przewidział już nawet przyszłość dla niego i jego zespołu, który ćwiczył w garażu, a posługiwał się chyba najbardziej niefortunną nazwą, jaką Kara kiedykolwiek słyszała: Sphincter Management. Rude loki Dakoty prawie wpadały mu do oczu.

Niewątpliwie najgłośniejsze były Okropne Bliźniaczki Tolliver. Kiedy się pojawiły, Kara wiedziała, że to z całą pewnością koniec poważnych rozmów.

– Ona ukradła mój diadem! – Maggie tupnęła i spojrzała na ojca. – Jest złodziejką!

– To moja korona, a nie jej! – Ana człapała zaraz za nią, ubrana w stare adidasy i jedną z sukienek Lily, uciętą na dole dla wygody. – Ona zostawiła oną w samochodzie! Ta ma misiowe galaretki przyklejone do diamentów! Widziałam! Ta jest moja!

– Mówi się ją, a nie oną – zwróciła uwagę siostrze Maggie – znów źle mówisz.

– Panie, miej litość – powiedziała Monté do Sam. – Myślałam, że zgromadziliście tu wielki zapas diademów tak na wszelki wypadek.

– Sądzę, że nigdy nie ma ich za wiele – odparła Sam, uśmiechając się do Monté i do swoich dwóch identycznych, kruczowłosych córek.

– Porozmawiamy o tym, drogie panie? – spytał Jack, odsuwając krzesło i otwierając ramiona. Kara usiadła i przyglądała się, jak Jack obłaskawia córki,

Marguerite i Indianę Dickinson Tolliver. Kara była pełna podziwu, widząc, jak Jack łatwo przekonał dziewczynki, by każda dziesięć minut nosiła tę ozdobę.

– Czy wszyscy słyszeli o Christy i Brandonie? – spytał Stuart.

– Hej! To ja miałam im powiedzieć. – Kara się zirytowała, że Stuart odebrał jej tę przyjemność, ponieważ od dawna nie słyszeli nic interesującego o Christy Schoen. Christy została zwolniona z Kanału Dziesiątego za to, że opłacała informatora, co było pogwałceniem zasad etycznych. Mitch oskarżony o niepłacenie alimentów na dzieci oraz posiadanie narkotyków dostał dozór kuratorski. Zrezygnował z praw rodzicielskich. Christy często zmieniała pracę w TV marketach w małych miasteczkach, by w końcu związać się z Brandonem. Mitch znów zniknął i od tego czasu słuch o nim zaginął.

Sam usiadła obok Jacka.

– Nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć najnowsze wiadomości. Kiedy ostatnio o nich słyszałam, Christy i Brandon założyli jakąś firmę lobbingową zajmującą się energią atomową czy czymś takim.

– To była eksploatacja odkrywkowa, a oni się rozwodzą – powiedział Stu.
– Christy dostała propozycję z małej stacji telewizyjnej w Moline w Illinois i zamierza ją przyjąć, zostawiając Brandona w Waszyngtonie.

– Jaka szkoda – powiedziała Monté. – Jeśli kiedykolwiek jacyś ludzie byli dla siebie stworzeni, to z pewnością ta dwójka.

– Ustalmy szczegóły, Karo – powiedział Jack. Wstał, a jego córki ześlizgnęły mu się po nodze. – Mamy okazję do świętowania, pizzę powinni zaraz dostarczyć, mam nadzieję, bo umieram z głodu.

Jack ruszył od stolika z uczepionymi do nóg córkami, które piszczały z radości. Stuart, Greg, Lily, Simon i Dakota postępowali za nim, rozmawiając głośno, a jeszcze głośniej się śmiejąc.

– Chciałabym, żeby Marguerite żyła i mogła to zobaczyć – powiedziała Sam, obejmując się ramionami.

– Zdążyła zobaczyć swego syna w senacie i doczekała się wnuczek – odparła Monté, kładąc rękę na ramieniu Sam.

Sam przytaknęła.

– Najlepsze w tym wszystkim jest to, że okazała się bardziej misiwata niż zołzowata.

– Kto by pomyślał – powiedziała Kara.

Pięć lat temu Kara obserwowała ze zdziwieniem, jak Marguerite zaczęła mięknąć, najpierw kiedy urodziły się bliźniaczki, a jeszcze bardziej, kiedy wyszła za mąż za Allena Ditto; przyznała, że miała na niego oko od ponad dziesięciu ostatnich lat.

– Hej, wiecie, co to za wieczór mamy dzisiaj? – spytała Monté. Kara i Sam spojrzały obojętnie.

– Noc pizzy? – rzuciła Kara.

– Piątek? Ostatni piątek miesiąca? – zapytała Monté.

– Wieczór Picia i Depresji – pisnęła Sam. – Czekaście. – Pobiegnęła do szafki, wyciągnęła trzy filizanki, naląła trochę alkoholu i postawiła przed przyjaciółkami. – To wprawdzie nie margarity, ale jose cuervo.

– Teraz mamy facetów, żeby było nam lepiej – powiedziała Monté ze śmiechem.

Kara wiedziała, że ta uwaga nie miała jej zranić. Już jakiś czas temu doszła do wniosku, że jej prawdziwą miłością jest i będzie polityka.

Wszyscy byli podekscytowani z powodu Monté i Roya, którzy w lutym mieli świętować swoją drugą rocznicę. Monté mówiła, że jego system pracy, dwa tygodnie w domu, dwa tygodnie poza domem, jest idealny. Kiedy on ma

przyjechać do domu, ona nie może się doczekać, żeby go zobaczyć, a pod koniec tych dwóch tygodni nie może się doczekać, żeby wyjechał do pracy. Jeśli taki układ się nie sprawdzi, to nie sprawdzi się żaden inny.

– Wiem, że żadna z nas nie ma depresji, ale i tak się napijmy – powiedziała Kara, podnosząc filiżankę.

– Za szczęście – zaproponowała Monté.

– Za miłość – dodała Sam.

– Za zwycięstwo w listopadzie – wtrąciła Kara. Stuknęły się filiżankami i jednocześnie powiedziały:

– Za przyjaźń.

RRS

PODZIĘKOWANIA

Autorka chciałaby podziękować wielu ludziom, którzy pomogli jej przy napisaniu tej książki.

Po pierwsze, bardzo dziękuję Richardowi Sullivanowi, właścicielowi Busview Acres of Indianapolis, Home for Wayward Gentlemen i Itinerant Romance Authors. (Hej, Rich, wciąż mam klucz do Twojego domu i zastanawiałam się, czy nie wystawić go na eBay).

Dziękuję także Jonowi Schwantesowi, Ann DeLaney i Jimowi Snelli za podpowiedzi dotyczące polityki Indiany, zarówno pod kątem kandydata, jak i dziennikarza.

Dziękuję Jorgi Kane z Maryland's Tranquility Salon and Spa za odpowiedzi na pytania dotyczące stylistyki włosów i stylu życia.

Dziękuję Judy i Allenowi Ditto, którzy zwyciężyli podczas cichej aukcji zorganizowanej na balu Maryland Symphony Orchestra w 2004 roku, za użyczenie nazwiska fikcyjnemu Allenowi.

Dziękuję mojej agentce Irene Goodman za jej spostrzeżenia i pomysły.

Dziękuję mojemu wydawcy, Monique Patterson, która jest tak słodka i fantastyczna, iż prawie mi nie przeszkadza, że ona ma zawsze rację.

Dziękuję Arleen za bycie moją Änam Carą.

Dziękuję Stevenowi za wspólne marzenia.

I małe przypomnienie: ta książka jest fikcją i wszyscy znajdujący się w niej ludzie są wytworem mojej wyobraźni. Jakikolwiek podobieństwo do żyjących osób jest przypadkowe.